Tomasz
SEKIELSKI
Smak suszy
Susza II

TOMASZ SEKIELSKI

SMAK SUSZY

OD DESKI DO DESKI

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Prolog

Rozdział 1. Dwa miesiące wcześniej

Rozdział 2. Pierwszy dzień obowiązywania stanu wyjątkowego

Rozdział 3. Dwa miesiące wcześniej

Rozdział 4. Szósty dzień obowiązywania stanu wyjątkowego

Rozdział 5. Dwa miesiące wcześniej

Rozdział 6. Dziesiąty dzień obowiązywania stanu wyjątkowego

Rozdział 7. Dwa miesiące wcześniej

Rozdział 8. Dwunasty dzień obowiązywania stanu wyjątkowego

Epilog

O Autorze

Wszystkie postacie oraz wydarzenia przedstawione w książce *Smak suszy* są fikcyjne i są wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Redakcja: PIOTR JABŁOŃSKI, BARBARA PAWLIKOWSKA
Korekty, łamanie, projekt okładki: AGATA MOŚCICKA, biały-ogród.pl

© Copyright for this edition by Od Deski Do Deski, Warszawa 2017
© Copyright for the text by Tomasz Sekielski 2017

Wydanie I

ISBN 978-83-65157-50-8

Wydawnictwo OD DESKI DO DESKI Sp. z o.o.
ul. Puławska 174/11, 02-670 Warszawa
oddeskidodeski.com.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Czytelniku, korzystaj legalnie!
Nad książką ciężko pracował autor i wiele innych osób. Uszanuj ich trud i korzystaj z książki w legalny sposób. Dzięki temu będziemy mogli sobie pozwolić, by przygotować dla Ciebie kolejne znakomite lektury.

Mojemu bratu Markowi

Dziękuję mojej żonie Annie, szefowej wydawnictwa Od deski do deski, za ciężką pracę, którą włożyła w powstanie tej książki, oraz za zaufanie i wyrozumiałość dla mnie jako autora. Bez tego nasze małżeństwo byłoby zagrożone :)

Dziękuję również Agacie Mościckiej, Barbarze Pawlikowskiej oraz Piotrowi Jabłońskiemu za pracę w ekstremalnie trudnych warunkach z narażeniem życia (rodzinnego). Jesteście wielcy.

PROLOG

„Na radzie ustalisz plany,
wojnę prowadź roztropnie”.
Księga Przysłów 20,18

– Rodacy… Polska… nasza ukochana ojczyzna… znalazła się na celowniku terrorystów… tchórzliwych, pozbawionych honoru bestii. – Prezydent Zygmunt Tarnowski zaczął wygłaszać orędzie z typową dla siebie werwą zramolałego starca wyrwanego z poobiedniej drzemki. – Dwa krwawe zamachy… kosztowały życie stu sześćdziesięciu siedmiu niewinnych ludzi… To, co spotkało Polskę… wstrząsnęło całym cywilizowanym światem.

Niemiłosiernie długo ważąc każde słowo oraz celebrując przecinki i akcenty, Tarnowski brnął dalej, nie dając słuchaczom nadziei, że wystąpienie nabierze żwawszego tempa.

– Znaleźliśmy się w sytuacji wyjątkowej… która wymaga od nas nadzwyczajnych działań… Dlatego…

Prezydent nie dokończył, bo przed kamerą pojawił się nagle młody, wymachujący ramionami mężczyzna.

– Nie, nie, nie! Jeszcze raz! – zawołał.

Odpowiedziało mu ciężkie westchnienie członków ekipy telewizyjnej. *Znowu?* Od ponad trzech godzin próbowali nagrać prezydenckie orędzie, które miało zostać wyemitowane o 20.00. Wszyscy byli już znużeni kolejnymi potknięciami, przerwami, poprawkami i zmianami. Zygmunt Tarnowski wyraźnie nie był tego dnia w formie, a nawet gdyby był, i tak nie należał do wybitnych mówców. Wypadał sztucznie, czytając z zainstalowanego na kamerze telepromptera.

– Ja pierdolę, ile jeszcze?! – mruknął pod nosem jeden z operatorów, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Wypowiedziane cicho słowa usłyszał stojący na środku planu mężczyzna. Spojrzał prosto w obiektyw i pogroził znacząco palcem. *Ryj na kłódkę*. Marek Schmidt od tygodnia był głównym prezydenckim doradcą do spraw wizerunku i komunikacji medialnej. Aby pracować dla Tarnowskiego, ten smukły trzydziestolatek porzucił intratne stanowisko w jednej z najlepszych agencji reklamowych w Europie. Rzut oka na jego idealnie dopasowane garnitur, buty i okulary wystarczał, by zrozumieć, że nie kupił ich w żadnej sieciówce. Musiały kosztować majątek. Precyzyjnie wymodelowane blond włosy i jasnoruda broda dowodziły, że prawie codziennie gościł w którymś z modnych i cholernie drogich warszawskich barbershopów. Aby wyglądać jak człowiek sukcesu, trzeba mieć gruby portfel. Tym bardziej więc dziwiło, że Schmidt przeszedł do kancelarii prezydenta, w której zarabiał grosze w porównaniu z tym, ile płacono specjalistom jego klasy w prywatnych firmach.

– Przerwa na papierosa i kawę – zarządził, co ekipa przyjęła z ulgą.

Tarnowski ruszył się z miejsca, z którego usiłował przemawiać. Z wyraźnym trudem zrobił dwa kroki i ciężko usiadł na przygotowanym dla niego fotelu.

– Starość nie radość – oznajmił i zaśmiał się, pohukując w swoim stylu. Zbyt długie stanie w jednej pozycji dawało o sobie znać bólem pleców, bioder i kolan.

Prezydent był wysokim, postawnym mężczyzną. Spory brzuch, który urósł mu w ciągu kilku lat spędzonych na urzędzie, maskował odpowiednio dobrany garnitur. Problem brzucha zresztą miała rozwiązać dieta, którą przygotowano Tarnowskiemu na polecenie Schmidta. Za jego radą sześćdziesięciopięciolatek nie tylko zaczął się odchudzać, ale też zgolił wąsy, które nosił z dumą od czasów studenckich. Ci, którzy znali Zygiego prywatnie, nie mogli uwierzyć, że ktoś zdołał przekonać go do rozstania z sumiastym wiechciem pod nosem. Dzięki temu zabiegowi wyraźnie jednak odmłodniał i przestał wyglądać jak leśny dziadek.

– Panie prezydencie, wiem, że jest pan zmęczony, ale musi się pan wziąć w garść i skoncentrować na tekście. – Wymuskany mężczyzna, choć nie zapominał o zwrotach grzecznościowych, był stanowczy i pewny siebie. – Wygłasza pan najważniejsze orędzie w karierze, więc nie powinno ono brzmieć jak smęcenie znudzonego życiem staruszka. Zaatakowano nasz kraj, jesteśmy na wojnie, koniec z Dziadkiem Zygim! – powiedział z werwą Schmidt, patrząc Tarnowskiemu prosto w oczy.

Dziadek Zygi? Prezydent wiedział, że tak właśnie jest nazywany, ale dotąd nikt w Dużym Pałacu nie odważył się wypowiedzieć tych słów w jego obecności. Cisza, która zapadła, zaczynała się niebezpiecznie przedłużać. Zacisnął dłonie na oparciach fotela. Jako głowa państwa odzwyczaił się od szczerych uwag wygłaszanych prosto w twarz. Otoczony, jak każdy władca, przez bandę zabiegających o jego względy lizusów stracił odporność nawet na życzliwą krytykę. Tymczasem jakiś trzydziestoletni odpicowany szczyl nazwał go Dziadkiem Zygim. Prawda kłuła w oczy i ściskała za gardło. Jeśli jednak chciał jeszcze coś osiągnąć, musiał się z nią zmierzyć. *Albo ja ich, albo oni mnie.* Tarnowski nie zamierzał przejść do historii jako tetryk, który wycofał się w chwili próby, w momencie zagrożenia. Partyjni bossowie z rządzącego krajem Bloku Demokratycznego bezpardonowo odsyłali go na emeryturę. Ale choć początkowo uległ i, szantażowany, podał swoją cenę, sytuacja się zmieniła. *Pierdolę wasze pieniądze i waszą partię!* Wiedział, że nie będzie łatwo, lecz gotów był walczyć, czym najbardziej zaskoczył samego siebie.

Dlatego teraz zagryzł zęby i przełknął uwagi o smęceniu znudzonego życiem staruszka i Dziadku Zygim. *Gówniarz ma rację.* Pokiwał w zamyśleniu głową.

– To była ich najwspanialsza godzina – rzekł nagle, podnosząc się z fotela. Zrobił to zaskakująco szybko i sprawnie.

– Co takiego? – spytał zbity z tropu doradca.

– To fragment wystąpienia Churchilla wygłoszonego przed wybuchem bitwy o Anglię… nieważne – rzekł Tarnowski, po czym klasnął głośno

i dodał: – Masz rację, Marku. Koniec z pieprzonym Dziadkiem Zygim. Nagrajmy to wreszcie!

Usłyszawszy to, Schmidt uśmiechnął się szeroko, pokazując swoje idealnie równe i białe zęby.

Ekipa właśnie wracała z papierosa. Aromat tytoniowego dymu wypełnił prezydencką bibliotekę, w której nagrywano orędzie. Tarnowskiemu to nie przeszkadzało – sam palił, choć opiekujący się nim kardiolog stanowczo się temu sprzeciwiał. Unoszący się w powietrzu zapach przypomniał mu teraz o nałogu. *Jedna fajeczka*. Nie zdążył jednak wyartykułować swych potrzeb, gdyż jego wzrok spoczął na głębokim dekolcie odkrywającym kształtne piersi. Znał już ten piękny widok. Stała przed nim wysoka młoda kobieta z pędzelkiem w ręku, gotowa poprawić mu makijaż. Dziadek Zygi nie protestował, niemal nie odrywając oczu od mocno wyeksponowanych jędrnych krągłości.

– Zaczynamy – polecił Schmidt, gdy przypudrowany prezydent stanął na wyznaczonym miejscu, mając za sobą flagi Polski i Unii Europejskiej.

– Rodacy… Polska, nasza ukochana ojczyzna, znalazła się na celowniku terrorystów, tchórzliwych, pozbawionych honoru bestii. – Tarnowski nie rozpoczął perfekcyjnie, ale znacznie lepiej niż wcześniej. – Dwa krwawe zamachy kosztowały życie stu sześćdziesięciu siedmiu niewinnych ludzi. To, co spotkało Polskę, wstrząsnęło całym cywilizowanym światem.

Głos prezydenta brzmiał pewnie i stanowczo, nie przypominając w ogóle mamrotania zramolałego dziadygi. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam Zygmunt Tarnowski, słynący z gaf i lapsusów językowych dobrotliwy starszy pan w ciepłych kapciach.

– Znaleźliśmy się w szczególnej sytuacji, która wymaga od nas nadzwyczajnych działań. Dlatego na wniosek premier Elżbiety Czackiej, zgodnie z artykułami 230 i 231 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, postanowiłem wprowadzić od dziś, 26 sierpnia 2016 roku, na 90 dni stan wyjątkowy na całym terytorium kraju.

Moc, z jaką prezydent wyrzucił z siebie te słowa, zaskoczyła członków ekipy nagrywającej orędzie. Choć kilkakrotnie słyszeli ten fragment,

dopiero teraz dotarła do nich waga tego, co miał do zakomunikowania Zygmunt Tarnowski.

– Polsce i całej Europie wypowiedziano wojnę, brudną wojnę. Bestialstwo, jakiego dopuścili się wciąż jeszcze bezimienni terroryści, musi spotkać się z naszą zdecydowaną, natychmiastową odpowiedzią. Sto sześćdziesiąt siedem ludzkich istnień wymaga pomszczenia. To nasz obowiązek… – Tym razem prezydent zrobił pauzę w idealnym momencie, patrząc prosto w obiektyw, tak jak przez kilka godzin uczył go Marek Schmidt. – Oczywiście pamiętamy o pomocy dla rodzin ofiar i wszystkich tych, którzy odnieśli rany w wyniku zamachów – kontynuował po chwili nieco łagodniej. – Jesteśmy solidarni i jesteśmy z wami.

Słuchając prezydenckiego orędzia, Schmidt uśmiechał się do swych myśli. Wyglądał na dumnego z wykonanej pracy. Dobrze wiedział, co usłyszy, i miał nadzieję, że zabrzmi to tak, jak powinno.

– Sierpień 2016 roku na zawsze zapisze się w historii naszego narodu. Mimo tragedii, której ogrom może przerażać, to nie czas na załamywanie rąk. To czas działania, czas wojny ze złem, jakim jest terroryzm. Zwyrodnialcom, którzy odpowiadają za śmierć stu sześćdziesięciu siedmiu osób, mówię: Dopadniemy was i bezlitośnie wymierzymy sprawiedliwość!

Słuchając tego wystąpienia, przeciętny wyborca miał prawo być zaskoczony. Na jego oczach Zygmunt Tarnowski, flegmatyczny polityk, który – jak żartowano – przez przypadek został prezydentem, zmieniał się w przywódcę zdolnego pokierować krajem w czasie kryzysu i zadbać o jego bezpieczeństwo. Jeśli więc nawet był to tylko efekt osiągnięty po wielu rozpaczliwych próbach, polityczni rywale Tarnowskiego znaleźli się niespodziewanie w całkiem nowej sytuacji. Rozgrywka, która – jak im się zdawało – jest już wygrana, tak naprawdę dopiero się zaczynała.

– Znakomicie, panie prezydencie! – zawołał Marek Schmidt, gdy Tarnowski skończył wystąpienie. – Właśnie o to chodziło! – dodał, bijąc brawo.

Członkowie ekipy technicznej poszli za jego przykładem, nagradzając prezydenta oklaskami. Był to szczery dowód uznania, a jednocześnie

wyraz ulgi, że nie będą musieli patrzeć na kolejne popisy retoryczne głowy państwa.

Tarnowski uśmiechnął się nieśmiało i podszedł do doradcy.

– Dziękuję, Marku – rzekł i uścisnął go mocno. – Teraz już wiem, dlaczego dano mi do pomocy właśnie ciebie.

Schmidt ukłonił się nieznacznie.

– To dopiero początek, panie prezydencie. Mamy jeszcze dużo do zrobienia – powiedział, po czym wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwie kilkunastocentymetrowe srebrne tuby. Jedną wręczył Tarnowskiemu, drugą zaś otworzył, odkręcając zdobione bursztynem wieko. – Ale dziś zasłużyliśmy na chwilę przyjemności – dodał i wydobywszy z pojemnika cygaro, ze znawstwem obrócił je w palcach.

Prezydent przyjrzał się uważnie srebrnej tubie, a następnie zważył ją w ręku. Ekskluzywny gadżet dla koneserów musiał sporo kosztować, ale nie zamierzał się tym martwić. *Płacze ten, co płaci.* Wyciągnął cygaro, podsunął pod nos i chłonął zapach liści tytoniu zwiniętych w manufakturze na przedmieściach Hawany. Zaraz jednak przerwał kontemplację, by sprawnym ruchem przyciąć cygaro wręczoną przez Schmidta srebrną gilotynką, która bez wątpienia stanowiła komplet z tubami.

Chwilę później, siedząc wygodnie w swoim gabinecie, Zygmunt Tarnowski rozkoszował się intensywnym smakiem cygara.

ROZDZIAŁ 1

DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

„Kto by porwał człowieka i sprzedał go,
albo znaleziono by go jeszcze w jego ręku,
winien być ukarany śmiercią”. Księga Wyjścia 21,16

Kłęby gęstego, siwego dymu niczym ciężkie burzowe chmury unosiły się w kabinie volkswagena transportera. Nie przeszkadzało to jednak kierowcy i towarzyszącemu mu mężczyźnie, którzy palili jednego papierosa za drugim i zaciągali się z rozkoszą, jakby wierzyli w powiedzenie, że wędzone trzyma dłużej.

– Jak się szybko uwiniemy, to zdążymy do domu na mecz z Niemcami – stwierdził pasażer, biorąc kolejnego macha i wypuszczając dym nosem.

Zobaczywszy to, kierowca parsknął.

– Ty okopcony świński ryju! – Zaśmiał się nie bez powodu, gdyż nos jego towarzysza był mocno zadarty i rzeczywiście przypominał świński narząd powonienia. Pasowało to zresztą do postury mężczyzny gabarytów dobrze odhodowanego tucznika.

– Zaraz ci jebnę – rzucił pasażer, który z pewnością nie pierwszy raz słyszał podobne obelgi. – Skup się na prowadzeniu, bo jak nie obejrzę dzisiejszego meczu, to masz przejebane – dodał wyraźnie rozgniewany.

– Spoko leszcza, damy radę z palcem w dupie – odparł kierowca, który wyczuł, że dalsze sprawdzanie, jak duży dystans ma do siebie Świński Ryj, może się bardzo źle skończyć. On, w przeciwieństwie do wielkiego kolegi, wyglądał jak anorektyk – same skóra i kości.

Przez chwilę jechali w milczeniu, jarając kolejne fajki i popijając wygazowaną polo-colę.

– Pieprzony upał – stęknął Świński Ryj, przerywając ciszę, i uchylił nieco okno, by wyćwiczonym pstryknięciem pozbyć się niedopałka. Na łysej głowie mężczyzny perliły się krople potu i spływały po tłustym karku na plecy.

Klimatyzacja volkswagena zdecydowanie przegrywała z siłami natury. Choć dochodziła dziewiętnasta, zainstalowany w aucie termometr wskazywał trzydzieści osiem stopni Celsjusza i nic nie zapowiadało, by noc miała przynieść ochłodę i ulgę zmęczonym upałem ludziom, zwierzętom i roślinom.

Świński Ryj otarł dłonią spocone czoło. Jego jasny T-shirt z wielkim orłem i napisem „Bóg, Honor, Ojczyzna" nie był w stanie wchłonąć całej wydzieliny gruczołów potowych. Z mężczyzny po prostu ciekło. Mimo to szybko zamknął okno, przez które do transportera wdzierało się świeże powietrze.

– Niech się jeszcze trochę powędzą – rzekł i aby nie było wątpliwości, kogo miał na myśli, kiwnął spoconą glacą do tyłu, wskazując trzy bardzo młode dziewczyny.

Od kierowcy i pasażera oddzielała je solidna krata. Siedziały na gołej metalowej podłodze, opierając się o burty dostawczego volkswagena. Wyglądały jak manekiny, które co jakiś czas bezwładnie wyskakiwały w powietrze, gdy rozpędzony samochód wjechał w dziurę. Można było odnieść wrażenie, że życie tli się jedynie w ich smutnych, zmęczonych oczach, które teraz spojrzały ze strachem na Świński Ryj.

– Nie bójcie się, ukraińskie kurwy, zaraz będziemy na miejscu.

Dziewczyny, ubrane w takie same krótkie dżinsowe spodenki, proste koszulki na ramiączkach i tenisówki, nie zareagowały. Były jak dobrze wyćwiczone psy, gotowe wykonać każde polecenie.

– Nie ma co, nasz Książę potrafi wyszkolić każdą sukę – powiedział z uznaniem Świński Ryj, przyglądając im się przez ramię.

– Po takim laniu i dymaniu też byłbyś grzeczny – stwierdził kierowca.

W głosie mężczyzny brzmiało uznanie dla bestialskich praktyk jego szefa. Najwyraźniej nie przeszkadzały mu niezabliźnione jeszcze rany widoczne na rękach i nogach ani wybroczyny pokrywające twarze i szyje dziewczyn. Były to pamiątki po pożegnalnej imprezie, jaką Ukrainkom zorganizował Książę – lokalny mafioso, król wina, narkotyków i płatnego seksu. Zawsze tak robił, gdy pozbywał się żywego towaru.

Tym razem zbiorowe gwałty i tortury, przyprawione kokainą oraz obficie skropione alkoholem, trwały prawie całą dobę. Po tej orgii dziewczęta, z których najstarsza miała zaledwie szesnaście lat, przypominały żywe trupy pokryte cuchnącą mazią z krwi, potu, spermy, moczu i kału. Nagie i ledwie żywe zaciągnięto pod szlauch. Strumień wody był tak silny, a one tak osłabione, że przewracały się na wyłożony kostką podjazd przed garażem tymczasowo zamieniony w myjnię.

– Oj, pouży wałby człowiek z takimi dupami – rozmarzył się anorektyk i uśmiechnął lubieżnie, prezentując żółte od papierosów zęby. – Będę brał cię! Gdzie? W aucie! Mnie? Cię! Eee… Ehe – zanucił refren discopolowego przeboju, zerkając we wsteczne lusterko.

Młodziutkie pasażerki nie zareagowały na wokalne popisy kierowcy, Świński Ryj zaś zarechotał.

– Ty się, Suchy, nie rozmarzaj, a tego knotka, co masz w gaciach, zostaw dla swojej starej – rzekł i odpalił kolejnego papierosa.

Wypełniający rozgrzaną kabinę smród tanich papierosów i jeszcze tańszych męskich dezodorantów wymieszany z wonią potu i intensywnym zapachem benzyny powodował mdłości. Swietłana, dziewczyna o długich czarnych włosach spiętych w kucyk, z trudem powstrzymywała wymioty. Kręciło jej się w głowie, a żołądek podchodził niebezpiecznie do gardła. Wciąż czuła uderzenia twardych, bezlitosnych pięści bijących na oślep, byle mocniej, aż do połamania żeber. Nadal piekły ją zadane myśliwskim nożem głębokie rany, które sadyści posypywali dla zabawy kokainą. Cały czas parzyły piersi, na których gasili papierosy i cygara, a w ustach miała smak nasienia i moczu tych nienawidzących kobiet dewiantów, dla których poniżanie bezbronnych nastolatek było metodą dowartościowania chorego

męskiego ego. Jej pochwa i odbyt promieniowały bólem doprowadzającym ją na skraj omdlenia. Pamiętała każdą torturę, którą musiała znosić w ciągu ostatnich kilkunastu godzin w Jordanowie, gdzie swą posiadłość miał Książę, nieobliczalny pan życia i śmierci. Dla niego trzy młode, jadące właśnie do Lubrańca Ukrainki były tylko przedmiotami, seksualnymi zabawkami, które można sprzedawać i wykorzystywać według uznania. Liczył się jedynie hajs, jaki da się na nich zarobić.

Swietłana z coraz większym trudem siedziała w podskakującym na wybojach volkswagenie. Jej zwykle błyszczące piwne oczy w ciemnej oprawie długich, naturalnych rzęs były teraz zamglone, jakby przesłaniała je zasłona utkana z nici apatii, smutku i rezygnacji. *Umieram.* Młodziutka Ukrainka czuła, jak uchodzi z niej życie. Pomyślała o dziewczynach, które zmarły podczas transportu do Polski. Zazdrościła im. Tamta śmierć z wycieńczenia w brudnym kontenerze, który utknął na jakiejś bocznicy kolejowej, wydawała jej się przyjemna w porównaniu z katuszami, jakich doświadczyła, pracując dla Księcia. *Polskaja sabaka*. Szczerze nienawidziła tego potężnego mężczyzny z zaplecioną w warkocz brodą i wyłupiastymi oczami, który zmienił jej życie w piekło. Nie była w stanie określić, ile czasu minęło od dnia, w którym została porwana na wschodzie Ukrainy. Godziny, dni i tygodnie zlewały się w jedno niekończące się pasmo cierpienia i upokorzeń. Była gotowa umrzeć, pragnęła tego. Trochę żałowała jedynie, że nie zobaczy już brata i mamy. Miała nadzieję, że Ołeh przeżył i wrócił bezpiecznie do domu. On pocieszy matkę.

Nagle samochód podskoczył na kolejnej nierówności i Swietłana z dużą siłą uderzyła głową w nieosłoniętą metalową konstrukcję nadwozia. Nie poczuła bólu, wręcz przeciwnie – przestały do niej docierać jakiekolwiek bodźce. Mózg wyłączył się, zanurzając jaźń w ciemnym niebycie.

– Tylko mi tu, kurwa, nie zdechnij! – krzyknął Świński Ryj wyraźnie przestraszony widokiem wiotczejącej dziewczyny. Może i nie był specjalnie lotny, ale słusznie zakładał, że jeśli coś jej się stanie, szef nie będzie zadowolony. A zdecydowanie nie chciał odczuć gniewu Księcia. – Stawaj, do cholery, Suchy! Natychmiast! – wydarł się.

Kierowca, który nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, na krzyk towarzysza zareagował gwałtownym wciśnięciem hamulca. Dla nieprzytomnej Swietłany oznaczało to niekontrolowany ślizg po podłodze i zderzenie z przegrodą chroniącą kabinę kierowcy. Transporter zatrzymał się na poboczu, wzbijając tumany kurzu.

– No czyś ty ochujał?!

Świński Ryj był wściekły. Zaskakująco sprawnie jak na swoje gabaryty wyskoczył z samochodu, chwycił klamkę bocznych drzwi i szarpnąwszy mocno, odsunął je do tyłu. Dziewczyna leżała nieruchomo na podłodze z rozrzuconymi szeroko rękoma. Pozostałe Ukrainki patrzyły z przerażeniem, nie odważyły się jednak pomóc Swietłanie lub choćby sprawdzić, czy żyje.

– Oddycha? – spytał kierowca z nadzieją. On także wolałby nie tłumaczyć szefowi, dlaczego podczas transportu doszło do zniszczenia towaru.

Świński Ryj nie odpowiedział. Pocił się jeszcze obficiej niż w kabinie i bezradnie rozkładał ręce.

– Może wezwijmy pogotowie – zaproponował Suchy, lecz natychmiast pożałował swych słów.

– Ależ ty jesteś tępym zjebem! Może od razu zrób halo po psy! – wysapał Świński Ryj i z dezaprobatą pokręcił łysą głową.

Rozgrzany niemiłosiernie w ciągu dnia asfalt promieniował ciepłem, które dodatkowo dawało mu się we znaki. Pewnie gdyby nie to i gdyby nie umierająca w samochodzie dziewczyna, przylałby kierowcy, odreagowując swój strach i wynikającą z bezradności frustrację. Świński Ryj nie był analitykiem ani myślicielem. W przestępczej organizacji Księcia miał rangę PPP – przynieś, podaj, pozamiataj – był więc tylko nieco wyżej w hierarchii niż owczarki niemieckie, które strzegły posiadłości w Jordanowie. A teraz stanął przed problemem, który zdecydowanie przekraczał jego kompetencje i możliwości intelektualne.

– Daj mi słuchawkę – rzucił po chwili namysłu i wskazał leżący na przednim siedzeniu telefon.

– Dzwonisz do bossa? – spytał kierowca, podając mu komórkę.

Świński Ryj pokręcił głową.

– Do jego brata Szymona, w końcu towar należy już do niego. Niech on to rozkmini – odparł.

Spróbował wybrać numer na dotykowym ekranie smartfona, ale wilgotne od potu palce utrudniały tę prostą, zdawałoby się, czynność. Przełożył telefon do drugiej ręki i wytarł dłoń o spodnie. Pomogło i chwilę później usłyszał dobrze znany głos Szymona Wilka.

– Mów – padła komenda.

– Jedna ćma mi tu kitę odwala – poinformował Świński Ryj, sapiąc ciężko. – Przydałby się jakiś rzeźnik, coby ją wyprostować – dodał i czekał na reakcję rozmówcy.

Szymon Wilk zwany Mocnym nie miał wiele do powiedzenia.

– Zapierdalajcie do Lubrańca, prosto do kliniki.

Połączenie zakończyło się głośnym trzaskiem.

***

W zderzeniu z betonową ścianą smartfon nie miał większych szans, tym bardziej że jego właściciel włożył w rzut całą siłę. Mimo swojej doskonałości elektroniczne cudo z logo nadgryzionego jabłka nie zostało stworzone z myślą o takich ekstremalnych sytuacjach. Specjalnie hartowane szkło wyświetlacza rozpadło się na wiele części, a każda z nich pofrunęła w innym kierunku.

Ajfon srajfon. Wysoki, postawny mężczyzna był wściekły. Jego groźne szarozielone oczy wręcz płonęły furią, zdradzając bestię o ostrych nordyckich rysach twarzy i jasnych włosach, która kryła się za drogim, znakomicie dobranym garniturem i szytą na miarę koszulą z inicjałami wyhaftowanymi na kieszonce. Ekskluzywna klasyczna elegancja doceniana przez znawców tematu, którzy opanowali umiejętność czytania dress code'u, strój topowego menedżera świadczący nie tylko o zamożności, ale

i o wysokiej pozycji korporacyjnej oraz posiadanej władzy. Wbrew ludowej mądrości to szata zdobi człowieka, a nie człowiek szatę.

Mężczyzna wziął kilka głębokich wdechów, poprawił marynarkę i wyrównał mankiety koszuli, sprawdzając, czy złote spinki w kształcie wilczych głów są na swoich miejscach. Ten rytuał nie uspokoił go jednak. Ruchy wciąż miał nerwowe, pełne napięcia, zupełnie jakby emocje wypełniały każdą jego komórkę. Musiał się wyżyć, dać upust złości. Jego wzrok powędrował ku smutnym resztkom złotego smartfona. Zrobił dwa kroki w ich kierunku i obcasem eleganckiego półbuta dokończył dzieła zniszczenia, wdeptując urządzenie w drewnianą podłogę.

Jebany Książę! Gdyby jego brat bliźniak tu był, pewnie doszłoby do rękoczynów. Bez problemu mógł sobie wyobrazić, w jakim stanie są dziewczyny jadące do Lubrańca. *Znowu to samo*.

Nie rozumiał, co pociąga Piotra w gwałtach i torturach, dlaczego tak uwielbia znęcać się nad kobietami. Generalnie Szymon zwany Mocnym uważał, że to nie jego sprawa, dopóki Książę dostarczał żywy, pełnowartościowy towar, za który dostawał sowitą zapłatę. Jednak od dłuższego czasu trafiające do kliniki dziewczyny były w coraz gorszym stanie – jak gdyby jego brat chciał pokazać, kto tu rządzi, i rzucał wyzwanie Karolinie van der Oord. *Urażona duma.*

Onegdaj Polka z holenderskim paszportem nie zgodziła się, by Piotr Wilk miał jakiekolwiek udziały w jej luksusowym ośrodku, w którym dzięki chirurgii i eksperymentalnym zabiegom pragnący wiecznej młodości bogacze walczyli z upływającym czasem. Nazwa znanej kliniki w pełni oddawała zakres prowadzonych w niej badań i świadczonych usług. „Mysterium Vitae" – tajemnica życia – była najnowocześniejszym tego typu ośrodkiem w Europie. Wybudowano go na obrzeżach Lubrańca, niewielkiego, sennego miasteczka leżącego dwadzieścia pięć kilometrów od Włocławka. Książę, w swym mniemaniu mafijny król Kujaw, najwyraźniej nie mógł znieść kobiety, która nie okazywała mu szacunku i nie bała się go. A może najzwyczajniej w świecie był sadystą czerpiącym chorą przyjemność z upokarzania bezbronnych dziewczyn?

Stojąc nad resztkami telefonu, Mocny nie potrafił rozstrzygnąć, co kieruje jego nieobliczalnym bratem. Ale teraz musiał się skupić na rozwiązaniu problemu, jaki zgotował mu Piotr. Czasu nie było wiele – transport młodego wina, jak nazywali kupowane od Księcia dziewczyny, miał być w Lubrańcu za pół godziny. Trzeba było przygotować blok operacyjny i postawić na nogi ludzi z laboratorium. Uspokoił się równie szybko, jak eksplodował, złość zastąpiła chłodna kalkulacja.

– Wszystko zgodnie z planem?

Drgnął, usłyszawszy głęboki kobiecy głos. Nie zauważył, kiedy w drzwiach jego gabinetu stanęła Karolina van der Oord. *Ale lachon!* Właścicielka „Mysterium Vitae", kontrolująca także Narodową Grupę Biochemiczną „Polon", sieć telefonii komórkowej, bank, hutę i elektrownię, prezentowała się znakomicie. Zdecydowanie nie wyglądała na swoje czterdzieści sześć lat i nie groziła jej „niewidzialność" będąca udziałem większości jej rówieśniczek – kobiet, za którymi nikt już się nie ogląda, z którymi nikt nie flirtuje i których nikt nie przepuszcza w drzwiach. *Ale lachon!* W jej obecności mężczyźni stawali na baczność i wciągali brzuch, gotowi zrobić wszystko, byle zwróciła na nich uwagę. Wyjątkiem byli tylko geje, starcy pozbawieni dostępu do viagry i młodzieńcy, którzy wciąż wierzyli, że dzieci przynosi bocian. Szymon Wilk także należał do fanklubu Karoliny i napawał się jej bliskością oraz widokiem jej idealnych krągłości. Ale nie tym razem.

– Co się dzieje? – spytała, widząc jego zniszczony telefon.

Przygotowany naprędce plan awaryjny, który przewidywał zażegnanie kryzysu, a dopiero potem poinformowanie o wszystkim szefowej, właśnie legł w gruzach. *Pieprzony Książę!* Szymon wiedział z doświadczenia, że w takiej sytuacji najlepiej powiedzieć prawdę.

Tymczasem Karolina van der Oord czujnie obserwowała mężczyznę i jego mowę ciała. Była jak skaner, przed którym nic się nie ukryje. Natychmiast dostrzegła pocieranie kciukiem grzbietu dłoni, zaciśnięte usta, przestępowanie z nogi na nogę i spłoszony wzrok.

– Młode wino skwaśniało w transporcie – oznajmił Mocny i rozłożył bezradnie ręce, dając do zrozumienia, że nie odpowiada za brata.

– Taaak – powiedziała przeciągle van der Oord i umilkła. Po chwili otworzyła trzymaną w dłoni złotą papierośnicę i wyciągnęła czarnego papierosa ekskluzywnej marki Sobranie Black Russian. Złoty ustnik trafił między umalowane na wiśniowo pełne wargi.

Szymon Wilk zawsze miał przy sobie zapalniczkę na taką okazję. Teraz doskoczył do szefowej, służąc ogniem.

Zaciągnęła się z wyraźną rozkoszą. Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej.

– Twój brat jest już trupem – oznajmiła bez jakichkolwiek emocji, jakby informowała, że wybiera się na zakupy, a po drodze wpadnie do kosmetyczki.

– Ale Karolino… to tylko… jakaś ukraińska szmata – zaczął Mocny, lecz nie dokończył, widząc, że szefowa kręci głową.

Co za fuck-up! Jej sarnie oczy nie wyglądały groźnie, jednak w takich chwilach jak ta znający ją ludzie dostrzegali w nich gniew i bezwzględność. Ci, których raz przekreśliła, nie mogli liczyć na jej litość.

– Jest już trupem, koniec tematu. A ty wybieraj, po czyjej stoisz stronie. – Zaciągnęła się raz jeszcze, po czym dmuchnęła mu gryzącym dymem prosto w twarz.

Szymon Wilk tylko zacisnął pięści. Nie zamierzał w tym momencie doprowadzać do konfrontacji, która jedynie skomplikowałaby i tak bardzo trudną sytuację.

– Chyba nie wątpisz w moją lojalność – rzekł, starając się, by w jego głosie nie pobrzmiewały tony, które mogłaby zinterpretować jako hardość lub brak respektu.

– Nie wątpię, mój wilku, nie wątpię – wyszeptała i zmysłowo zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

Wyglądała bardzo kobieco w spiętych w kucyk włosach, klasycznej niebieskiej bluzce i prostej granatowej spódnicy. Niedopalony papieros

upadł na podłogę. Zgasiła go botkiem z najnowszej kolekcji Jimmy'ego Choo. Jej miłość do drogich, ekskluzywnych butów była powszechnie znana. Tabloidy twierdziły nawet, że ma ich więcej niż gwiazda TVN-u Monika Olejnik. Podobno z tego właśnie powodu obie panie unikały się na oficjalnych rautach i bankietach.

Karolina ujęła w dłonie twarz Mocnego, a jej smukłe, wypielęgnowane palce zaczęły wodzić po gładkiej, niemal aksamitnej skórze, która dziwiła o tyle, że Szymon Wilk stoczył w swoim życiu dziesiątki nielegalnych walk na pięści i wyznawał zasadę, że ryj nie szklanka, nie stłucze się.

Nieoczekiwana pieszczota skończyła się jednak nagle, przechodząc w mocny uścisk. Nim zdążył zareagować, kobieta agresywnie wpiła się w jego usta. Pocałunek nie miał w sobie nic z erotyzmu, był brutalny, władczy i zakończył się ugryzieniem.

Dzika suka. Szymon Wilk odskoczył, czując, że ma przeciętą wargę, a po brodzie spływa mu krew.

– Nigdy, przenigdy mnie nie zawiedź! – Głos prezes van der Oord zabrzmiał głębiej i mocniej niż zazwyczaj. Nie było wątpliwości, że nie żartuje.

Rozumiał to też Mocny, który kiwnął głową na znak, że słowa szefowej dotarły do niego.

– A teraz, mój wilku, powiedz dokładnie, jak wygląda sytuacja.

Mężczyzna streścił rozmowę ze Świńskim Ryjem, który poinformował go o umierającej dziewczynie. Zaproponował również rozwiązanie.

– Sama w sobie śmierć surogatki nie jest dla nas największym problemem. Każdą macicę można ostatecznie zastąpić – powiedział, bacznie obserwując Karolinę van der Oord, która słuchała go z kamienną twarzą. – Musimy się skupić na pozyskaniu embrionu, który jest już przypisany do konkretnego pacjenta. Ratowanie życia nosicielki i jej hospitalizacja są nieopłacalne. Bez problemu kupimy nowy, zdrowy i sprawny inkubator – zakończył, jakby mówił o sprzęcie medycznym, a nie o kobiecie.

– Masz rację. Niech tylko wytną z niej wszystko, co może nam się przydać. – Karolina van der Oord ruszyła w kierunku masywnych drewnianych drzwi. – Ale i tak nie daruję tego twojemu bratu – rzuciła od progu, nie racząc nawet spojrzeć na Szymona Wilka.

Decyzja podjęta, sprawa zakończona. W pomieszczeniu unosił się jedynie zapach korzennych perfum z wyczuwalną egzotyczną nutą.

***

Podniósł głowę znad blatu biurka i kilka razy pociągnął nosem, jakby sprawdzał, czy nie jest zapchany. Jednocześnie potarł jego czubek i dziurki grubymi, niezgrabnymi palcami – typowy odruch po zażyciu sproszkowanego narkotyku, gdy okleja on błonę śluzową, przez którą przeniknie do krwi. Chwilę później, dotarłszy do mózgu, zwiększy poziom dopaminy nazywanej neuroprzekaźnikiem szczęścia, to zaś przełoży się na euforię, pobudzenie i pewność siebie.

– *No dawaj, gieroj, tiepier ty!* – Tubalny głos odbił się od ścian wykończonych ciemnym drewnem i rozszedł po obszernym gabinecie w angielskim stylu, stawiając wszystkich na nogi. – *Szto z taboj?*

Potężny mężczyzna nie dawał za wygraną i wymachiwał zwiniętym w rulon banknotem przed twarzą krótko ostrzyżonego brzydala o wysokim czole i dużym, krzywym nosie.

– Coś z tym Ukraińcem jest nie tak – żalił się, nie rozumiejąc, dlaczego ten nie chce skosztować najlepszej na rynku kokainy, której spora porcja spoczywała na wypolerowanej srebrnej tacy.

Sam wyglądał na kogoś, kto imprezuje od dłuższego czasu, i to raczej od wielu dni niż godzin. Jego długie blond włosy, zazwyczaj dokładnie zaczesane do tyłu i spięte w kucyk, były w nieładzie, a małe, wyłupiaste oczy tak przekrwione, że nie widać było białek.

– *Izwinitie, starszyna, ja prosta nie lublu kokainu* – próbował tłumaczyć się po rosyjsku Ukrainiec. Już wcześniej zauważył, że gospodarz włada tym językiem, i teraz chciał go przekonać. – *Moj organizm tierpit tolka wodku* –

rzekł i na dowód nalał sobie szklankę wódki, po czym wychylił ją jednym ruchem.

– Brawo, Ołeh, mój ty pieprzony Cyborgu! – Gospodarz, wyraźnie zadowolony, aż klasnął wielkimi jak młot dłońmi.

Miał wielkie plany związane z tym Ukraińcem. Ktoś taki jak Ołeh, kto walczył w Donbasie i kilka miesięcy wraz z garstką kompanów bronił lotniska w opanowanym przez prorosyjskich separatystów Doniecku, musiał być silnym i twardym zawodnikiem. *Maszyna do zabijania*. Nie przez przypadek nazywano ich Cyborgami, a na Ukrainie traktowano jak narodowych bohaterów.

– *A te diewoczki, o katorych ty gawarił, gdie one?* – zagaił niby od niechcenia Ołeh, wskazując ciśniętą w kąt gabinetu koronkową bieliznę.

Gospodarz zaśmiał się głośno.

– Co, jebać ci się chce, świntuchu? – spytał i nie czekając na odpowiedź, przytknął do nosa zrolowany banknot i pochylił się nad tacą, na której przygotowanych było kilka kresek kokainy. – Takiej nie kupisz na mieście – zareklamował towar, po czym wciągnął porcję białego proszku. Wyprostował się natychmiast, odchylając do tyłu głowę, i zawył jak lew. – Jak ja to, kurwa, kocham! – krzyknął.

Zebrane w gabinecie towarzystwo spojrzało w jego stronę.

Pedalskie ryje. Pociągając nosem, rozglądał się zdziwiony. Dopiero teraz dotarło do niego, że nie ma wśród nich żadnej kobiety. Nagle rozpiął rozporek i zaprezentował im przyrodzenie, z którego był bardzo dumny.

– Co się tak gapicie, pedały? Chcecie Księciu laskę wypolerować? – spytał i zaśmiał się głośno. Słynął z tego typu żartów, które nawet jego ludzie przyjmowali z politowaniem. – Masz rację, Ołeh, trzeba nam dziewczynek. Tych, o które pytałeś, już nie ma, sprzedane. Tam była jedna taka… drobna, z dużymi piersiami i długimi czarnymi włosami. Jak ona miała ma imię?

Piotr Wilk rozejrzał się, szukając kompanów, którzy brali udział w ostatniej orgii. Litry alkoholu i dziesiątki gramów narkotyków źle wpłynęły na jego pamięć krótkotrwałą. Pamiętał jej twarz, pamiętał, jak

jęczała i błagała o litość, pamiętał, jak gasił na jej jędrnej piersi cygaro, ale za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć, jak miała na imię. *Cholera jasna.* Złapał za szyję i przyciągnął do siebie krępego faceta. Delikwent miał ksywkę Bolo i wyglądał jak efekt nieudanego eksperymentu, w którym próbowano skrzyżować człowieka z gorylem i pitbulem.

– Bolo, jak miała na imię ta kurewka, co wytrzymała najdłużej? – spytał, unosząc brwi ocieniające przekrwione wyłupiaste oczy.

– Ale co wytrzymała najdłużej? – odpowiedział pytaniem Bolo. Nie wyglądał na takiego, który umie zliczyć do pięciu, a co dopiero ogarnąć zdanie podrzędnie złożone.

– Tępy jesteś jak twój chuj! – rzucił Książę, zostawił go i chwiejnym krokiem podszedł do mięśniaka w dresie.

Ten z kolei mógłby być twarzą kampanii społecznej ostrzegającej przed nadużywaniem solarium. Niemal hebanowy kolor jego skóry nie był efektem prażącego od kilku tygodni słońca, utrzymywał się bowiem przez cały rok. Między innymi dlatego kumple nazywali go Lala.

– Ty, piękny, jak miała na imię ta suka, którą ostatnią skończyliśmy oporządzać? No wiesz, ta, co tak cudnie jęczała – mówił Piotr Wilk, wpatrując się z nadzieją w ciemną twarz mięśniaka.

Lala podrapał się po głowie i zmrużył oczy, skupiając się na pytaniu.

– Chyba Swieta… Taaa, Swietłana – odparł wyraźnie szczęśliwy, że okazał się przydatny. Kolejny plus u szefa.

Teraz i Książę przypomniał sobie imię dziewczyny, którą przez blisko dobę gwałcił i torturował z Bolem, Lalą i kilkoma innymi chłopakami. *Swietka minetka*. Z uśmiechem wrócił do Ołeha, aby podzielić się z nim tą wiadomością.

Nie miał pojęcia, że Ukrainiec jest bratem dziewczyny i że przyjechał do Polski, by ją odszukać. Nie wiedział też, że to właśnie on wykończył szefa straży granicznej na polsko-białoruskim przejściu w Czeremsze, co doprowadziło do likwidacji ważnego szlaku przerzutu ludzi, alkoholu, narkotyków i broni. Mafioso z Jordanowa nie przypuszczał, że

skorumpowany przez niego pułkownik Roman Jasiuk powiedział przed śmiercią Ołehowi, gdzie i kogo powinien szukać, jeśli chce odnaleźć siostrę.

– *Swietłana. Jejo zawut Swietłana* – oznajmił, poklepując przyjaźnie Cyborga.

Ołeh zacisnął zęby, gotów rzucić się na gospodarza. Potrzebował jedynie ułamka sekundy – powtarzane tysiące razy śmiertelne uderzenia zadawał po jednym impulsie nerwowym. Cios shuto uszkadzał krtań i tchawicę, powodując śmierć przez uduszenie. Nieprzygotowana, rozluźniona ofiara nie miała szans. Jednak w tej sytuacji byłby to atak samobójczy – on zabiłby szefa, ale jego z pewnością dopadliby mięśniacy w dresach. A martwy nie odnajdzie siostry. Szybka kalkulacja wystarczyła Ukraińcowi, by się uspokoić. Trzeba było zdobyć więcej informacji. Zemsta musiała poczekać.

– Miała śliczną cipkę i taką ciasną dupkę… Jęczała jak zarzynana świnia, ale była wytrzymała. Prawie dobę ją obracaliśmy w tę i z powrotem – chwalił się Książę. – Niestety została odesłana do Lubrańca, do sióstr zakonnych. Ale niech cię to nie martwi, bracie, są u nas inne dziewczynki, które godnie ją zastąpią. – Mimo ewidentnych problemów z błędnikiem mafioso podszedł do strzaskanego na heban mięśniaka, objął go czule, ucałował w policzek i rzekł: – Te, Lala, przyprowadź jakieś lale, bo szlachta chce się bawić.

Usłyszawszy to, stojący w pobliżu mężczyźni zaczęli bić brawo i gwizdać. Szczególnie zadowoleni byli trzej Rosjanie, którzy przyjechali z Ołehem do posiadłości Piotra Wilka, by spróbować swoich sił w organizowanych przez niego nielegalnych walkach. Był to „sport" mocno kontuzjogenny, a czasami nawet śmiertelny, tak więc rotacja zawodników była duża. Przed laty dla Księcia walczył jego brat Szymon. Był świetny, lecz odszedł, bo zawróciła mu w głowie Karolina van der Oord.

Jebana sucz. Choć minęło już osiemnaście lat, Piotr Wilk wciąż chował urazę, a upływający czas jedynie radykalizował jego nastawienie do właścicielki „Mysterium Vitae". Coś, co początkowo można by nazwać niechęcią, wyewoluowało w szczerą nienawiść okraszoną żądzą zemsty.

Książę nie miał żalu do brata – facet czasami jest jak pies i wariuje na widok suki. Jej jednak nie potrafił i nie zamierzał wybaczyć. *Pieprzona sucz.* Upokorzyła go nie tylko odebraniem brata, chyba jedynej na całym świecie osoby, którą kochał, ale i odmową sprzedaży udziałów w klinice „Mysterium Vitae". Uważał się za pana i władcę na Kujawach, tym bardziej więc bolało go, że Karolina van der Oord traktowała go jak zwykłego pośrednika, pionka w biznesie przynoszącym setki milionów euro zysku.

Piotr Wilk wiedział, że nie jest ani tak przystojny, ani tak obyty jak jego brat bliźniak. W jego mniemaniu nie był to jednak powód, by traktować go jak wyrobnika i faceta od brudnej roboty. Tymczasem w kontaktach z właścicielką „Mysterium Vitae" czuł się jak szambonurek, którego wzywa się, gdy jest problem z gównem, ale patrzy się na niego z odrazą, zatykając nos, i broń Boże nie podaje mu się ręki.

Szambo wybiło. Książę nie zamierzał już więcej pozwalać na to, by odpicowana panienka z Holandii panoszyła się na jego terenie. Osiemnaście lat to wystarczająco długo. Chciał konfrontacji i dlatego od jakiegoś czasu wysyłał do Lubrańca mocno zużyty towar. Mimo uszu puszczał przy tym uwagi i ostrzeżenia brata – nie był strachliwy, a już na pewno nie obawiał się kobiet. Te zawsze traktował jako małowartościowy dodatek do wagin, odbytów, ust i cycków. Służyły mu głównie do spełniania najbardziej wyuzdanych fantazji seksualnych, które roiły się w jego nieproporcjonalnej głowie. No i były towarem, którym handlował i na którym dobrze zarabiał.

– *Naczalnik, szto z diewoczkami?* – zapytał Rosjanin, który zachowywał się jak szef trzyosobowej grupy byłych żołnierzy Specnazu.

Następny killer.

Nazywał się Michaił Sidorow, ale koledzy wołali na niego Rosomak. Był niski i żylasty. Jego postura nie robiła wielkiego wrażenia, lecz Książę dobrze znał ten typ niepozornych mężczyzn, niezwykle szybkich i zaskakująco silnych, których lepiej nie spotkać w ciemnym zaułku. Twarz poznaczoną miał charakterystycznymi bliznami po ospie, które raczej nie czyniły zeń obiektu kobiecych westchnień. On sam chyba też nie widział

się w roli donżuana, bo nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do wyglądu. Jak przystało na zaprawionego w bojach Rosjanina pił wódkę ze szklanek, przepalając papierosem i zakąszając suchym chlebem lub kiszonymi ogórkami.

– Spokojna twoja rozczochrana, Rosomak. Dziewczynki już idą – oznajmił napruty gangster, balansując ciałem w sposób, który zdradzał, że lada chwila pokona go grawitacja.

W tym momencie do gabinetu weszło sześć dziewcząt. Na pierwszy rzut oka miały od czternastu do dziewiętnastu lat.

– Częstujcie się, przyjaciele – rzucił Piotr Wilk swym tubalnym głosem.

Sam rozsiadł się w fotelu, by obserwować, jak dziewczyny zaspokajają jego gości ze Wschodu. Głowa kiwała mu się na boki, ale wciąż walczył ze zmęczeniem, które niczym morskie fale kołysało go do snu. Z przyjemnego odrętwienia wyrwał go widok Ołeha Petryka, który wzgardził wdziękami siedemnastoletniej Natalii. Gdy dziewczyna o jędrnych piersiach i szerokich biodrach próbowała swymi zgrabnymi palcami rozpiąć mu spodnie, odepchnął ją z wyraźnym obrzydzeniem. A przynajmniej tak się wydawało gospodarzowi, który poczuł się tym osobiście urażony.

Kutas!

W pijackim widzie zwlókł się z fotela i poczłapał w kierunku ukraińskiego brzydala. Stanął przed nim i chwiejąc się, spytał:

– Nie podobają ci się moje dziewczyny? Gardzisz nimi? A może jesteś pedziem?

Ołeh nie odpowiedział, uznawszy, że lepiej nie wdawać się w dyskusję z mężczyzną zamroczonym koktajlem alkoholu i kokainy, który mógłby powalić słonia.

Milczenie Ukraińca jeszcze bardziej rozwścieczyło mafiosa.

– Bolo, przynieś mi mój nóż, oprawimy świnkę! – zaryczał i chwyciwszy Natalię za włosy, pociągnął za sobą, nie bacząc na jej błagalne krzyki.

Pozostałe dziewczęta patrzyły na to z przerażeniem. Słyszały o brutalności Księcia, a dwie z nich doświadczyły już zadawanych przez

niego tortur.

Natalia, ubrana jedynie w prześwitującą halkę, tkwiła na podłodze przytrzymywana przez mężczyznę, który owinął sobie jej długie włosy wokół dłoni. Drżała na całym ciele i łkała cicho, a po jej policzkach płynęły łzy, rozmazując makijaż.

Książę nie zwracał na nią uwagi, wpatrując się w otwarte na oścież drzwi, którymi miał wejść Bolo z jego ulubionym nożem myśliwskim.

– Mam, szefie! – Głupawy pomocnik wrócił, dumny z dobrze wykonanego zadania.

Piotr Wilk chwycił ręcznie wykonany nóż z rękojeścią z poroża renifera.

– Nie podoba się towar? – rzucił do Ołeha.

Nim jednak Ukrainiec zdążył otworzyć usta, krótkie, mniej więcej dwunastocentymetrowe ostrze przejechało po gardle dziewczyny. Z rozciętej tętnicy szyjnej chlusnęła krew.

***

Ocknęła się zdezorientowana, czując metaliczny smak krwi w ustach. Było jej strasznie gorąco, a ciężkie powietrze – jakby zbyt gęste, by nim oddychać – dusiło. Z każdą chwilą czuła coraz większy ucisk na klatkę piersiową. Balansując na granicy życia i śmierci, nie wiedziała, że jest reanimowana. Czyjeś dłonie rytmicznie ugniatały jej mostek, pobudzając serce do działania.

– ...dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści – odliczał ktoś.

Już chciała krzyknąć, wezwać pomoc, lecz silny strumień powietrza, który wdarł się do płuc, uniemożliwił jej wydanie jakiegokolwiek dźwięku.

– W porządku, chyba ją mamy. Teraz trzeba ją szybko przenieść. – Męski głos wydawał się bliski, a jednocześnie daleki. – Uwaga, na trzy. Raz, dwa i hop!

Silne ręce podniosły ją i złożyły na noszach. Usłyszała trzask blokowanych poręczy i poczuła, że materac, na którym leży, się rusza. Jechała.

Początkowo trochę trzęsło, ale już chwilę później kółka noszy toczyły się po gładkiej, równej nawierzchni. Jednocześnie zrobiło się przyjemnie chłodno. Po skwarze, który dopiero co ją dusił, wysysając resztki życia, była to kojąca odmiana. Spróbowała otworzyć oczy. Opuchnięte, ciężkie jak kamienie powieki ledwie drgnęły, tworząc szparki, przez które zobaczyła nad sobą tylko jakieś cienie i migające światła.

– Jak masz na imię? – spytał ktoś. – Słyszysz mnie? Jak masz na imię?

Bardzo chciała odpowiedzieć temu człowiekowi, ale usta i język jej nie słuchały. Wpadła w panikę, że zostanie ukarana za takie zachowanie. Przecież tyle razy jej powtarzali, że ma być posłuszna, grzecznie odpowiadać na pytania i spełniać wszystkie zachcianki klienta. „A jak się będziesz stawiać, to już my cię wytresujemy" – huczały jej w głowie słowa Księcia. Bała się tego potężnego, nieobliczalnego mężczyzny i nie chciała ponownie wpaść w jego ręce. Drętwiała na samo wspomnienie bólu, jaki potrafił zadać. Ale przecież jeśli będzie grzeczna, nikt jej nie skrzywdzi. Trzeba się tylko odezwać.

– Swieta... mam na imię Swieta. Jak chcesz to zrobić? – wyszeptała. Każde słowo kosztowało ją wiele energii, ale toczące się nosze zagłuszyły ją swoim zgrzytem.

– Jak masz na imię? Słyszysz mnie? – zapytał mężczyzna po raz drugi.

Jednak zmaltretowana szesnastoletnia Ukrainka znowu pogrążyła się w mroku, w którym nie ma czucia, dźwięków ani czasu, a jest tylko wszechogarniająca nicość.

– Boże, ale ją ktoś urządził – jęknął sanitariusz w błękitnym szpitalnym uniformie.

Nie przypuszczał, że pracując w Lubrańcu, będzie miał do czynienia z takimi przypadkami. Kilka lat spędził w pogotowiu, ale – jeśli nie liczyć wypadków samochodowych – tak zmasakrowanego ciała nigdy nie widział. Głębokie rany cięte, oparzenia, połamane palce dłoni i stóp, siniaki na całym ciele. Jednak najgorzej wyglądała opuchnięta twarz z podbitymi oczami, rozciętymi wargami i zmiażdżonym nosem. Mężczyzna nawet nie chciał myśleć o tym, jak wyglądają pochwa i odbyt dziewczyny. Wystarczył

mu widok gęstej krwi sączącej się spod krótkich dżinsowych spodenek. Na szczęście tym zajmie się ktoś inny.

– Co to były za bestie? – zwrócił się do koleżanki, która pomagała mu pchać nosze.

Ta jednak tylko skarciła go wzrokiem, wskazując głową idącego przed nimi wysokiego lekarza.

– *No talking* – upomniał ich drągal w białym fartuchu, przypominając, że naczelną dewizą kliniki „Mysterium Vitae" jest absolutna dyskrecja, która przekłada się na zaufanie klientów.

Personel medyczny niższego szczebla, czyli wszyscy poza lekarzami, miał wykonywać polecenia bez zadawania zbędnych pytań. W zamian za to co miesiąc na konto salowych, sanitariuszy i pielęgniarek trafiała kwota zdecydowanie przewyższająca pensje w państwowej służbie zdrowia. To, co działo się w niedostępnym dla przypadkowych osób ośrodku, nie mogło wypłynąć na zewnątrz.

Za trzymetrowym murem naszpikowanym czujnikami ruchu i kamerami znajdował się leśny azyl o powierzchni osiemnastu i pół hektara.

Każdy z zatrudnionych w nim ludzi – począwszy od sprzątaczki, przez ochronę i kucharzy, a na zespołach medycznych skończywszy – został dokładnie sprawdzony i podpisał lojalkę, godząc się na regularne badania wykrywaczem kłamstw. Personel mieszkał na terenie ośrodka albo w wybudowanym specjalnie pensjonacie, albo – jak w przypadku lekarzy i kadry kierowniczej – w luksusowych drewnianych domach.

Sam gmach kliniki, a dokładniej to, co widoczne nad ziemią, był trzypiętrowym prostopadłościanem z kamienia, drewna i szkła. Całość zbudowano na zboczu tuż nad brzegiem rzeczki. Obiekt podzielony został na część hotelową, strefę rekreacyjno-zabiegową oraz szpitalną z czterema w pełni wyposażonymi salami operacyjnymi.

Karolina van der Oord otworzyła klinikę w 2008 roku i dysponując odpowiednimi funduszami, namówiła do współpracy znanych profesorów medycyny. Byli wśród nich specjaliści od chirurgii plastycznej,

transplantolodzy oraz naukowcy prowadzący badania nad komórkami macierzystymi, odnową biologiczną i regeneracją ludzkich komórek. Dzięki temu do niewielkiego Lubrańca, który nie miał nic do zaoferowania turystom, zaczęli zjeżdżać z całego świata bogacze wabieni możliwością oszukania upływającego czasu. Mimo usilnych starań dziennikarzy kilku tabloidów lista gości „Mysterium Vitae" była jednak tajemnicą, podobnie zresztą jak informacje na temat przeprowadzanych w ośrodku zabiegów i badań.

– Prawdziwie zamożni unikają rozgłosu i chronią swoją prywatność. Pieniądze lubią ciszę – powtarzała van der Oord.

Czasami żartowała, że zarządza kliniką w systemie 3D: po pierwsze, dyskrecja, po drugie, dyspozycyjność, po trzecie, dochody. Wystarczył cień podejrzeń wobec któregoś z pracowników, a natychmiast tracił on pracę. Krążyły również plotki, że z utratą zaufania właścicielki można było również stracić życie, ale traktowano je jako miejskie legendy opowiadane dla zabicia czasu podczas nieformalnych imprez integracyjnych. Karolina van der Oord też je znała, lecz nie zamierzała prostować.

– W jakim stanie jest nosicielka? – spytała stojącego obok lekarza.

Znajdowali się na antresoli tuż nad blokiem operacyjnym, od którego oddzielała ich gruba, dźwiękoszczelna tafla hartowanego szkła. Trzy metry niżej leżała naga Swietłana podłączona do aparatury podtrzymującej życie.

– Możemy próbować ją uratować, ale niczego nie gwarantuję. Ma poważne obrażenia wewnętrzne i wątpię, czy będzie się jeszcze nadawała na nosicielkę – odparł wysoki mężczyzna, patrząc na młodą Ukrainkę. Jego pociągła twarz o wyjątkowo długim, ale cienkim nosie nie wyrażała żadnych emocji. Wąskie, jakby pozbawione warg usta rozchyliły się i dodał: – Do wzięcia są serce i rogówka. Wątroba, trzustka i nerki zostały tak obite, że moim zdaniem nie nadają się do przeszczepu. To samo dotyczy płuc, zresztą w lewym wciąż tkwi złamane żebro.

Lekarz przygładził włosy. Miał zakola, które sięgały już niemal czubka głowy, ale z tyłu mógł się pochwalić istną burzą jasnych, błyszczących

loków. Mówił płynnie po angielsku, lecz wyraźnie słychać było charakterystyczny rosyjski akcent.

– A co z embrionem? – rzuciła właścicielka ośrodka.

To było najważniejsze. Liczył się tylko dziewięciotygodniowy zarodek, z którego pobrane zostaną komórki macierzyste – eliksir nieśmiertelności przed wiekami bezskutecznie poszukiwany przez alchemików. Dzięki inżynierii genetycznej coś, co jeszcze niedawno wydawało się mrzonką, paranaukową utopią, stało się faktem. Komórki macierzyste mają niezwykłą zdolność regeneracji i replikacji, co pozwala im żyć niemal wiecznie. Na tym zresztą cuda się nie kończą. Potrafią też przekształcić się w dowolną komórkę organizmu, odpowiednio zaprogramowane mogą więc stać się tkanką serca, krwią, komórkami mózgu lub skóry. To z kolei pozwala regenerować narządy i tym między innymi zajmowała się klinika „Mysterium Vitae".

Spośród różnych technik pozyskiwania komórek macierzystych najlepsze efekty dawało pobieranie ich z ludzkiego embrionu – po prostu nic nie jest w stanie przebić natury. Zabiegi te wykraczały daleko poza obowiązujące normy prawne, dlatego trzymane były w największej tajemnicy i wiedział o nich tylko wąski krąg zaufanych osób. Karolina van der Oord nie miała jednak dylematów etycznych, a jej klienci, wydający majątek na nowatorskie terapie prowadzone w leśnym azylu pod Lubrańcem – żadnych oporów.

– Embrion możemy pobrać w każdej chwili. Czekamy na decyzję – odpowiedział lekarz, patrząc znużonymi oczami na szefową.

Karolina przywykła do jego beznamiętnej twarzy. Wiedziała, że to tylko pozory, genetyczny defekt, który pozbawił profesora Wasilija Orłowa zdolności okazywania uczuć. Przeniosła wzrok na leżącą na stole operacyjnym dziewczynę. Nawet nie wiedziała, jak ma na imię. Zresztą nie interesowało jej to. Ważne były grupa krwi i wyniki badań, które przeprowadzono jeszcze w Swierdłowsku na wschodzie Ukrainy, zanim nastolatka została sprzedana ludziom Księcia.

– Zdumiewające, jak zupełne bywa złudzenie, że piękno jest dobrem – rzekła po rosyjsku, cytując Lwa Tołstoja.

Profesor Orłow spojrzał na nią i nieznacznie wykrzywił swe wąskie usta w grymasie, który przy odrobinie dobrej woli można by uznać za uśmiech.

ROZDZIAŁ 2

PIERWSZY DZIEŃ OBOWIĄZYWANIA STANU WYJĄTKOWEGO

„Grobem otwartym jest ich gardło,
językiem swoim knują zdradę,
jad żmijowy pod ich wargami".
List do Rzymian 3,13

Wydął wargi i z niedowierzaniem pokręcił głową, ostentacyjnie okazując dezaprobatę. Siedział rozparty na krześle z rękoma skrzyżowanymi na piersi, a jego postawa wyrażała skrajną arogancję. Znakomicie wiedział, że pochylająca się nad nim blisko sześćdziesięcioletnia brunetka nie znosi butnych podwładnych, a takie zachowania traktuje jak afront.

– Nie bądź jak gówniarz, który płacze, bo kolega z piaskownicy zabrał mu wiaderko. Jebnij kutasa łopatką i weź, co swoje! – wysyczała przez zaciśnięte zęby, a jej twarz znalazła się ledwie kilka centymetrów od jego gładkiej facjaty z silnie zarysowaną kwadratową szczęką. – Też jestem oburzona zachowaniem prezydenta, który zerwał umowę i nie wybiera się na emeryturę, ale nie zamierzam załamywać rąk – dodała.

Szefowa rządu wyprostowała się i zaczęła wodzić wzrokiem po pozostałych uczestnikach spotkania. Oprócz nadąsanego Witolda Rudzkiego przy stole siedzieli jeszcze trzej mężczyźni ze ścisłego kierownictwa Bloku Demokratycznego. Rozczochrane siwe włosy i długa, skołtuniona broda Jarosława Kota, wiceprezesa partii i zaufanego człowieka premier Czackiej, potrzebowały interwencji fryzjera tak bardzo, jak jego garderoba prania i odświeżenia. Choć był strasznym flejtuchem, Elżbieta Czacka, kobieta uchodząca za estetkę, tolerowała ten żenujący

styl, nade wszystko bowiem ceniła jego inteligencję, lojalność i oddanie. W świecie polityki, pełnym żmij, hien i idiotów, były to rzadkie cechy. Obok Kota siedział sekretarz generalny Bloku Demokratycznego Jakub Wolski. Ten tęgi czterdziestolatek, nazywany karbowym, odpowiadał za dyscyplinę w partii, co oznaczało głównie trzymanie na krótkiej smyczy partyjnych dołów. Jowialny styl bycia i zamiłowanie do biesiad pomagały mu w ciężkiej pracy w tak zwanym terenie. Wolski uznawany był za sojusznika Witolda Rudzkiego, ale przede wszystkim dbał o swój coraz większy tyłek. Czacka przeniosła wzrok na ostatniego uczestnika narady. Artur Barański był najmłodszy w tym gronie. Niepozorny trzydziestopięciolatek o wyglądzie wiecznego studenta odpowiadał za działania marketingowe Bloku Demokratycznego na wszelkich możliwych platformach, począwszy od gazet, przez rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne, na internecie skończywszy. Zarządzał sztabem ludzi, którzy dbali o wizerunek partii, zgodnie z zasadą, że cel uświęca środki. Barański, specjalista od socjotechnicznych sztuczek i manipulacji, traktował politykę jak pole niekończącej się bitwy. Gdy była taka potrzeba, sprzedawał kłamstwo jako prawdę, a z prawdy robił kłamstwo, wszystko to zaś bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Może i działa jak Goebbels, ale cieszę się, że to mój Goebbels – stwierdziła pewnego razu premier, gdy w prywatnej rozmowie lider partii opozycyjnej powiedział, że Barański jest nieodrodnym synem nazistowskiego ministra propagandy.

Spotkanie odbywało się w jej przestronnym, skromnie umeblowanym gabinecie, w którym dzięki klimatyzacji panował przyjemny chłód. Objąwszy urząd premiera, Elżbieta Czacka zadbała o wystrój tego miejsca, ustawiając wszędzie kwiaty, głównie storczyki, i dlatego złośliwi po cichu nazywali je Kwiaciarnią. Miłość do roślin mogła tworzyć wrażenie, że premier jest typem ciepłej kobietki – milutkiej sąsiadeczki lub ogrodniczki niebezpiecznej jedynie dla mszyc. Ci, którzy wierzyli w ten kreowany przez kolorową prasę wizerunek, popełniali olbrzymi błąd. Czacka, choć miła i kulturalna, była politycznym drapieżcą. Bezwzględnie walczyła

o przywództwo w Bloku Demokratycznym, a gdy już została prezesem partii, postanowiła sięgnąć po prawdziwą władzę. Stanowisko premiera zawdzięczała talentowi i ciężkiej pracy. Nikt go jej nie dał i nie była niczyją marionetką.

Szefowa rządu raz jeszcze popatrzyła po twarzach mężczyzn siedzących wokół okrągłego stołu. *Fiuty w górę!*

– Widzę tu smętnych facetów, ciężko zdziwionych tym, że w polityce nic nie jest dane raz na zawsze i trzeba się bić o swoje. Jesteście jak te tłuste kocury czekające, aż ktoś podsunie im pod nos michę z żarciem – powiedziała.

Polityczne eunuchy. Odwróciła od nich wzrok i podeszła do okna, z którego rozpościerał się widok na ogrody Kancelarii Premiera. Drzewa i krzewy były w opłakanym stanie. Wyschnięte na wiór bezlistne kikuty tkwiły martwe. Po soczystej zielonej trawie, z której tak dumni byli tutejsi ogrodnicy, nie został nawet ślad. Co rusz podmuch wiatru wzbijał tumany kurzu, rozwiewając wysuszoną glebę. Obraz był poruszający. Czacka z bólem patrzyła na szkody, jakie wyrządziła trwająca od czerwca susza. Między nagimi drzewami widać było białą elewację Belwederu skąpaną w promieniach palącego słońca. *Chatka leśnego dziadka.* Rezydencja głowy państwa znajdowała się zaledwie dwieście metrów w linii prostej od miejsca, w którym urzędowała Elżbieta Czacka. Odległość ta nie miała jednak przełożenia na relacje polityczne na linii prezydent–premier. Obecnie było im do siebie tak daleko jak chyba jeszcze nigdy.

– Przestraszyliście się prezydenta? – podjęła Czacka, obracając się do podwładnych i wygładzając dłońmi nierówności mieniącego się odcieniami złota żakietu. Ku rozpaczy stylistów i doradców od wizerunku uwielbiała błyszczące garsonki. – Tarnowski najwyraźniej uwierzył, że może wrócić do gry i powalczyć o drugą kadencję. Musimy wybić mu ten pomysł z głowy. Ale najpierw trzeba się dowiedzieć, kto mu go podsunął, bo tylko idiota uwierzy, że Dziadek Zygi sam wymyślił tę zagrywkę.

Szefowa rządu jak zwykle była pewna siebie. Brzmiącą w jej głosie stanowczość podkreślała jeszcze wyprostowana sylwetka z dłońmi

splecionymi z przodu tak, by kciuki były skierowane do góry. Mocny makijaż i zaczesane do tyłu krótkie, ciemne włosy sprawiały, że wyglądała nieco demonicznie. Nie pierwszy raz okazywało się, że w kryzysowej sytuacji koledzy z zarządu partii najchętniej schowaliby się jej pod spódnicę. Najbardziej zawiedziona była Arturem Barańskim, który przyszedł na spotkanie nieprzygotowany i nie miał jakiejkolwiek strategii medialnego ataku na prezydenta. Oczywiście nie chodziło o otwartą wojnę, ale o sączenie informacji, które ośmieszałyby Zygmunta Tarnowskiego, przypominając, że jest jedynie pociesznym Dziadkiem Zygim. W tym gronie tylko Witold Rudzki zachował resztki męskiej godności, choć akurat wciąż siedział naburmuszony.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, minister sprawiedliwości niespodziewanie zaatakował.

– Jeśli mam być szczery, Elu, chciałbym wiedzieć, jaką mam gwarancję, że nie wydymacie mnie z Tarnowskim na dwa baty – rzucił, uznawszy, że dalsze strzelanie focha jedynie ośmiesza go w oczach Czackiej i partyjnych kolegów. – Z twoich słów wynika, że nasz zramolały Prezio nagle ożył i podskakuje niczym marionetka. Skąd pewność, że to nie twoje rączęta nim kierują? – Zaprezentował swój hollywoodzki uśmiech, tym razem w kpiącej odmianie. – Bo tak cię słucham i myślę sobie, że być może całą tę hecę z moim startem w wyborach prezydenckich wymyślono, by spalić mnie jako potencjalnego kandydata w wyborach za pięć lat i osłabić moją pozycję w partii.

Niski, głęboki głos i magnetyczne spojrzenie Witolda Rudzkiego nie zrobiły na szefowej rządu większego wrażenia. Usiadła i stukając palcami o blat stołu, czekała na ciąg dalszy.

– Jeśli Tarnowski tego chce, to pozwólmy mu może na piękne samobójstwo – kontynuował minister. – Ale nikt nie zrozumie, dlaczego staję do walki z urzędującym prezydentem z naszej partii, i to jeszcze w czasie żałoby narodowej po zamachach terrorystycznych. Wyjdę na pieniacza i awanturnika. Takiego wała. – Zgiął rękę w łokciu, a drugą złapał

się za ramię, pokazując słynny gest Kozakiewicza z Igrzysk Olimpijskich w Moskwie w 1980 roku.

Elżbieta Czacka milczała, wiedząc, że Rudzki musi się wygadać.

– Jaką mam gwarancję, że nie wycofasz poparcia dla mnie i nie zostanę sam ze spuszczonymi gaciami?

Ostatnie słowa sprawiły, że szefowa rządu uśmiechnęła się do swoich myśli. Wiele lat temu, gdy Rudzki jeszcze raczkował w polityce, jako starsza, doświadczona koleżanka zaopiekowała się nim troskliwie. Dzięki temu wiedziała, że nie ma czego się wstydzić i może spokojnie paradować bez majtek. Chciała to nawet powiedzieć, ale ugryzła się w język, uznawszy, że to nieodpowiednia okazja do takich wspomnień.

– Stanę się pośmiewiskiem partyjnej hołoty – ciągnął tymczasem minister. – Przy wódce będą sobie opowiadać o naiwniaku, którego ograliście jak dziecko, a po wszystkim kopnęliście w dupę.

To już zabrzmiało jak użalanie się nad sobą i wydało się żałosne nawet samemu Rudzkiemu.

– Wiesz, o co mi chodzi, do jasnej cholery! – powiedział i machnął bezradnie ręką.

Był to dla Elżbiety Czackiej sygnał, że powinna zabrać głos. Wzięła głęboki oddech.

– Drogi Witku, rozumiem twoje obawy i rozterki – zaczęła koncyliacyjnie. – Na twoim miejscu zapewne kalkulowałabym podobnie. Wiem też, że nasze relacje nie zawsze były dobre, co może rodzić wzajemną nieufność – ciągnęła spokojnie, nie spuszczając wzroku z Rudzkiego.

Ten lekko szpakowaty, krótko przystrzyżony mężczyzna po pięćdziesiątce był w znakomitej formie. Wysportowany i szczupły emanował energią witalną. Był urodzonym fighterem i tylko czasami, tak jak dziś, miewał gorsze dni. Elżbieta Czacka była jednak przekonana, że to wyłącznie chwilowy spadek mocy.

– Ani ty, ani ja nie jesteśmy święci, robiliśmy sobie różne świństwa, walcząc o władzę w partii – powiedziała.

Na te słowa Jakub Wolski zachichotał, szybko jednak umilkł skarcony spojrzeniem szefowej rządu.

– Jasne jest też, że prędzej czy później znowu spróbujesz pozbawić mnie szefostwa Bloku Demokratycznego, a co za tym idzie, stanąć na czele rządu. – Czacka uśmiechnęła się łagodnie i zaraz dodała: – Nie mam żalu, to naturalna kolej rzeczy. Jesteś jedyną osobą w naszej partii, która realnie mi zagraża. Chyba że zrobię z ciebie prezydenta – powiedziała, sięgając po filiżankę z herbatą. Piła tylko zieloną, ze względu na jej zdrowotne właściwości. Wzięła łyk, potem drugi i wróciła do tematu. – Gdy zostaniesz prezydentem, zgodnie z niepisaną tradycją pozbędziesz się partyjnej legitymacji, a więc i ambicji kierowania Blokiem Demokratycznym. To dla mnie idealny układ, chyba rozumiesz – rzekła, wbijając wzrok w Rudzkiego.

Po chwili namysłu minister sprawiedliwości skinął głową.

– Oczywiście możesz się wycofać i pozwolić Tarnowskiemu powalczyć o drugą kadencję – kontynuowała Czacka, zadowolona z obrotu spraw – a samemu czekać na kolejną szansę pięć lat. Ale możemy też… – zawiesiła głos, stopniując napięcie i skupiając na sobie uwagę mężczyzn – dla wspólnego dobra rozprawić się z Zygim i jego tajemniczymi poplecznikami. Jestem strasznie ciekawa, kto za nim stoi, skoro ten pierdziel nie lęka się już moich gróźb i nie chce trzech milionów euro na fundusz emerytalny. A ty nie jesteś? – spytała retorycznie.

***

– Kto ma, kurwa, coś do powiedzenia w tej sprawie?!

Rzadko przeklinała, ale nerwy miała napięte do granic wytrzymałości i tym razem ją poniosło. Czuła się rozbita fizycznie i psychicznie. Jej i tak już pogmatwane życie przeszło z fazy ostrych turbulencji w fazę totalnego rozpadu. Całe dnie spędzała w pracy, niemal nie sypiała, a jakby tego było

mało, odstawiła alkohol, co objawiało się uderzeniami gorąca, zimnymi potami, utratą apetytu, nudnościami i kołataniem serca. Kumulujące się od kilku dni stres, zmęczenie i zespół odstawienia stworzyły mieszankę wybuchową. *Cholerne nieroby*. Eksplodowała, pozwalając sobie na zachowanie, którego nie tolerowała u przełożonych. Jako namiętna czytelniczka poradników psychologicznych wiedziała, że krzyk jest oznaką słabości i maskuje bezradność, brak argumentów, własne błędy albo wyrzuty sumienia. Mimo to dała upust zżerającej ją frustracji i wyżyła się na współpracownikach.

– Oczekuje się od nas szybkich i skutecznych działań. Czy ktoś tu nie rozumie któregoś z użytych przeze mnie słów? – spytała retorycznie i z premedytacją kontynuowała bycie suką: – Czy nie dotarło do was, jak ważne jest to, co robimy? A może, kurwa, macie coś ważniejszego na głowie?!

Gdy chciała, potrafiła być nieprzyjemna – była to umiejętność nabyta przez lata w prokuraturze. Użeranie się z kolegami idiotami, przestępcami bez poczucia winy i sumienia oraz obcowanie z ludzkimi dramatami sprawiły, że jej skóra nabrała grubości tak potrzebnej w tej pracy.

– Od pierwszego zamachu minął ponad tydzień – ciągnęła po krótkiej przerwie – od drugiego trzy dni, a my nie mamy choćby jednej w miarę logicznej hipotezy, którą można by przedstawić szefom! Oczekujecie pochwały?! – krzyczała, wymachując długimi, chudymi rękami, i kiwała się jak tatarak na wietrze.

Dość, dość, dość! Czuła, że z bezsilności po jej zapadniętych policzkach lada chwila popłyną łzy. Nie chciała do tego dopuścić, nie przy ludziach, którymi kierowała i przed którymi postanowiła odgrywać twardzielkę. Schyliła głowę, pozwalając, by długa blond grzywka przesłoniła jej pociągłą twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, haczykowatym nosem i drobnymi ustami. Tak na wszelki wypadek, żeby dać sobie czas na powściągnięcie nerwów. *Spokój, opanowanie, kontrola*. Odetchnęła głęboko i rozejrzała się.

Sala konferencyjna została zaadaptowana na potrzeby centrum operacyjnego grupy specjalnej prowadzącej śledztwo w sprawie zamachów terrorystycznych. Zbudowany naprędce *open space* znajdował się na piątym piętrze gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości, w części narożnej, która łączyła budynek stojący przy Alejach Ujazdowskich z należącą do ministerstwa kamienicą przy Koszykowej. Z lotu ptaka całość przypominała nieco koślawą literę V. Z *open space'u* był doskonały widok na plac Na Rozdrożu. Przychodząc do pracy, śledczy codziennie widzieli przez okna miejsce tragedii, do której doszło 19 sierpnia dokładnie o 16.31. Zostawiona na potrzeby ekspertyz pirotechnicznych olbrzymia wyrwa w asfalcie była niczym otwarta rana przypominająca o czterdziestu pięciu osobach zabitych w tym zamachu. Na samym środku Rozdroża – na czymś, co przed nadejściem suszy było pasem zieleni oddzielającym jezdnie – warszawiacy ustawili setki zniczy i świec. Płonęły nieprzerwanie dzień i noc, a ludzie wciąż donosili nowe. Jeszcze więcej było ich na chodniku między zdewastowanym przez wybuch przystankiem autobusowym a restauracją Rozdroże, która także ucierpiała w wyniku eksplozji „matki szatana". Ten używany chętnie przez terrorystów materiał wybuchowy to nadtlenek acetonu, w skrócie TCAP, którego siła wybuchu jest zbliżona do siły wybuchu trotylu. Nie trzeba doktoratu z chemii i profesjonalnego laboratorium, aby z powszechnie dostępnych substancji chałupniczym sposobem wyprodukować ten szalenie niebezpieczny biały proszek.

Bomba, która eksplodowała w Warszawie, składała się z kilkunastu kilogramów TCAP oraz heksogenu, materiału wybuchowego, którego nie da się tak łatwo wyprodukować w domu. Ładunek był dodatkowo wypełniony śrubami, gwoździami i stalowymi kulkami z łożysk, by zwiększyć siłę rażenia i liczbę ofiar. Atak został zaplanowany i przeprowadzony bardzo precyzyjnie. Bombę umieszczono w limuzynie, którą jechała Karolina van der Oord, właścicielka imperium biznesowego działającego w energetyce, telekomunikacji, bankowości i branży chemicznej. Ona, jej kierowca i ochroniarz nie mieli szans. Odnaleziono jedynie strzępy ciał, które eksperci zidentyfikowali dzięki badaniom DNA. Dotychczas nie udało się ustalić nic więcej.

– Dobra, przepraszam za krzyki, trochę mnie poniosło. Klasyczny PMS.

Usłyszawszy to, jeden z prokuratorów spojrzał na stojącą obok koleżankę i zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?". Ta jedynie wzruszyła ramionami, skupiając się na tym, co poza przeprosinami ma im do powiedzenia szefowa.

– Drepczemy w miejscu, więc weźmy się do roboty. Pogońcie laboratoria i jeszcze raz przejrzyjcie zeznania świadków. Co z monitoringiem? Mamy już wszelkie możliwe nagrania? Poproście ABW o świeże raporty sytuacyjne i analizy – wyliczała Agnieszka, starając się nie wyjść na bezradną desperatkę, która nie wie, co robi i dokąd zmierza.

Nie zmieniało to jednak faktu, że czuła się jak małe dziecko, przed którym dorosły rozsypał olbrzymie puzzle i kazał ułożyć po ciemku kilka tysięcy elementów.

To poczucie beznadziei dotyczyło także drugiego zamachu – na samolot linii Alitalia. Airbus A 320 ze stu dwudziestoma dwoma pasażerami i członkami załogi na pokładzie eksplodował wkrótce po starcie z lotniska Chopina i spadł w okolicach Grójca, niecałe pięćdziesiąt kilometrów na południe od Warszawy. Pierwsze ekspertyzy wskazywały, że w tym przypadku terroryści użyli wyłącznie heksogenu. Ten jeden z najpotężniejszych materiałów wybuchowych od lat kojarzony był z operacjami rosyjskich służb specjalnych. Nie tylko miłośnicy teorii spiskowych nazywali go „pieczęcią Putina". We wrześniu 1999 roku substancja ta została wykorzystana do przeprowadzenia w Rosji czterech krwawych zamachów. Pod zgliszczami wysadzonych budynków mieszkalnych zginęło w sumie 313 osób. Wydarzenia owe posłużyły jako pretekst do rozpętania drugiej wojny czeczeńskiej i wyniosły na szczyty władzy Władimira Putina, byłego szefa Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Według niepotwierdzonych hipotez to właśnie FSB miała zorganizować zamachy w Bujnaksku, Moskwie i Wołgodońsku, a odpowiedzialnością za nie obciążyć czeczeńskich separatystów.

Gdy tylko okazało się, że to prawdopodobnie heksogenu użyto do zniszczenia maszyny Alitalii, polskie media przypomniały wydarzenia

z 1999 roku. Zaczęto stawiać pytania, które sugerowały, że zamachy z 19 i 24 sierpnia są elementem wojny hybrydowej Putina z Polską. Po zaanektowaniu przez Rosję Krymu i wydarzeniach na wschodzie Ukrainy teorie takie trafiały na podatny grunt. „Idzie wojna, idzie wojna, idzie krwawa rzeź". Tak zwany wątek rosyjski musiał więc pojawić się jako jedna z hipotez w śledztwie specjalnego zespołu prokuratorów, tym bardziej że z wciąż nieujawnionych opinii publicznej ustaleń Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wynikało, iż kilka miesięcy przed zamachami nieokreślona ilość heksogenu trafiła nielegalnie do Polski z Białorusi. I bez tej informacji presja wywierana na śledczych przez polityków i media rosła z każdym dniem, w którym nie padła odpowiedź na kluczowe pytanie: „Kto stoi za zamachami?". Społeczeństwo rozpalone żądzą zemsty domagało się w swym świętym gniewie sprawiedliwości, i to natychmiast. Zegar tykał coraz głośniej i było jasne, że jeśli w śledztwie nie nastąpi jakiś przełom, polecą głowy. Trzeba będzie rzucić coś wygłodniałej gawiedzi, by pokazać, że władza działa, nadzoruje i rozlicza.

Znakomicie zdawała sobie z tego sprawę kierująca specgrupą Agnieszka Ossowska, tyczkowata prokurator o surowej, kościstej twarzy i grzywie blond włosów opadającej na oko. Wyglądała już na uspokojoną, po wybuchu złości nie było śladu.

– Tadeusz, chcę z tobą porozmawiać w akwarium – zwróciła się do najstarszego w zespole prokuratora, robiąc przepraszającą minę.

Jej zmieszanie wynikało z faktu, że Tadeusz Rybicki był jej mentorem i wieloletnim szefem w krakowskiej prokuraturze, gdzie zaczynała karierę. Osobiście przekonała go, by dołączył do specjalnego zespołu śledczych.

– Za stary jestem na takie akcje – powiedział, gdy po raz pierwszy zadzwoniła do niego z propozycją.

Długo się opierał, ale w końcu się zgodził. Agnieszka po prostu wiedziała, jak z nim rozmawiać i które struny psychiki prokuratora poruszyć. *Próżność ponad wszystko*. Zwyciężyła chęć wzięcia udziału w historycznym śledztwie, o którym będą pisać w podręcznikach dla studentów prawa.

– Wchodzę w to. Przynajmniej będę miał co wspominać na emeryturze – oznajmił i następnego dnia był już w Warszawie, jak zwykle elegancki, pod krawatem mimo afrykańskich wręcz upałów.

Ossowska dała mu wolną rękę, nie chciała bowiem, by czuł się jej podwładnym. Dla obojga byłaby to dziwna i krępująca sytuacja, a tak Tadeusz Rybicki pełnił nieformalną funkcję niezależnego konsultanta. Teraz zaś nadszedł moment, w którym potrzebowała jego rady.

– Już idę – odpowiedział, sprawdzając coś w komputerze.

Ruszyła przodem, ubrana w prostą białą bluzkę i szare materiałowe spodnie typu rurki, które tylko podkreślały jej anorektyczną chudość. Pchnęła przeszklone drzwi, a te ustąpiły z trudem. *Źle spasowane.* Akwarium było usytuowane na lewo od wejścia do *open space'u* i oddzielone od niego szklaną taflą. W tym gabinecie Agnieszka Ossowska czuła się jak nadzorca niewolników. Usiadła za biurkiem i patrzyła na dwudziestu ludzi, którzy mieli do rozwikłania najważniejszą sprawę w swoim życiu. Na razie nikt nie przyznał się do zorganizowania zamachów i już pewnie tego nie zrobi. Minęło zbyt wiele czasu. To ułatwiłoby im prowadzenie śledztwa, a tak sami musieli złapać trop, który doprowadzi ich do terrorystów. Pracowały nad tym setki policjantów i wszelkiej maści ludzi ze służb specjalnych, jednak prokurator Ossowska miała wrażenie, że wszyscy oni – jej nie wyłączając – patrzą w złym kierunku. To uczucie narastało w niej, odkąd dowiedziała się, że jednym z pasażerów tragicznego lotu do Rzymu był arcybiskup włocławski Jan Werda. Dostojnik leciał na konsystorz, podczas którego miał dostać kardynalską purpurę.

Rybicki zastukał w szklane drzwi, a Agnieszka dała znak ręką, by wszedł.

– Ty nie musisz pukać, nie wygłupiaj się – powiedziała.

Mężczyzna jedynie uśmiechnął się nieznacznie.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał, sadowiąc się na skórzanej kanapie, która nocą służyła Agnieszce za łóżko.

– Rozmawiam z tobą, bo tylko do ciebie mam zaufanie – zaczęła od dowodu uznania dla mentora, ale i jasnego sygnału: „Ryj na kłódkę, ani

słowa nikomu". W dwudziestoosobowym zespole zawsze mógł się znaleźć ktoś łasy na kasę, kto pobiegnie do mediów sprzedać gorącego newsa.

– Rozumiem – rzekł Rybicki.

Miał sześćdziesiąt lat i wyraźnie zaokrąglony brzuch, którego dorobił się, siedząc od lat za biurkiem. Wianuszek kręconych włosów oplatał coraz większą łysinę na czubku jego głowy.

Mocno wyliniał.

Prokurator pogładził wąsik nad górną wargą przystrzyżony w stylu, który Agnieszce Ossowskiej przypominał zarost Clarka Gable'a grającego Rhetta Butlera w jej ulubionym kiedyś *Przeminęło z wiatrem*. Szybko odpędziła tę myśl.

– To, co teraz powiem, zabrzmi jak jakaś pieprzona teoria spiskowa. Owszem, to nie najlepszy wstęp, ale muszę o tym z tobą pogadać. Sama już nie wiem, czy nie wariuję, ale… – zawiesiła głos, jakby zbierała się na odwagę – wydaje mi się, że oba zamachy łączą Karolina van der Oord i arcybiskup Jan Werda – wyrzuciła z siebie szybko, nie patrząc na Rybickiego, jakby się wstydziła naiwnej teorii, po czym z kwaśną miną i wzrokiem wbitym w blat biurka czekała na reakcję swojego mistrza.

***

– Szaleństwo! Istny obłęd! – wykrzykiwał, gestykulując zamaszyście i co rusz stukając się w czoło.

Siedzący obok niego mężczyzna jedynie kiwał głową.

– Kuba, albo ja zwariowałem, albo to świat oszalał – rzucił i umilkł, bo rządowe bmw serii 7 zatrzymało się na tyłach modnej warszawskiej restauracji Sowa & Przyjaciele.

Minister sprawiedliwości otworzył drzwi klimatyzowanej limuzyny i poczuł na twarzy uderzenie gorąca. Było bezwietrzne wczesne popołudnie, słońce prażyło niemiłosiernie, a temperatura sięgała czterdziestu stopni Celsjusza. Najchętniej zostałby w aucie, ale był głodny i musiał odbyć poufną rozmowę z Jakubem Wolskim. Potrzebował miejsca,

w którym nikt ich nie zobaczy ani nie usłyszy, dlatego zarezerwował „zakrystię" – pomieszczenie dla VIP-ów u Sowy, do którego można było wejść od tyłu, bez konieczności paradowania przed klientelą restauracji. *Dyskrecja Szwecja, elegancja Francja*.

Po krótkim wahaniu Rudzki wystawił nogę z samochodu, oparł na niej ciężar ciała i podniósł się sprężyście. Wysiadłszy, z irytacją czekał na gramolącego się Wolskiego. Zbytnia tusza coraz bardziej dawała mu o sobie znać – nawet prostym czynnościom, takim jak wysiadanie z samochodu, towarzyszyły jęki i sapanie. Brzuch sekretarza generalnego Bloku Demokratycznego wylał się znad skórzanego paska, a spodnie niebezpiecznie napięły na jego wydatnych pośladkach.

– Musisz schudnąć, stary, ludzie zaczynają się z ciebie śmiać – powiedział Rudzki, czym we własnym mniemaniu dał wyraz troski o zdrowie czterdziestolatka. *Tłusta świnia.* Sam, szczupły i wysportowany, był okazem zdrowia i – w przeciwieństwie do partyjnego kolegi – całkiem nieźle znosił panujące od czerwca upały.

Jakub Wolski ledwie wytoczył się z limuzyny i natychmiast zaczął się pocić. Jego niebieska koszula zrobiła się wyraźnie ciemniejsza na piersi, pod pachami oraz na plecach.

Obaj byli bez marynarek, które w taką pogodę nosić mógł jedynie masochista. Rudzki podwinął rękaw, odsłaniając czarny tytanowy zegarek, którego cena zdecydowanie przekraczała możliwości finansowe urzędnika państwowego, nawet ministra. Tylko kilka osób wiedziało, że to prezent od Karoliny van der Oord – wart ponad 80 tysięcy złotych TAG Heuer 02 T z limitowanej serii Black Phantom. Minister był wyraźnie dumny z posiadanego czasomierza, którego przezornie nie wpisał do oświadczenia majątkowego. Rejestr ten, stworzony z myślą o zwalczaniu korupcji w polityce, dawał fałszywe wrażenie transparentności i wglądu w majątki tych, którzy tworzą prawo, wydają rozporządzenia albo podejmują decyzje warte setki milionów złotych. Rudzki wychodził z założenia, że tylko frajer ujawnia wszystko, co posiada. Jako minister sprawiedliwości wiedział, że mechanizm kontrolny jest ułomny, a jeśli

nawet ktoś zostanie przyłapany na nieścisłościach, zawsze może się zasłonić chwilowym zamroczeniem i poprawić błąd. Według niego było to zdecydowanie lepsze rozwiązanie niż chwalenie się całym majątkiem. Statystyczny głosujący uważał, że bogaty polityk to oszust i złodziej, a w najlepszym wypadku ktoś, kto dorobił się na krzywdzie prawdziwych Polaków ciemiężonych przez Niemca, Francuza i przede wszystkim Żyda. Polski wyborca, karmiony populizmem, nienawiścią i zazdrością, źle znosił oznaki bogactwa u sąsiada, a co dopiero u osób na świeczniku. Dlatego swój majątek Rudzki ukrył, przepisując część na rodziców, a część na żonę, z którą miał rozdzielność majątkową. Co do zegarka, uznał, że po prostu o nim zapomni.

– Ruszamy, pora karmienia – rzekł i wskazał produkt szwajcarskiej firmy zegarmistrzowskiej chlubiącej się z góra stupięćdziesięcioletnią tradycją.

Jakub Wolski tylko westchnął, wyjął z kieszeni spodni zmiętą chusteczkę i otarł nią pot, który zalewał mu oczy.

Spasiony grubas.

Ruszyli przez obskurne podwórko, tuż obok cuchnącego śmietnika, w kierunku zwyczajnych zielonych drzwi. Było to wejście tylko dla wybranych klientów. *Very Important Person*. Za nim czekało dyskretne miejsce, w którym spotykały się władza i pieniądze, czasami z dodatkiem seksu.

Witold Rudzki nie zdążył nawet nacisnąć dzwonka, gdy metalowe drzwi uchyliły się zapraszająco. Bez wahania wszedł do środka, a za nim poczłapał dyszący ciężko Wolski.

– Dzień dobry, panom – powitała ich kelnerka, prezentując w szerokim uśmiechu równe, białe zęby.

Oni jednak zwrócili uwagę przede wszystkim na jej krągłe piersi rysujące się pod obcisłą białą bluzką.

– Dzień dobry, Natalio. Stęskniłem się za tobą – odpowiedział basem Rudzki i obdarzył ją wyćwiczonym uśmiechem filmowego amanta.

Kobieta, wyraźnie onieśmielona, spuściła skromnie oczy i poprowadziła ich krótkim korytarzem do drzwi, za którymi znajdowało się niewielkie pomieszczenie dla VIP-ów. Pośrodku tkwił prosty drewniany stół nakryty opadającym do połowy wysokości białym obrusem. Tuż obok wejścia, pod ciemnoszarą ścianą, stała spora jak na rozmiary pokoju skórzana kanapa. Naprzeciwko ustawiono klasyczną witrynkę pełniącą funkcję dobrze zaopatrzonego podręcznego barku. Tuż nad nią było zakratowane okienko z zasłoną wychodzące na podwórko. Ścian nie zdobiły żadne obrazy bądź grafiki, jedynie płaski telewizor.

– Co za tandeta – powiedział Rudzki i wskazał tapetę w dolary, którą położono na jednej ze ścian. – Gust małomiasteczkowego gangstera – dodał, usadowiwszy się przy stole.

Jakub Wolski z trudem wcisnął się obok niego na krzesło z podłokietnikami, które aż zajęczały, walcząc z napierającymi na nie fałdami tłuszczu.

– Coś na początek? Może po kieliszku dobrze schłodzonego prosecco? – spytała kelnerka, patrząc na Rudzkiego z autentycznym oddaniem.

Ten jednak nie zaszczycił jej spojrzeniem.

– Niech będzie – rzucił, nie odrywając wzroku od menu.

Dziewczyna ukłoniła się i wyszła, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

– Miałeś ją? – spytał natychmiast sekretarz generalny Bloku Demokratycznego, oblizując się lubieżnie.

– Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach i kobietach. Obie te rzeczy po prostu mają – odparł filozoficznie Rudzki.

Wolski jęknął, wyraźnie zawiedziony.

– Przestań pieprzyć. Dobrze się rucha ta mała? Pełny zakres czy tylko lodzik? – dopytywał, jakby od tej informacji zależało czyjeś życie.

– Jak możesz, Jakubie! Jesteś wulgarny! – Witold Rudzki zrobił obrażoną minę, ale nie wytrzymał długo i parsknął śmiechem. Gdy tylko się opanował, powiedział: – Jest świetna.

Usłyszawszy to, Wolski popatrzył w sufit i wyraźnie się rozmarzył. Wyglądał tak, jakby sam przed chwilą zaliczył kelnerkę.

– Kubuś, dość tego fantazjowania – rzekł minister, przywołując kolegę do porządku. Już miał kontynuować, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak! – krzyknął sekretarz Bloku Demokratycznego.

Do pokoju weszła Natalia z tacą, na której tkwiły dwa wysokie kieliszki z włoskim winem. Sprawnie obsłużyła obu mężczyzn i wycofała się do drzwi.

– Gdy będą panowie gotowi złożyć zamówienie, proszę mnie wezwać – powiedziała, wskazując leżącego na skraju stołu pilota.

To była jedna z zasad obowiązujących w pokojach dla VIP-ów – nikt do nich nie zaglądał, a kelnerzy wzywani byli przez naciśnięcie guzika.

– Potrzebujemy jeszcze chwili – rzekł Rudzki.

Dziewczyna ukłoniła się i wyszła.

– Ależ ona na ciebie patrzy – zaczął ponownie Wolski, ale zamknął usta, gdy ujrzał skrzące się gniewem oczy ministra.

– Ty, kurwa, znowu o dupie, a ja muszę podjąć najważniejszą decyzję w życiu. – Zdenerwowany Rudzki sięgnął po kieliszek i opróżnił go jednym haustem. – Dajemy temu staremu kutasowi trzy miliony euro, a on nas olewa. Co takiego się wydarzyło, że postanowił pójść z nami na wojnę? – rzucił i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – To nie jest kasa, z której rezygnuje się ot tak. Trzy miliony euro, ponad trzynaście milionów złotych. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Poza tym Prezio wie, że Czacka wywali jego ludzi z państwowych spółek i rządowych posad, po czym zakręci kurek z dotacjami dla zaprzyjaźnionych z nim firm. A może stara kłamie i jest już dogadana z Tarnowskim, przede mną zaś odstawia jedynie teatrzyk? – zastanawiał się, patrząc w szparki oczu na pucułowatej twarzy Wolskiego.

Sekretarz generalny Bloku Demokratycznego chrząknął wyraźnie speszony.

– Myślę, że przesadzasz. Kwiaciara mogłaby cię załatwić w prostszy i pewniejszy sposób. Zresztą wkrótce się przekonamy, czy jej intencje są szczere, a deklaracje prawdziwe – powiedział i poprawił się na krześle, sprawiając, że jęknęło ciężko. – Jeszcze dziś spotyka się z Preziem. Jak się nie dogadają i Zygi będzie nadal fikał, zacznie się czystka. Polecą jego pieprzeni kuzyni, bratankowie, siostrzeńcy i ci wszyscy, którzy dostali od nas fuchę za jego wstawiennictwem. To będzie prawdziwy test dla Czackiej. Wtedy się okaże, czy jest z nami czy sobie pogrywa – rzekł Wolski i wrócił do przeglądania menu.

Zapadła cisza. Witold Rudzki jedynie kiwał głową, choć trudno było odgadnąć, co ten gest oznacza. Z jednej strony jego partyjny kolega i główny sojusznik miał rację, gdy radził, by poczekać na ruch szefowej rządu, z drugiej on sam nie wiedział, na ile może ufać Wolskiemu. *Pierwsze objawy paranoi*. Rudzki zdawał sobie sprawę, że sam nic nie zdziała, szczególnie po śmierci Karoliny van der Oord, która była jego doradcą, strategiem i bankierem. Chcąc nie chcąc, musiał zdać się na Wolskiego. Bez jego talentu organizacyjnego, który wykraczał daleko poza struktury Bloku Demokratycznego, mógł co najwyżej kandydować na prezydenta Ostrołęki, a i to stałoby pod dużym znakiem zapytania.

– Mam jeszcze jedną wątpliwość. Nie wspomniałem o tym w Kwiaciarni, ale nie daje mi to spokoju. – Przejechał dłonią po gładko ogolonej twarzy o mocno zarysowanej kwadratowej szczęce. – Zastanawiam się, Kubuś, co na to wszystko nasi wyborcy. Kraj jest po dwóch zamachach, ludzie w żałobie potrzebują jedności i solidarności, a my zafundujemy im ostrą napierdalankę we własnym obozie. Uznają, że kompletnie nas pojebało, a winą obarczą mnie, bo to ja rzucam wyzwanie urzędującemu prezydentowi. – Zawiesił głos, ale widząc, że Wolski czeka na ciąg dalszy, kontynuował: – Trwa śledztwo i to tym jako minister sprawiedliwości oraz prokurator generalny powinienem się zajmować, a nie kampanią wyborczą. Mam złapać skurwysynów, którzy posłali w zaświaty sto sześćdziesiąt siedem osób, a nie kombinować, jak wysadzić z siodła Prezia.

Byle dziennikarzyna czy pajac z opozycji będzie się mógł nade mną pastwić i, co gorsza, będzie miał rację. Ludzie mnie znienawidzą.

Jakub Wolski uznał, że to jest moment, w którym powinien zabrać głos.

– Pamiętaj, Witku, że w związku z wprowadzeniem stanu wyjątkowego wybory prezydenckie będą się mogły odbyć nie w październiku, ale najwcześniej na początku marca. Artykuł 228 Konstytucji punkt siódmy mówi jasno, że w czasie stanu nadzwyczajnego oraz w ciągu 90 dni po jego zakończeniu nie może być skrócona kadencja Sejmu, przeprowadzone referendum ogólnokrajowe, nie mogą być przeprowadzane wybory do Sejmu, Senatu, organów samorządu terytorialnego oraz wybory Prezydenta Rzeczypospolitej, a kadencje tych organów ulegają odpowiedniemu przedłużeniu – wyrecytował bez zająknięcia.

Łeb jak sklep. Niepozorny otyły mężczyzna był nie tylko znakomitym organizatorem i specjalistą od trzymania w ryzach partyjnych dołów. Miał też niepodważalny dar analityczny, który czynił go znakomitym strategiem. Rudzki to doceniał i nigdy nie lekceważył Wolskiego, prowadząc wewnątrzpartyjne gierki. Dlatego wiedział, że poza cytowaniem konstytucji sekretarz generalny ma mu coś jeszcze do powiedzenia.

– Mamy bardzo dużo czasu. Nie musisz na razie ogłaszać, że jesteś kandydatem w wyborach prezydenckich. Spokojnie poczekamy, aż Czacka wywiąże się ze swoich obietnic. Gdy już rzuci się do gardła Preziowi, ty przyjmiesz taktykę dystansowania się od tego konfliktu i zaprzeczania, że myślisz o prezydenturze. Zrobimy wszystko, by to na pojedynku Kwiaciara–Zygi skupiła się uwaga mediów i opinii publicznej. – Wolski mówił z coraz większą pasją. Gestykulował przy tym zamaszyście, kołysząc się w tył i w przód jak wielka wańka-wstańka. Krzesło pojękiwało ostrzegawczo. – Gdy przyjdzie odpowiedni moment, wjedziesz triumfalnie na białym koniu, aby posprzątać to polityczne szambo. Ludzie uznają cię za wybawcę. Musisz spełnić tylko jeden warunek: dorwać skurwieli, którzy zorganizowali zamachy, i zrobić im z dupy jesień średniowiecza. –

Wyświechtany cytat z *Pulp Fiction* zakończył oratorski popis otyłego mężczyzny, co znacznie ograniczyło ryzyko zniszczenia krzesła.

– Masz rację, przyjacielu – powiedział Witold Rudzki i uśmiechnął się w duchu. Właśnie taki miał plan na najbliższą przyszłość, ale chciał, żeby pomysł wyszedł od Wolskiego. Zależało mu na tym, by sekretarz generalny Bloku Demokratycznego czuł się dowartościowany i był przeświadczony, że ma wpływ na to, co robi minister sprawiedliwości. Politycy uwielbiają czuć się ważni i potrzebni. – Jesteś geniuszem, dobrze, że mam cię przy sobie. – Powiedziawszy to, Rudzki wziął pilota i wezwał kelnerkę. – Na przystawkę polecam policzki wołowe, z zup mają wyśmienity chłodnik, a jeśli danie główne, to tylko gotowana ośmiornica z przegrzebkami, czosnkiem, wędzoną czerwoną papryką, szafranem i świeżo siekaną kolendrą. Niebo w gębie! Nie krępuj się, podatnik stawia – rzekł i wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni.

Pucułowate lico Wolskiego rozjaśnił szczery uśmiech.

Tłusty sknerus.

Gdy weszła kelnerka, Rudzki pierwszy złożył zamówienie i pogrążył się w myślach. Przed oczami stanęła mu Karolina van der Oord, kochanka, przyjaciółka i biznesowo-polityczna partnerka, w której samochodzie zamachowcy podłożyli bombę. Pomyślał też o arcybiskupie Janie Werdzie, swoim dobrym znajomym, którego życie dobiegło końca w samolocie linii Alitalia. Dwie śmierci i dwa zamachy, które tylko on potrafił połączyć. Jednak tą wiedzą nie zamierzał się z nikim dzielić, podobnie jak przekonaniem, że to on jest kolejnym celem terrorystów.

Z egzystencjalnych rozważań wyrwała go Natalia, kładąc przed nim carpaccio z mlecznej jagnięciny. Cienkie plastry delikatnego mięsa przyozdobione były prażonymi kaparami, kawiorem i anchois, skropione oliwą truflową i posypane płatkami parmezanu, który dojrzewał trzy lata na drewnianych półkach w temperaturze osiemnastu stopni i przy wilgotności wynoszącej osiemdziesiąt dwa procent. Jego charakterystycznego, ostrego smaku nie można było pomylić z czymkolwiek innym.

***

Jedli ze smakiem, powoli przeżuwając każdy kęs potraw, którymi zastawiony był stół. Zaczęli od chrupiących ziemniaczano-serowo-jajecznych kulek smażonych w głębokim tłuszczu. Serwowano je z pokruszonymi orzechami nerkowca i aromatycznym sosem jogurtowym przyprawionym czosnkiem, chilli oraz kolendrą. Danie główne stanowiły krewetki w sosie curry i połówka kurczaka. Specjalnie marynowane w mieszance kurkumy, kminu rzymskiego, chilli, papryki, cynamonu i szafranu mięso piekło się w glinianym piecu tandoor. Miał on kształt dzbana, a dzięki wyjątkowej cyrkulacji powietrza przygotowywane w nim potrawy były chrupkie i zarazem soczyste.

– Pycha! – powiedział zachwycony mężczyzna. Nie był znawcą kuchni indyjskiej, ale to miejsce podbiło jego serce i kubki smakowe. Próbowali po kolei każdej potrawy, zagryzając cienkimi plackami z pszennej mąki z dodatkiem kminku. – Mógłbym to jeść codziennie – dodał i nałożył sobie porcję krewetek w żółtym sosie curry z wyczuwalnym posmakiem mleka kokosowego i kardamonu.

Siedzieli w restauracji Tandoor, w głębi wąskiej, kolorowej sali z silnymi akcentami indyjskimi i azjatyckimi. Przez duże tafle okien widać było barierki, a za nimi uliczny kanion Trasy Łazienkowskiej, którego brzegi łączył wiadukt dźwigający ulicę Marszałkowską.

– W takim razie musimy tu częściej wpadać – powiedziała Agnieszka Ossowska, której również smakowała tutejsza kuchnia.

Indyjską knajpkę odkryła przez przypadek kilka miesięcy temu, gdy zdenerwowana szła bez celu po spotkaniu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Wtedy po raz pierwszy rozmawiała osobiście z Witoldem Rudzkim, który położył kres jej misji w Kosowie i zesłał na wygnanie do Włocławka. Zgodziła się na to bez awantur tylko dlatego, że minister miał haki na jej matkę. Okazało się, że utytułowana profesor filozofii Wioleta Ossowska z domu Budzik była tajnym współpracownikiem peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa. Ujawnienie teczki TW „Ananke” oznaczałoby

śmierć zawodową i cywilną kobiety, którą Agnieszka kochała i której jednocześnie nienawidziła. Jej relacje z matką były skomplikowane, ale gotowa była zrobić niemal wszystko, by tajemnice TW „Ananke" nigdy nie wyszły na jaw.

– Myślisz, że Rudzki ma coś wspólnego z zamachami? – spytał prokurator Rybicki, wracając do rozmowy, którą rozpoczęli w biurze.

Siedział naprzeciwko niej bez marynarki i z podwiniętymi rękawami koszuli, ale pod krawatem. Agnieszka podziwiała go za to, że mimo nieznośnych upałów zachowuje minimum urzędniczej etykiety, która nakazywała mężczyznom chodzenie w garniturze i krawacie.

– Moim zdaniem nasz Witek-sprytek był tak samo zaskoczony zamachami jak para jego nieżyjących przyjaciół. Myślę jednak, że szybko skojarzył te dwie śmierci i doszedł do wniosku, że nie jest to zbieg okoliczności. Te dwie osoby miały wiele wspólnego i łączyły je ciemne interesy, w które uwikłany był także Rudzki – powiedziała Ossowska i sięgnąwszy po wodę, wzięła dwa głębokie łyki. – Jak już wiesz, prowadziłam we Włocławku śledztwo dotyczące samobójczej śmierci księdza, którego kochankiem, co wyszło na jaw, był Jan Werda. – W jej głosie brzmiały nieskrywane obrzydzenie i nienawiść. – Komuś wyraźnie zależało, aby udupić Jego Ekscelencję, więc szłam jak po sznurku od jednego dowodu do drugiego. Od Rudzkiego, pragnącego mnie kontrolować, dostałam nawet esbeckie kwity na Werdę, który okazał się wielkim miłośnikiem małych dzieci. Ale w tej sprawie nie to było najbardziej przerażające. – Przejechała dłońmi po krawędzi stołu. Wyglądała na kogoś, kto nie do końca jest pewien, czy powiedzieć wszystko czy zachować część tajemnicy dla siebie. – Sprawa samobójczej śmierci księdza z Lubrańca doprowadziła mnie do nielegalnych eksperymentów medycznych, handlu ludźmi i organami, porwań i zabójstw. Tropy wiodły prosto do Karoliny van der Oord i jej kliniki „Mysterium Vitae". Jakby tego było mało, w tym kontekście pojawiły się także nazwiska arcybiskupa Werdy i ministra Rudzkiego.

Rybicki nie odzywał się wpatrzony w dawną podopieczną. Długa jasna grzywka opadła jej na jedno oko, drugim łypała na niego podejrzliwie.

– Zebrałam informacje, które obciążają pieprzonego arcybiskupa Werdę i ministra, kurwa, sprawiedliwości Rudzkiego. Współpracowałam z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale teraz, po zamachach, usłyszałam, że to nie czas na rozliczanie skorumpowanego polityka, tym bardziej że jest prokuratorem generalnym. Na to przyjdzie pora, gdy złapiemy terrorystów. Tak mi, kurwa, powiedzieli! Dasz wiarę?! – Agnieszka uderzyła dłonią o blat tak mocno, że półmiski z jedzeniem i talerze podskoczyły i opadły z brzękiem. – Przepraszam za wulgarne słownictwo, ale ostatnio nie mogę się powstrzymać – dodała skruszona.

Tadeusz Rybicki pogładził się po łysinie na czubku głowy i ze świstem wypuścił powietrze.

– Czy nie łatwiej wynająć killera i odstrzelić bizneswoman oraz kościelnego hierarchę? Po co wraz z nimi zabijać tylu niewinnych ludzi? Może to jednak jest przypadek, że tych dwoje zginęło w zamachach terrorystycznych?

Wypowiadając kolejne zdania, krakowski prokurator usiłował być ostrożny, by siedząca naprzeciwko niego kobieta nie uznała, że traktuje ją niepoważnie lub protekcjonalnie.

– Nie znam odpowiedzi na twoje pytania. Sama mam wiele wątpliwości, ale musiałam o tym z tobą porozmawiać, bo jeśli jednak mam rację, to Rudzki będzie następny.

Te złowieszcze słowa zawisły ciężko między Ossowską a Rybickim, sznurując im na dłuższy czas usta.

ROZDZIAŁ 3

DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

„Płacze, płacze wśród nocy, na policzkach jej łzy, a nikt jej nie pociesza spośród wszystkich przyjaciół;
zdradzili ją wszyscy najbliżsi
i stali się wrogami”. Lamentacje 1,2

Starcze wargi drżały, wykrzywione w rozpaczy, odsłaniając pożółkłe zęby. Z oczu schowanych za obwisłymi powiekami płynęły jedna po drugiej łzy. Kanałami głębokich zmarszczek ściekały po wysuszonych policzkach aż na skraj brody i dalej, po fałdach skóry na szyi. Ich wędrówce towarzyszył ciężki oddech brzmiący jak zapowiedź agonii. Nie ocierając łez, kobieta wzniosła nad głowę dłonie, które oplatał gruby różaniec o brązowych paciorkach.

– *Confiteor Deo omnipotenti et vobis, fratres* – wyszeptała, zaczynając swą spowiedź przed Bogiem wszechmogącym oraz braćmi i siostrami.

Patrzyła z uwielbieniem na drewniany krucyfiks zawieszony na ścianie, z której płatami odchodziła niebieska farba, odsłaniając brudne zacieki. Klęczała na podłodze pokrytej starym, pofałdowanym od wilgoci linoleum koloru zgniłej zieleni. Wykładzina nie odbiegała jakością i wiekiem od mebli znajdujących się w niewielkim pokoju. Pod zakratowanym oknem, przesłoniętym pełną dziur szmatą, która kiedyś była prawdopodobnie błękitną zasłoną z aksamitu, stało mocno nadgryzione przez rdzę łóżko. Już dawno straciło swój biały szpitalny kolor, podobnie jak ustawiona tuż obok niego szafka nocna. Całości dopełniały dwuskrzydłowa komoda z popękanej płyty pilśniowej oraz krzesło, na którego oparciu wisiały

ułożone równo ciemnoszare habit, szkaplerz i welon oraz biały czepek – strój zakonny albertynek.

– *...quia peccavi nimis cogitatione, verbo, opere, et omissióne: mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*.

Łacińskie słowa brzmiały poważnie, wręcz złowrogo, zupełnie jakby odprawiała egzorcyzm, a nie przyznawała się, że bardzo zgrzeszyła myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem.

Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Siostra Cecylia opuściła pomarszczone dłonie z różańcem. Głowa opadła jej na pierś, a długie, ale rzadkie siwe włosy przesłoniły twarz. Jej chudym ciałem, okrytym jedynie sięgającą do kostek koszulą nocną, wstrząsnął spazm rozpaczy prawdziwie głębokiej i bolesnej. Skuliła się i powoli przechylając, upadła na prawy bok. Wiedziała, że jej życie dobiega kresu i że za chwilę pozna odpowiedź na odwieczne pytanie o to, co po śmierci. *Przeto błagam Najświętszą Maryję, zawsze Dziewicę, wszystkich Aniołów i Świętych, i was, bracia i siostry...* – z jej ust nie wydobywał się już żaden dźwięk, a oddech stawał coraz płytszy – *...o modlitwę za mnie do Pana Boga naszego*. Gasnące załzawione oczy spojrzały na szafkę nocną, na której w migoczącym świetle świecy leżało opakowanie leku Dormicum. Preparat ten, stosowany w leczeniu depresji i bezsenności, groził w razie przedawkowania bezdechem i zatrzymaniem akcji serca. Dotyczyło to szczególnie osób starszych, mających problemy z krążeniem. Siostra Cecylia połknęła sto tabletek, dokładnie tyle, ile znajdowało się w opakowaniu.

– Tylko proszę nie więcej niż jedną przed snem – ostrzegał lekarz, wypisując receptę.

Panie, idę do Ciebie. Wyznawszy swe winy Stwórcy, leżąca na boku zakonnica spokojnie czekała na to, co się stanie. Miała nadzieję, że Bóg ją zrozumie i wybaczy nie tylko samobójstwo. Przez lata żyła w zakłamaniu. Aby zaspokoić pychę i ambicje, oszukiwała siebie i bliźnich. Przymykała oczy na zło, wmawiając sobie, że służy to większemu dobru. Kierowała ośrodkiem wychowawczym. Za jej wiedzą i przyzwoleniem stał się on

jednak przykrywką dla przestępczej działalności demona w kobiecej postaci, który ją opętał.

Zakonnica wciąż pamiętała ich pierwsze spotkanie. Był wrzesień 1980 roku.

– Jestem siostra Cecylia. A ty, dziecko, jak się nazywasz? – spytała zalęknioną dziewczynkę, która siedziała bez ruchu w niebieskiej milicyjnej nysce.

Chwilę wcześniej, przecinając reflektorami mrok nocy, auto podjechało pod pałac w Lubrańcu, gdzie mieścił się kościelny ośrodek wychowawczy. Siostra Cecylia musiała trzy razy powtórzyć pytanie, zanim przestraszone dziecko przemówiło.

– Nazywam się Kasia Paluch – szepnęła dziewczynka cudem ocalała z katastrofy kolejowej pod Otłoczynem, w której zginęli jej rodzice.

Właśnie z myślą o takich bożych sierotach powstał ośrodek w Lubrańcu, niewielkiej mieścinie nieopodal Włocławka.

Kasia Paluch. Na twarzy zakonnicy pojawił się uśmiech, jednak natychmiast zgasł, jakby się go wstydziła. Chwyciła dziewczynkę za drobną, zimną rękę i pokonawszy jej opór, pociągnęła w górę szerokich schodów, na których szczycie majaczyły w mroku cztery potężne kolumny.

– Od teraz to będzie twój dom – oznajmiła, gdy stanęły pod portykiem zdobiącym front dziewiętnastowiecznego budynku w stylu dawnej rezydencji wiejskiej.

Dziewczynka, ubrana w zdecydowanie za dużą zieloną jesionkę, drżała, patrząc, jak otwierają się przed nimi wysokie drewniane drzwi, za którymi była mroczna, nieznana przyszłość.

Gdyby siostra Cecylia mogła przewidzieć, co się stanie trzy lata później, nigdy by do tego nie dopuściła. Wracając myślami do wydarzeń z września 1983 roku, była pewna, że to one zniszczyły dopiero kształtującą się psychikę trzynastoletniej Kasi Paluch. Po utracie rodziców jej umysł nie był w stanie wytrzymać kolejnego ciosu, tym bardziej że zadała go osoba, której dziewczynka ufała, postać stawiana za wzór, przedstawiciel Boga na

ziemi. Zakonnica nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co czuło dziecko gwałcone przez księdza, ale nie miała wątpliwości, że ten ohydny czyn musiał się odbić na dalszym życiu sieroty. Wciąż pamiętała, jak trzynastolatka krążyła, naga i zakrwawiona, po pałacowym parku. Gdy ją znalazły, była w szoku, nie odzywała się i patrzyła gdzieś w dal niewidzącym wzrokiem. Wezwany lekarz, który przeprowadził obdukcję, nie miał wątpliwości, iż doszło do gwałtu. Sporządzony przez niego raport zawierał opisy tak drastycznych obrażeń, że nawet zajmujący się na co dzień zwłokami i ofiarami gwałtów milicjanci z trudem go czytali. Sprawę jednak zatuszowano, w czym siostra Cecylia miała znaczący udział. Sprawca – zdeprawowany ksiądz – został tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, a kuria uniknęła skandalu. Wszak po co gorszyć wiernych i podważać ich zaufanie do kapłanów?

Przepraszam, Kasiu. Zakonnica szczerze żałowała, że wówczas uległa przełożonym. Żyła przez lata z poczuciem winy i gdy tylko Katarzyna Paluch – już jako Karolina van der Oord – wróciła do Lubrańca, gotowa była zrobić wiele, by zadośćuczynić skrzywdzonej w dzieciństwie kobiecie. Początkowo nawet wierzyła, że pojawiające się znikąd dziewczęta to ukraińskie, serbskie, rumuńskie czy bułgarskie sieroty, którym trzeba pomóc. To był święty obowiązek, do tego została powołana. Musiała nawrócić te zagubione duszyczki i poprowadzić je do Boga. Kiedy się opierały lub buntowały przeciw prowadzonej na siłę ewangelizacji, siostra Cecylia była nieugięta.

– W niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia – powtarzała, cytując Ewangelię według św. Łukasza, gdy ktoś próbował zwracać jej uwagę, zaniepokojony jej zachowaniem.

Zatraciła się w misyjnym zapale, zaślepiło ją poczucie własnej wielkości, nieomylności i świętości. Dlatego nie dziwiła się, że choć przywożone do sierocińca dziewczęta zazwyczaj były w ciąży, ostatecznie żadna z nich nie urodziła dziecka. Nie pytała też, gdzie nagle znikały. Bez zastrzeżeń

przyjmowała wyjaśnienia, że jej podopieczne uciekły albo znalazły rodzinę zastępczą. Wszystko i tak odbywało się bez zbędnych formalności, ale za to za wiedzą samego arcybiskupa Werdy. Od niego się zaczęło. To on, o czym albertynka dobrze wiedziała i co próbowała wyprzeć z pamięci, posiał ziarno zła, które obrodziło ludzkim nieszczęściem i zgnilizną moralną.

Ostatni oddech i przebłysk świadomości, myśli przestały biec, koniec. Drobne ciało w koszuli nocnej leżało bez ruchu na gnijącym od spodu zielonym linoleum. Płomień świecy stojącej na szafce nocnej zadrżał niespokojnie i przygasł, ale na nowo skoczył w górę, oświetlając starą, pomarszczoną twarz zakonnicy. W pokoju panowała cisza, którą przerwało dochodzące z zewnątrz pohukiwanie sowy.

***

Wsłuchiwała się w odgłosy czerwcowej nocy. Dominowały cykanie świerszczy i rechot żab, które okupowały brzegi wysychającej rzeczki. Stała na tarasie z zamkniętymi oczami i odchyloną do tyłu głową. Lubiła takie chwile jak ta, gdy choćby na moment mogła być sama. Dochodziła północ i zmęczony upałem Lubraniec spał w oddali, nie wydając żadnych niepotrzebnych dźwięków, które mąciłyby harmonię natury. Nabierała głęboko powietrza przez nos, parę sekund trzymała je w płucach i powoli wypuszczała ustami. Kilka razy powtórzyła tę opanowaną podczas medytacji technikę relaksacyjną, aby wyciszyć umysł zmęczony nadmiarem docierających przez cały dzień bodźców. *Uważna obecność*. Liczyło się tu i teraz. Czuła pulsującą w żyłach krew, słyszała spokojne, równe bicie serca, receptory skóry wychwytywały najmniejszy nawet ruch rozgrzanego wciąż powietrza.

Z medytacją zetknęła się po raz pierwszy wiele lat wcześniej w Holandii, gdy jako gówniara bez kasy zarabiała na jointy i piwo, obciągając fiuty niderlandzkim biznesmenom. Z jednym z nich, eleganckim facetem po pięćdziesiątce, który ładnie pachniał i dobrze ją traktował, związała się na dłużej. Gość wynajął jej nawet mieszkanie, w którym spotykali się za wiedzą jego żony. Kobieta była od lat sparaliżowana i nie mogła dać

mężowi tego, co zapewniała mu młodziutka, oddana kochanka. Przybyszce z Polski Holender odwdzięczał się nie tylko finansowo. Właśnie dzięki niemu zaczęła medytować. Nauczył ją też niderlandzkiego i angielskiego. Nazywał się Jan de Moor i, jak się później okazało, był wiceszefem AIVD – Głównej Służby Wywiadu i Bezpieczeństwa. Z czasem ich gorący romans wzbogacony został o zawodową współpracę, która z Katarzyny Paluch uczyniła Karolinę van der Oord. Wszystko to wydarzyło się tak dawno temu, że niekiedy miała wrażenie, iż to wspomnienia innego człowieka. Droga, którą przeszła, uciekając z Lubrańca, aby po latach do niego wrócić, była kręta i przypominała sen. I jak w każdym śnie były w nim piękne kolorowe obrazy, ale i mroczne koszmary.

– Wszystko gotowe, zapraszam na ucztę.

Męski głos, choć łagodny, brutalnie przerwał rozmyślania właścicielki „Mysterium Vitae".

– Jak zwykle nie w porę – mruknęła ze złością i się odwróciła.

Stał przed nią Mocny, a jego szarozielone wilcze oczy błyszczały w księżycowym blasku. *Drapieżnik na łowach*. W mroku nocy ubrany na czarno mężczyzna był niczym duch.

– Goście już są? – spytała, aby upewnić się, że nie będzie musiała czekać na klientów, którzy zapłacili krocie za możliwość skosztowania wyjątkowej potrawy.

– Tak – odparł Szymon Wilk, szczerząc kły w uśmiechu. Ostre nordyckie rysy nadawały mu niebezpieczny wygląd.

– Zatem idziemy – powiedziała Karolina van der Oord i ruszyła przez spowity ciemnością apartament ku złotym drzwiom windy.

Wsiedli i spojrzeli na swoje odbicie w kryształowych lustrach. Karolina miała na sobie zwiewną kwiecistą suknię na ramiączkach, która podkreślała jej duże piersi i opadała swobodnie aż do kostek. Rozcięcia po bokach powodowały, że idąc lub siedząc, odsłaniała nogi, które były obiektem zazdrości kobiet i pożądania mężczyzn.

Gdy drzwi prywatnej windy zasunęły się bezszelestnie, Mocny wcisnął na złotym panelu perłowy guzik oznaczony gwiazdką. Winda zatrzymała się na poziomie minus dwa – jednej z wewnętrznych, zamkniętych stref kliniki „Mysterium Vitae". Wstęp tutaj mieli wyłącznie wybrani członkowie personelu oraz goście, którzy przeszli dodatkową weryfikację i zostali osobiście zaproszeni przez prezes van der Oord.

Znaleźli się w wąskim i długim na dziesięć metrów korytarzu. Karolina szła pierwsza. Jej wysokie na dwadzieścia centymetrów, wysadzane kryształkami Swarovskiego szpilki z kolekcji Louboutina stukały rytmicznie o kamienną posadzkę. Korytarz oświetlony dyskretnie listwami ledowymi prowadził do srebrnych drzwi ze stali nierdzewnej, w których na wysokości głowy znajdowało się przypominające bulaj okrągłe okienko. Wilk czujnie wyprzedził szefową, zajrzał do środka i pociągnął za uchwyt w kształcie litery C.

Pomieszczenie za drzwiami wyglądało jak wynik architektonicznego eksperymentu będącego próbą połączenia sali operacyjnej z restauracyjnym pokojem dla VIP-ów. Podłoga i ściany wyłożone były białymi płytkami, z sufitu zaś zwisała szpitalna lampa zabiegowa, która oświetlała okrągły stół nakryty czarnym suknem.

– *Welcome my dear guests*! – powiedziała swym nienagannym angielskim Karolina van der Oord i rozłożyła ręce w powitalnym geście.

Trzy kobiety i mężczyzna zajmujący miejsca przy stole podnieśli się, a ona przywitała się z nimi, zamieniając z każdym kilka zdań.

– *How are you*, Jenna? – spytała i uścisnęła dłoń dojrzałej blondynki, której twarz i ciało znali w latach dziewięćdziesiątych wszyscy miłośnicy filmów porno.

Jenna Jameson była nieco niższa od Karoliny, ale nie ustępowała jej w pozostałych wymiarach. Jej lekko opuchnięte usta i czoło zdradzały dopiero co przebyte zabiegi chirurgiczne.

– *I'm fine, thank you*! – odpowiedziała z uśmiechem, prezentując śnieżnobiałe, równe zęby.

W wieku czterdziestu dwóch lat, po urodzeniu bliźniaków, blisko dwustu filmach na koncie i spławieniu trzech mężów wyglądała znakomicie, w czym niemały udział miała klinika „Mysterium Vitae".

– Co słychać u twojego Żyda? – spytała Karolina, wiedząc, że Jenna związała się z pochodzącym z Izraela handlarzem diamentami.

– Jest cudowny, ale strasznie chce mieć dziecko. Jestem już na to za stara – odparła była gwiazda porno i poprawiła długie, lekko kręcone włosy, których kosmyk opadł jej na twarz.

– Powiedz mu, żeby kupił ci surogatkę. Możesz wziąć jedną z moich dziewczyn – rzuciła pół żartem, pół serio van der Oord.

W niebieskich oczach Jenny pojawił się błysk zainteresowania.

– Siadajcie, proszę, ucztę czas zacząć – rzekła Karolina i zajęła miejsce przy stole. – Ponieważ jeszcze nigdy nie byliście w tym miejscu i nie degustowaliście naszych wyjątkowych dań, pozwólcie mi na kilka słów wstępu – zagaiła i kurtuazyjnie się rozejrzała, choć wiedziała doskonale, że wszyscy na to czekają i nikt nie będzie protestował.

Była to część rytuału inicjacyjnego, a ona czuła się jak kapłanka wprowadzająca swych klientów w nieznany im świat niezwykłych przeżyć i niezapomnianych doznań. Tutaj nie mieli wstępu zwykli śmiertelnicy. Sekret wiecznej młodości poznać mogli jedynie wybrani – ludzie wystarczająco bogaci i zepsuci, którzy odrzucili normy etyczne współczesnego społeczeństwa i nie przejmowali się prawnymi zakazami.

– Chińczycy już dawno odkryli korzyści, jakie przynosi dieta oparta na ludzkich narządach i płodach. Dzięki mojej klinice nie musicie latać do Azji, by w podejrzanych miejscach spożywać towar niewiadomego pochodzenia. – Van der Oord zawiesiła głos, chcąc się upewnić, czy wszyscy wiedzą, w czym biorą udział. – Nasza farma ze specjalnie wyselekcjonowanymi pod względem grupy krwi i DNA nosicielkami zapewnia już nie tylko embriony, źródło komórek macierzystych, które regenerują wasze ciała i z których wytwarzamy organy zastępcze. Jakiś czas temu zaczęliśmy także hodować płody do celów konsumpcyjnych. Zapewniam, że nigdzie nie zjecie nic zdrowszego ani smaczniejszego.

Zadba o to mój chiński kucharz. Xiong Hsu pochodzi z Szanghaju i pracował w najlepszych restauracjach świata, a teraz tworzy dla nas kulinarne arcydzieła warte stu gwiazdek Michelina.

Karolina mówiła tak, jakby opowiadała o nowo otwartej luksusowej restauracji. Zebrani przy stole przyjęli jej słowa oklaskami.

Kanibale.

Na nadgarstku jednej z kobiet, żony rosyjskiego miliardera z Londynu, dostrzegła błyszczący głęboką zielenią zegarek. Natychmiast rozpoznała Caviar Emerald Tourbillon, dzieło Jacob & Co., jubilersko-zegarmistrzowskiej firmy z Nowego Jorku. Ten jedyny na świecie egzemplarz zbudowany z czterystu dwudziestu czterech szmaragdów, o mechanizmie pokrytym osiemnastokaratowym złotem i wskazówkach z tytanu, powstawał ponad dwa lata. Znakomicie znała jego historię, gdyż bez powodzenia brała udział w licytacji tego wartego dwa i pół miliona dolarów dzieła sztuki.

– Piękna rzecz, moja droga Yvette – powiedziała, wskazując zegarek, czym uradowała jego właścicielkę, która nareszcie mogła się pochwalić unikatową biżuterią.

– Jest tylko jeden taki – oświadczyła z dumą kobieta, której prawdziwe imię brzmiało Galina, ale ponieważ było za mało światowe, zmieniła je na Yvette. – Zapłaciłam za niego na licytacji ponad trzy miliony dolarów. Wiem, dużo, ale nie mogłam mu się oprzeć. Mój Michaił kręcił nosem, ale gdy mu wypomniałam jego jachty, samochody, samoloty, śmigłowce i klub piłkarski, machnął ręką i kupił to cudeńko. – Podsunęła Karolinie rękę z zegarkiem niemal pod sam nos.

Ta pokiwała z uznaniem głową, starając się, by jej sarnie oczy nie zabłysły zazdrością.

– Jest prawie tak piękny jak ty, moja Yvette – oświadczyła, kończąc temat drogocennego cacka. *Ruska picza!*

Właśnie dla takich znajomości oraz wiedzy o sekretach najbogatszych ludzi na świecie powstała klinika „Mysterium Vitae". Budując ją, van der Oord nie myślała o pieniądzach, ale o informacjach, do których będzie

miała dostęp, i o kontaktach, które wykorzysta, gdy przyjdzie na to pora. Robiła wszystko, by sprostać oczekiwaniom ekskluzywnych klientów i zaspokoić ich najbardziej chore pragnienia. Dlatego zdecydowała się na hodowlę płodów z myślą o konsumpcji.

Jeszcze kilka lat wcześniej takie praktyki kulinarne były w cywilizowanym świecie czymś odrażającym i niedopuszczalnym. Pierwsze doniesienia prasowe z Chin i Tajlandii, w których opisywano spożywanie abortowanych dzieci, budziły głośny sprzeciw i oburzenie. Pojawiały się jednak kolejne reportaże, w których skośnoocy lekarze zachwalali walory odżywcze płodów. Najbardziej poszukiwane były te z pierwszych aborcji u młodych kobiet, szczególnie zaś ceniono mięso nienarodzonego dziecka płci męskiej. Wyjątkowe właściwości zdrowotne miały płody dziewięciomiesięczne i takie też były najdroższe. Potrawy z nich kosztowały kilka, a nawet kilkanaście tysięcy dolarów. Popularny wywar z ludzkich płodów, zamarynowanych wcześniej w specjalnej mieszance ziół, kosztował cztery tysiące. Dla parających się tym procederem lekarzy, pośredników i restauratorów abortowane dzieci były odpadkami, które i tak zostałyby wyrzucone na śmietnik.

Karolina van der Oord nie zamierzała sprowadzać z Chin odpadów medycznych. Gdy tylko zorientowała się, że jej klienci gotowi są zapłacić olbrzymie pieniądze za posiłki z przebadanych, odpowiednio wyselekcjonowanych i przyrządzonych płodów, bez najmniejszych oporów wprowadziła do oferty ośrodka usługę premium. Sama także nie gardziła dietą z ludzkich płodów i regularnie siadała z gośćmi do kolacji. Z czasem jadłospis rozszerzono o podroby ze starszych przedstawicieli homo sapiens. Gdy jakaś nosicielka umierała, jej jadalne organy, które nie trafiły do transplantacji, wykwintnie przyrządzone lądowały na stole.

– Zanim jednak skosztujecie *spécialité de la maison*, proponuję grasicę na szparagach i cynaderki zapiekane z jabłkami i kasztanami. – Nie musiała mówić, że gruczoł oraz nerki są pochodzenia ludzkiego. To było jasne dla wszystkich w tej sali, wszak za to właśnie płacili. – Świeżo pobrane –

dodała, zachwalając menu na ten wieczór, i poprawiła niesforne ramiączko sukni, które zsunęło się zdecydowanie za nisko.

Po jej słowach przy stole zapanował radosny gwar. Początkowo rozmawiano o modzie, korzystając z obecności znanego projektanta, którego suknię miała na sobie właścicielka kliniki. Później dyskusja zeszła na tematy polityczne i spierano się głównie o szanse Donalda Trumpa na zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Ekscentryczny amerykański miliarder stał się czarnym koniem wyścigu do Białego Domu.

– To mały penis z wielkim ego – skwitowała Jenna Jameson z ogromną pewnością siebie.

Zdaniem Karoliny van der Oord pewność ta dowodziła, że była gwiazda porno wie, co mówi. Nie podzieliła się jednak z nikim swoimi przemyśleniami. Zerkała za to ukradkiem na Szymona Wilka, który wcielił się w rolę kelnera.

Ubrany od stóp do głów na czarno przystojny mężczyzna krążył wokół stołu, częstując gości kalifornijskim rubiconem rocznik 2005. Wytrawny czerwony trunek o wyrazistym aromacie czarnej porzeczki, białych kwiatów, ziół i tytoniu pochodził z leżącej w sercu Napa Valley winnicy słynnego hollywoodzkiego reżysera Francisa Forda Coppoli. Gdy wszystkie kieliszki zostały już napełnione, Wilk zniknął dyskretnie za rozsuwanymi szklanymi drzwiami, aby wrócić po kilkunastu sekundach z dwoma półmiskami zapowiedzianych przez szefową przekąsek.

– *Bon appétit* – powiedziała Karolina, dając sygnał do rozpoczęcia uczty.

Z ukrytych w ścianach głośników popłynął soul z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Otis Redding śpiewał *A change is gonna come*.

***

– Zmiana nadejdzie, zmiana nadejdzie – powtarzała na głos swoją codzienną mantrę.

Chciała uciec, wyrwać się z wszechobecnej tu beznadziei. Czuła się opuszczona, skrzywdzona i złamana. Nienawidziła miejsca, w którym się

znalazła, i to nawet bardziej niż człowieka, który zesłał ją, by dogorywała w tej prowincjonalnej prokuraturze. Depresyjny nastrój wzmacniał jeszcze zespół sobotniej nocy, tyle że w jej przypadku właściwie każdy dzień był sobotą, a wieczór okazją do wypicia czegoś mocniejszego.

– Zmiana nadejdzie, zmiana nadejdzie – zaklinała rzeczywistość, patrząc na swoje niewyraźne odbicie w zaparowanym lustrze nad umywalką.

Najgorsze były właśnie poranki, gdy stała naga w łazience i myślała o tym, że trzeba iść do pracy, a wcześniej łyknąć proszki przeciwbólowe, znaleźć czyste majtki, bluzkę i spodnie, ubrać się, zrobić śniadanie, przeżuć starą bułkę z serem, sporządzić listę zakupów – bułka, ser, masło – zaparzyć kawę, wypić, zrobić siku, znowu łyknąć proszki przeciwbólowe, wrzucić brudne naczynia do zlewu, zebrać butelki po winie, pobiec do śmietnika, uśmiechnąć się do obleśnego bezrobotnego sąsiada, który od rana wystaje w bramie, wrócić na górę, spakować torebkę, wypić jeszcze jedną kawę, uzupełnić listę zakupów – wino, ibuprom, cola i jeszcze jedno wino lub whisky – wreszcie zamknąć drzwi na klucz i do pracy. A wieczorem będzie można znowu się napić.

– Zmiana nadejdzie, zmiana nadejdzie – powtarzała z coraz większą złością, bujając się w przód i w tył.

Czuła się, jakby miała na głowie opaskę, która się zaciska i powoli miażdży jej czaszkę. *Jasna cholera*. Serce kołatało w jej chudej, zapadniętej klatce piersiowej ozdobionej dwoma wypryskami udającymi sutki. Trzy wina wypite poprzedniego wieczoru to była jednak przesada. Obiecała sobie, że drugi raz tego błędu już nie popełni. Nie że w ogóle przestanie pić, ale trochę ograniczy spożycie. Jedno, góra dwa winka do kolacji, na trawienie. *Żeby zasnąć, żeby nie pamiętać*. Dla samotnej kobiety w obcym mieście, gdzieś pośrodku polskiego zadupia była to jedyna rozrywka i ona nie zamierzała z niej rezygnować.

– Częste picie skraca życie, lecz bez picia nie ma życia – mawiał dziadek Alojzy, który dożył dziewięćdziesiątki, do samej śmierci racząc się napojami wyskokowymi. Tak go przynajmniej zapamiętała.

Te głębokie jak samo szkło rozważania egzystencjalne przerwał dźwięk telefonu. Elektroniczna wersja *Dla Elizy* Beethovena była jednym z bardziej żenujących i irytujących sygnałów, którymi rozbrzmiewały komórki. Wyszła z łazienki goła. Wciąż jeszcze mokra podreptała do biurka, na którym jak oszalały wibrował telefon. Na wyświetlaczu pokazał się numer stacjonarny. Dzwonił ktoś z włocławskiej prokuratury.

– Agnieszka Ossowska, słucham! – zaczęła oficjalnie i skupiła się na tym, co miał jej do przekazania dzwoniący mężczyzna. – Siostra Cecylia? – W jej głosie słychać było zaskoczenie i niedowierzanie. Odruchowo odgarnęła do tyłu mokre włosy i strząsnęła krople wody, które zostały na ręce. – Potrzebuję piętnastu minut. Niech kierowca podjedzie do mnie pod dom – powiedziała i rozłączyła się bez słowa pożegnania.

O Boże.

Stała jak sparaliżowana, a wokół jej stóp na drewnianej podłodze tworzyła się coraz większa kałuża. Ledwie znała siostrę Cecylię, ale nie mogła pozbyć się myśli, że przyczyniła się do jej samobójczej śmierci. Widziały się zaledwie dwa tygodnie wcześniej w Lubrańcu. Ossowska zjawiła się w pałacu, siedzibie kościelnego ośrodka wychowawczego, którym kierowała siostra Cecylia, związana z tym ponurym miejscem od 1980 roku. Siedziały w niewielkim, skromnie urządzonym gabinecie starej zakonnicy, przy stole, który zastępował biurko. Agnieszka pamiętała, że stał na nim komputerowy monitor typu bańka, który musiał pochodzić jeszcze z ubiegłego wieku. Na szarych ścianach wisiały jedynie metalowy krzyż i duża podobizna świętego Brata Alberta, założyciela zakonu.

Kilkugodzinne spotkanie nie przebiegało w miłej atmosferze, obie kobiety emanowały wzajemną niechęcią, wręcz wrogością. W trakcie przesłuchania prokurator Ossowska pokazała zakonnicy fotografie, które wraz z esbecką teczką TW „Tristan" dostarczył jej minister sprawiedliwości Witold Rudzki. Był na nich uwieczniony gwałt, jakiego dopuścił się na dwojgu dzieci ksiądz Jan Werda, obecnie arcybiskup włocławski. Obsceniczne zdjęcia pochodziły z września 1983 roku. Trzynastoletnia wówczas dziewczynka nazywała się Kasia Paluch i była wychowanką

sierocińca, natomiast chłopcem okazał się ośmioletni Robert Hein, późniejszy ksiądz i… kochanek arcybiskupa Werdy. *Pojebanie z poplątaniem*. To właśnie samobójstwo księdza Heina rozpoczęło serię tajemniczych zdarzeń i sprowadziło Agnieszkę Ossowską do Lubrańca. Gdyby nie to śledztwo, nigdy nie przyjechałaby do tej sennej mieściny i nie grzebała w cudzych brudach, które cuchnęły tak bardzo, że zbierało jej się na wymioty.

– Proszę spojrzeć na te fotografie – powiedziała prokurator i rozłożyła na stole zdjęcia nagich dzieci w weneckich maskach w towarzystwie Doktora Zarazy, za którego przebrał się Jan Werda.

Oszczędziła albertynce najdrastyczniejszych obrazów, ale ta i tak była wstrząśnięta. Przez lata myślała, że Kasię Paluch zgwałcono na zlecenie Służby Bezpieczeństwa, aby winą obarczyć wikarego Jana Werdę i przykleić mu łatkę pedofila. Prawda była o wiele boleśniejsza. Ksiądz nie tylko zgwałcił dwoje dzieci, ale by uniknąć kary, zgodził się na współpracę z SB i donosił na kolegów w sutannach.

– Boże w niebiesiech, Przenajświętsza Panienko! – wydusiła z siebie zakonnica, ze zgrozą patrząc na fotografie. Była zdruzgotana tym, co pokazała jej Ossowska, zupełnie jakby ktoś odsłonił przed nią przedsionek piekieł. Trzęsła się cała, gdy zaczęła odmawiać na głos modlitwę, której Agnieszka nigdy wcześniej nie słyszała. – Potężna Niebios Królowo i Pani Aniołów, Ty, która otrzymałaś od Boga posłannictwo i władzę, by zetrzeć głowę szatana, prosimy Cię pokornie: rozkaż Hufcom Anielskim, aby ścigały szatanów, stłumiły ich zuchwałość, a zwalczając ich wszędzie, strąciły do piekła.

Wrócił obraz starej, zgarbionej kobiety, która chowała drżące dłonie w szerokich rękawach habitu. Ossowska otrząsnęła się z zamyślenia i rozejrzała. Stała naga i mokra pośrodku wynajmowanej kawalerki. *Czas się ogarnąć*. Wbiegła do łazienki w poszukiwaniu ręcznika. Leżał zwinięty na koszu z brudami. Zaczęła wycierać w pośpiechu swe kościste, tak niekobiece i aseksualne ciało. Z kwaśną miną spojrzała w lustro i pokręciła z niedowierzaniem głową, że nawet w takim momencie ma czas na

roztrząsanie kwestii własnego wyglądu. Przeczesała grzebieniem wilgotne wciąż włosy i ruszyła w kierunku szafy będącej tanią imitacją stylowych mebli gdańskich. *Zapasy się kończą*. Zaległości w praniu dały właśnie o sobie znać – z czystych rzeczy na ten upalny czerwcowy dzień miała już tylko spodnie khaki, które kupiła swego czasu w Kosowie, i białą bluzkę w kolorowe motylki przypominającą pidżamę. Machnęła ręką, uznawszy, że i tak to nie garderoba odstrasza od niej mężczyzn, a śledztwo to nie rewia mody. Jeszcze szybki makijaż i była gotowa na wyprawę do Lubrańca. *Just in time*. Sięgała po kubek z zimną już kawą, gdy telefon ponownie zaczął pastwić się nad Beethovenem. Tym razem dzwonił kierowca.

Odebrała i rzuciła krótko:

– Już schodzę, panie Kazimierzu.

Wyrzuty sumienia związane ze śmiercią siostry Cecylii przesłoniła teraz obawa, że samobójstwo zakonnicy utrudni i tak już wystarczająco zagmatwane śledztwo. Agnieszka była przekonana, że albertynka wiedziała dużo więcej, niż powiedziała w trakcie przesłuchania. *Gdzie jest Kasia?* Przeczucie natrętnie szeptało do ucha prokurator Ossowskiej, że wychowanka kościelnego ośrodka, zgwałcona przez księdza Katarzyna Paluch odgrywa w tej sprawie ważną rolę. Po ukończeniu osiemnastego roku życia dziewczyna wyjechała z Lubrańca i nikt nie wiedział, gdzie jej szukać. Dla Agnieszki była szalenie istotnym elementem układanki łączącym konkretne wydarzenia i osoby. Po pierwsze, samobójstwo Roberta Heina, który wraz z nią był ofiarą Jana Werdy, pedofila w sutannie. Po drugie, esbeckie kwity obciążające arcybiskupa Werdę, które wypłynęły wkrótce po tej śmierci. I po trzecie, samobójstwo siostry Cecylii, dawnej opiekunki sieroty w Lubrańcu. Tak, Katarzyna Paluch była kluczem do rozwiązania tej zagadki.

Agnieszka wypadła przed kamienicę, której obskurna elewacja raziła w oczy niemal tak bardzo jak czerwcowe słońce. Poczuła, jak oblepia ją gęste powietrze. Bez zbędnego zastanawiania się przeszła na drugą stronę

ulicy, gdzie na parkingu przy stacji benzynowej stała granatowa skoda superb.

– Dzień dobry, panie Kazimierzu! – zawołała, sadowiąc się z przodu. W służbowym aucie panował przyjemny chłód pozwalający zapomnieć o upale na zewnątrz. Dochodziła dziewiąta, a termometry wskazywały już trzydzieści stopni Celsjusza. – Do Lubrańca – zarządziła.

– Tak jest – odparł starszy siwy mężczyzna w seledynowej koszuli z krótkim rękawem oraz oldskulowych okularach przeciwsłonecznych i ruszyli powoli przy akompaniamencie mruczącego cicho silnika.

Agnieszka lubiła podróżować z panem Kazimierzem, bo prowadził spokojnie, nie próbując imponować jej szybką jazdą. Miała czas przyjrzeć się miastu, które choć skąpane w słońcu, wydawało jej się brzydkie i odpychające. Spod długiej grzywki zerkała zapadniętymi oczami na kamienice przegrywające walkę z czasem, na małe domki jednorodzinne kulące się od panującej w nich biedy i na stare bloki przypudrowane nową elewacją. Mijali także budynki, które zaprzeczały złemu wizerunkowi Włocławka, ale te ginęły w zalewie szarości i bylejakości. *Co za syf*. Jej pociągła, koścista twarz nie wyrażała jakichkolwiek emocji, ale i tak lekko haczykowaty nos oraz drobne, zaciśnięte usta nadawały jej srogi wyraz. Nie była kimś, kto robi dobre pierwsze wrażenie.

– Zna pan kogoś w Lubrańcu? – spytała nagle, zaskakując pana Kazimierza, który przywykł już, że podróże z nią odbywają się zazwyczaj w milczeniu.

– W samym Lubrańcu nie, ale mój bratanek Mateusz jest policjantem w Izbicy Kujawskiej – odpowiedział, po czym zdjął ciemne okulary i zerknął na nią.

Zadaj pytanie. Agnieszka znała to spojrzenie i zachowanie kogoś, kto ma coś do powiedzenia, ale potrzebuje zachęty.

– A co Mateusz mówi o tym, co się dzieje w Lubrańcu? – rzuciła niby od niechcenia. Wciąż patrzyła przez okno, udając niespecjalnie zainteresowaną przemyśleniami gliny z Izbicy Kujawskiej.

– Młody ma pietra. Twierdzi, że cały ten bajzel to zaledwie wierzch… znaczy się… – Pan Kazimierz szukał słowa, które wypadło mu z głowy.

Ossowska pospieszyła z pomocą:

– Wierzchołek góry lodowej.

Mężczyzna odetchnął i wyprostował się, jakby ktoś zdjął mu ciężki kamień z barków.

– O właśnie, o górę chodziło. Pani prokurator wybaczy, ale łeb nieuczony i stary już.

Agnieszka pokiwała ze zrozumieniem głową, starając się, by nie wypadło to protekcjonalnie.

– Bratanek mówił panu coś więcej? – zagadnęła, szukając świeżego tropu.

– Nie chciał gadać przez telefon, chyba podsłuchów się bojał – odparł kierowca i zaraz dodał: – Powinna się pani z nim spotkać i szczerze porozmawiać. Jak wy to mówicie… nieoficjalno. Dobry chłopak jest z Mateuszka, więc jeśli co wie, to powie.

Pan Kazimierz umilkł i założył na powrót przeciwsłoneczne okulary, które nosił od lat bez względu na zmieniającą się modę. Kupił je w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, gdy odwiedził brata w Chicago. Od tamtej pory traktował je jak talizman i dbał o nie bardziej niż o samochód.

***

Okulary amerykańskiej firmy Chrome Hearts należą do najdroższych na rynku – szczególnie te przygotowywane na indywidualne zamówienie. Kupują je zamożni, wymagający klienci, a do ich produkcji wykorzystywane są skóra, dwudziestodwukaratowe złoto, srebro, mahoń oraz heban. Każdy detal wykonywany jest ręcznie, tak jak choćby grawerowane inicjały „J.W.” na złotych oprawkach, które dobrane zostały do olbrzymiego niczym kartofel nosa mężczyzny. Opierały się na nim stabilnie, choć głowa podskakiwała nerwowo w rytm wypowiadanych słów.

– Ta wojna nikomu nie służy. Nie jestem w stanie zmienić przeszłości, ale robiłem, co mogłem, by wynagrodzić ci cierpienia, których przeze mnie zaznałaś. Powiedz coś wreszcie, proszę!

Mały, przysadzisty człowieczek w czarnej sutannie obszytej fioletową nicią krążył nerwowo po przestronnym gabinecie urządzonym w stylu *art nouveau* i co rusz poprawiał fioletową piuskę, która zakrywała łysinę na czubku jego głowy.

– Zrozum, to uczciwa propozycja. Jeśli będziesz brnąć w to szaleństwo, wszyscy pójdziemy na dno. I tak nie wiem, czy nie jest już za późno, bo ta wstrętna prokurator wciąż węszy – rzekł mężczyzna i przysiadłszy na ponadstuletniej kanapie projektu Hectora Guimarda, westchnął ciężko, a nad złotymi okularami Chrome Hearts pojawiła się głęboka bruzda przecinająca czoło. – Wiesz przecież, że pod koniec sierpnia odbędzie się w Watykanie konsystorz, na którym mam zostać kardynałem. Ta sprawa może mnie pozbawić upragnionej purpury, a wtedy nie będę miał już nic do stracenia. – Ostatnie słowa zabrzmiały jak groźba i żeby nie było co do tego żadnych wątpliwości, arcybiskup Jan Werda dodał: – Skończy się transferowanie pieniędzy do rajów podatkowych przez „Officium" i pranie kasy w Banku Watykańskim. Ciekawe, czy twoi mocodawcy będą z tego zadowoleni – zakończył, rzucając Karolinie van der Oord wyzywające spojrzenie.

Kobieta siedziała za biurkiem w futurystycznym fotelu z chromowanymi wykończeniami, jedynym meblu w gabinecie, który nie reprezentował stylu art nouveau.

– Odważny jesteś, Janie, ale i głupi. Bo jeśli zastanawiasz się nad tym, co moi mocodawcy zrobią ze mną, to pomyśl chwilę o tym, co zrobią z tobą – powiedziała, uwypuklając każde słowo.

Jej sarnie oczy wyrażały szczerą troskę, co dowodziło wielkiego kunsztu aktorskiego, w rzeczywistości bowiem nie odczuwała choćby cienia współczucia dla klechy, którego najchętniej udusiłaby gołymi rękami. Na spotkanie z nim włożyła czarne, błyszczące legginsy z lateksu, które delikatnie marszczyły się na kostce, tuż nad wysokimi czarnymi szpilkami

z odkrytymi palcami. Zrezygnowała ze stanika, pozwalając swym krągłym piersiom poruszać się kusząco pod niebieską dżinsową bluzką, której guziki rozpięte były niemal do połowy.

– Zapomnij o tym, co powiedziałam, wszak nie spotkaliśmy się, by sobie grozić – odezwała się po chwili i uśmiechnęła do arcybiskupa, a ten poprawił okulary, zdradzając trawiący go niepokój. – Szkoda tylko, że przez twoje chore ambicje i głupie zachowanie straciliśmy tyle czasu. A teraz, jak sam zauważyłeś, mamy na głowie ambitną panią prokurator, która za wszelką cenę będzie się chciała wykazać – dodała, bawiąc się wisiorkiem z brylantem w złotej oprawie, który jeszcze przed chwilą spoczywał w głębokim rowku między jej piersiami.

Jan Werda starał się za wszelką cenę skupić na oczach Karoliny van der Oord.

– To ty doprowadziłaś do samobójstwa Roberta! – nie wytrzymał i ku własnemu zaskoczeniu zaczął krzyczeć. – Gdybyś nie dała mu tych pieprzonych esbeckich materiałów, wciąż by żył!

Van der Oord wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś zakłamanym padalcem, Janie, pieprzonym hipokrytą, który gwałcił dzieci, a jedną ze swych ofiar uczynił kochankiem. Porzuciłeś Roberta dla kardynalskiej purpury, więc to ty uruchomiłeś lawinę, która go zabiła – powiedziała i sięgnęła po złotą papierośnicę, w której trzymała swoje ulubione sobranie black russian. Zapaliła czarnego papierosa i zaciągnęła się głęboko.

Arcybiskup Werda wykorzystał ten moment, aby zaprotestować.

– Nie oczyścisz się z grzechów, zrzucając je na mnie. I nie ty będziesz mnie rozliczać z mojej miłości do Roberta!

Oddychał ciężko, a prawą dłonią z wielkim złotym pierścieniem masował klatkę piersiową. Dwa miesiące wcześniej, po samobójstwie księdza Heina, przeszedł zawał.

– Wezwać lekarza? – spytała Karolina.

Kapłan pokręcił głową. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni sutanny i wyjął metalowy pojemnik przypominający miniaturowy dezodorant. Otworzył usta i nacisnąwszy biały dozownik, rozpylił mgiełkę aerozolu z nitrogliceryną. Lekarstwo zadziałało prawie natychmiast. Mężczyzna uspokoił oddech.

– Masz rację, skrzywdziłem Roberta. Po naszym rozstaniu dzwonił do mnie, by powiedzieć, że jego życie straciło sens. Był zrozpaczony, a ja traktowałem go jak obcego – rzekł spokojnie Werda, choć był bliski płaczu. Rozmowa toczona na najwyższym piętrze kompleksu „Mysterium Vitae" kosztowała go wiele nerwów. – Metaforycznie rzecz ujmując, to ja założyłem mu pętlę na szyję, ale to ty wykopnęłaś pieniek spod jego nóg. Wiem o wszystkich twoich intrygach. – Podniósł się z kanapy i spojrzał na Karolinę van der Oord niczym sędzia przed wydaniem wyroku. – Wymyśliłaś tę pedofilską napaść w sierocińcu. Bez problemu znalazłaś dwie chętne dziewczyny, a te, odpowiednio poinstruowane, opowiedziały o księdzu w weneckiej masce, który kazał im się rozebrać, robił zdjęcia i się masturbował. Ile zapłaciłaś tym niewinnym duszyczkom? A może przekupiłaś je ciuchami, kosmetykami i biżuterią? – rzucił, krążąc przed biurkiem, za którym siedziała i delektowała się czarnym papierosem Karolina. – Upozorowałaś to wszystko tak, by wyglądało na powrót Doktora Zarazy, tego samego, który trzydzieści trzy lata wcześniej zgwałcił ciebie i Roberta. Chciałaś uderzyć we mnie, lecz rykoszetem dostał Robert. Wykorzystałaś siostrę Cecylię, by uwiarygodnić całą historię, i jakby tego było mało, zaczęłaś kolportować esbeckie kwity na temat mojej pedofilskiej przeszłości i TW „Tristana". – Werda zatrzymał się i oparł dłonie na błyszczącym blacie drewnianego biurka. – Zrobiłaś to, żeby mnie ukarać i powstrzymać przed zamknięciem sierocińca w Lubrańcu. Oboje wiemy, że nie chodzi ci wcale o dobro tych biednych dziewczynek. A teraz masz jeszcze na sumieniu siostrę Cecylię. Proszę więc, nie udawaj świętej! – warknął i spojrzał na nią wyzywająco.

Karolina powoli, metodycznie zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce, jakby chciała, by słowa Jana Werdy wybrzmiały do końca.

Kąciki jej karmazynowych ust uniosły się nieznacznie w delikatnym uśmiechu. Nie chciała tego okazać, ale w głębi serca była zaskoczona postawą klechy, który nie należał do ludzi szczególnie odważnych i walecznych. *Tchórzliwy konus*. Nie spodziewała się, że zjawi się w klinice z propozycją rozejmu. Z ostatnich relacji Rudzkiego wynikało, że arcybiskup jest w rozsypce. Tymczasem Werda nie tylko stanął z nią twarzą w twarz, ale jeszcze próbował grozić i oskarżać. *Pieprzona wesz!* Gdyby nie śmierć siostry Cecylii, pewnie nie odpuściłaby mu, ale sytuacja mocno się zmieniła. Biznes był ważniejszy od zemsty. Z tą Karolina mogła poczekać – życie nauczyło ją cierpliwości.

– Masz rację, Janku, wojna szkodzi nam obojgu. Dlatego zgadzam się na twoją propozycję. Mam jednak swoje warunki. Dostaniesz ode mnie dwa miliony euro, ale w zamian nie zamkniesz ośrodka wychowawczego w Lubrańcu.

Deklaracja właścicielki „Mysterium Vitae" wyraźnie odprężyła arcybiskupa. Przestał się garbić i nerwowo pocierać dłonią o dłoń.

– A teraz moje dodatkowe warunki – rzekła kobieta, unosząc palec wskazujący. – Po pierwsze, o naszej umowie nie może wiedzieć Witold Rudzki. Po drugie, to ja wskażę nową dyrektorkę ośrodka wychowawczego. I wreszcie po trzecie… – Zawiesiła głos, drażniąc się z duchownym, ten zaś ponownie stężał w oczekiwaniu na cios. – Po trzecie, zarządzanie fundacją „Officium" zgodnie ze szwajcarskim prawem przekażesz wyznaczonej przeze mnie kancelarii adwokackiej. Oczywiście wciąż będzie to organizacja kościelna, a ty będziesz miał miejsce w jej radzie programowej.

Karolina van der Oord podniosła się i obeszła biurko, kołysząc zmysłowo biodrami. Gdy stanęła z wyciągniętą ręką przed arcybiskupem, ten musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć jej w oczy. Bez słowa uścisnęli sobie dłonie.

ROZDZIAŁ 4

SZÓSTY DZIEŃ OBOWIĄZYWANIA STANU WYJĄTKOWEGO

„Usta jego pełne przekleństwa, zdrady i podstępu,
na jego języku udręka i złośliwość”.
Księga Psalmów 10,7

Miała bardzo silny uścisk. Jej wypielęgnowana dłoń o smukłych palcach nie wyglądała na aż tak mocną. Często zaskakiwała mężczyzn, którzy nie potrafili we właściwy sposób podać ręki kobiecie. Większość z nich obchodziła się z damską dłonią jak z jajkiem, co strasznie ją irytowało. Jeszcze bardziej wkurzali ją cmokacze – faceci, którzy uważali, że dżentelmen musi koniecznie oślinić każdą kobiecą rękę. Tym razem postarała się, by uścisk był szczególnie mocny.

– Najchętniej splunęłabym ci w twarz! – powiedziała i wydęła z pogardą wargi, których jaskrawy perłowy kolor idealnie pasował do błyszczącej garsonki.

Jak zwykle na nic zdały się błagania osobistej stylistki, która tłumaczyła jej, że kobieta w tym wieku i na tak ważnym stanowisku powinna się nosić mniej ostentacyjnie. Elżbieta Czacka miała swój styl, którego nie zamierzała zmieniać. Dotyczyło to nie tylko garderoby, ale także zachowania, które cechowały bezpośredniość i dosadność.

– Jesteś drobnym cwaniaczkiem, kombinatorem, który zapomniał o swoim miejscu w szeregu. Znajdź sobie lepiej nową, młodą kochankę i jej udowadniaj, że masz jaja – dodała, potrząsając prezydencką prawicą.

Z Zygmuntem Tarnowskim znała się od wielu lat i nie musiała bawić się w konwenanse. Oboje wiedzieli, że polityka to brutalna, a czasami też brudna gra bez sentymentów. Nikt nie mógł tu liczyć na taryfę ulgową – nawet ktoś tak zasłużony jak Tarnowski, który przed 1989 rokiem, narażając się na represje komunistów, walczył o wolną Polskę.

Spieprzaj, dziadu!

Jeszcze kilka dni temu była przekonana, że prezydent z trudem, ale pogodził się z przejściem na polityczną emeryturę. Wyznaczył nawet sumę – trzy miliony euro – która zagłuszy jego wyrzuty sumienia i ukoi ból po rozstaniu z urzędem.

– Ceni się Dziadek Zygi. Za tę kasę będzie mógł sobie postawić własną kolumnę Zygmunta – podsumował jeden z zaprzyjaźnionych z partią rządzącą biznesmenów, gdy Elżbieta Czacka wspomniała mu o oczekiwaniach Tarnowskiego.

Siedzieli na tarasie mazurskiej rezydencji multimilionera, który pełnił funkcję nieformalnego doradcy i cichego sponsora Bloku Demokratycznego. W zamian za hojne wsparcie mógł liczyć na intratne rządowe kontrakty.

– Gdybyśmy nie byli na musiku, nie prosilibyśmy ciebie i twoich kolegów o pomoc – powiedziała Czacka, poprawiając się w rattanowym fotelu. Ubrana we wściekle różowy dres Chanel siedziała z nogą założoną na nogę i kieliszkiem szampana w dłoni.

– Jak wy nas nazywacie? Aaa, grube misie – odezwał się ponownie mężczyzna, trzymając w ustach zapalone cygaro. – Nie martw się, Elu, misie wam pomogą. A gdy będzie możliwość, odwdzięczycie się.

Takie rozmowy Elżbieta Czacka uważała za coś normalnego – aby rządzić, trzeba było ubrudzić sobie ręce. Już dawno wyzbyła się naiwnych młodzieńczych wyobrażeń na temat polityki jako bezinteresownej służby państwu i obywatelom. Dlatego też nie była oburzona, gdy Zygmunt Tarnowski zażądał siedmiocyfrowej sumy za rezygnację z walki o reelekcję. Wkurzyła się natomiast, gdy zmienił zdanie.

– Co ci uderzyło do tego starego łba, Zygi? Kryzys wieku średniego masz już przecież za sobą – kontynuowała, patrząc prezydentowi prosto w oczy.

– Cieszę się z twojej wizyty, jesteś zawsze mile widziana w naszych skromnych progach. – Tarnowski nawet nie próbował ukrywać kpiącego tonu. – Co cię sprowadza? Czyżbyś chciała dołączyć do mojego sztabu wyborczego? – spytał z przekąsem, wyzwalając dłoń z jej uścisku.

Stali pośrodku tak zwanego Pokoju Wypoczynkowego, który znajdował się na pierwszym piętrze Pałacu Prezydenckiego, na tyłach gabinetu głowy państwa.

– Niestety muszę cię rozczarować. Przyszłam kopnąć cię w grube dupsko i przypomnieć o naszej umowie – odparła Czacka, siadając na brzegu niebieskiej kanapy, której tapicerka w dotyku przypominała zamsz.

Tarnowski rozsiadł się naprzeciwko w głębokim fotelu o tym samym kolorze.

– Zgodziliśmy się spełnić twoje warunki. Chciałeś trzech milionów euro na emeryturę, to zebraliśmy fundusze. A teraz ty bez uprzedzenia zmieniasz plany? Ani przepraszam, ani pocałujcie mnie w dupę? Tak się nie robi! – Szefowa rządu nie kryła oburzenia i nie dbała o dyplomację. – Daję ci tydzień na przemyślenie sprawy. Każdy czasem ma gorszy dzień, jest upał, więc głowa może szwankować. Ale jeśli nadal będziesz się upierał przy starcie w wyborach, przestaniemy się lubić. Odczują to wszyscy twoi ludzie na państwowych posadach i w rządzie, a twoje przydupasy zostaną odstawione od koryta. Koniec z wygrywaniem przetargów i dotacjami, źródełko wyschnie – oświadczyła, patrząc Tarnowskiemu prosto w oczy.

Prezydent podrapał się po głowie i odruchowo pogładził górną wargę, jakby szukał zgolonych wąsów.

– Elżbieto, nie wiem, o czym mówisz. Chciałbym się mylić, ale czuję wyraźny smród korupcji i szantażu – powiedział i teatralnie pociągnął nosem. – Czyżbyś próbowała przekupić i zastraszyć głowę państwa?

Usłyszawszy to, Czacka mimowolnie otworzyła szeroko usta ze zdumienia. Nie odezwała się jednak, wietrząc podstęp.

– Milczysz, a przed chwilą miałaś tyle do powiedzenia – zauważył Tarnowski, który przejął inicjatywę i spychał szefową rządu do narożnika. – Nie dam się kupić ani zastraszyć. Od teraz to ty powinnaś się bać. – Wstał z fotela, choć nie tak sprawnie, jak by chciał. – To by było na tyle, pani premier. Trafi pani do wyjścia, prawda? – rzucił, po czym ominął kanapę, na której siedziała oszołomiona, i bez pożegnania zniknął w swoim gabinecie.

Szefowa rządu została sama w pokoju, którego białe ściany zdobione były sztukaterią i polichromiami z motywem orła na złoconym tle. Podniosła się powoli z kanapy, poprawiła krzykliwą garsonkę i zerknęła w lustro nad granitowym kominkiem. Zobaczyła zdezorientowaną kobietę, z której twarzy opadła maska opanowanej twardzielki. Zza drzwi, za którymi zniknął prezydent, dobiegły przytłumione słowa: „Przyszłam kopnąć cię w grube dupsko. Daję ci tydzień na przemyślenie sprawy". To Tarnowski parodiował ją ku uciesze słuchaczy, którzy wybuchnęli głośnym śmiechem. Elżbieta Czacka nie miała wątpliwości, że tak on, jak i pozostałe osoby w gabinecie doskonale wiedzą, iż ona wszystko słyszy. Dawno nie czuła się tak upokorzona.

– Głupia cipa myślała, że się jej boję. Pieprzona Kwiaciara w odblaskowym stroju dopiero zobaczy, kto kogo w dupsko kopnie! – rzucił Zygi Tarnowski ku uciesze współpracowników.

Czackiej to wystarczyło. Ruszyła do drzwi, za którymi znajdowała się Sala Kolumnowa, najbardziej znane miejsce w Pałacu Prezydenckim, świadek powoływania i odwoływania członków rządu, wręczania nominacji sędziowskich i profesorskich oraz odznaczeń państwowych. *Uciec jak najdalej*. Prawie biegła przez olbrzymie dwukondygnacyjne pomieszczenie o powierzchni blisko trzystu metrów kwadratowych. W końcu weszła między pokryte zieloną polichromią kolumny podpierające galerię i zniknęła za kolejnymi drzwiami, kierując się do głównej klatki schodowej. Nie słyszała już ciągu dalszego prezydenckich wynurzeń.

– Ta niewydymana lampucera radzi mi, żebym wziął sobie młodą kochankę – powiedział z udawaną złością Tarnowski i zaraz szybko dodał: – Kupcie jakiś elegancki wibrator, to wyślę go jej w prezencie.

Wyraźnie zadowolony siedział za masywnym dębowym biurkiem, a jego rozradowana twarz odbijała się w lakierowanym na wysoki połysk blacie. Za plecami miał obraz Wojciecha Kossaka *Święto kawalerii polskiej* przedstawiający defiladę kawalerzystów przed marszałkiem Piłsudskim z okazji dwieście pięćdziesiątej rocznicy bitwy pod Wiedniem.

– Świetnie pan to rozegrał, panie prezydencie – odezwał się Marek Schmidt, rudobrody doradca Tarnowskiego. Tradycyjnie wyglądał, jakby właśnie wyszedł od fryzjera i włożył odebrany dopiero co od krawca garnitur.

Elegancik.

Zygmunt Tarnowski szybko przyzwyczaił się do modnych strojów specjalisty do spraw wizerunku i komunikacji medialnej, choć sam nie przywiązywał większej wagi do garderoby. Chciał podziękować za komplement, ale nie zdążył.

– Naprawdę dałeś jej popalić, Zygmunt. Obaj znamy ją od lat i wiemy, że jest twardą, pewną siebie kobietą. Niełatwo ją zaskoczyć i wygrać słowną potyczkę, a tobie się to udało – zadudnił basowy głos kompletnie niepasujący do wypowiadającej te słowa osoby.

Szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego siedział na miękkim krześle w stylu biedermeier z tapicerką w brązowe pasy. Mebel był standardowej wysokości, ale i tak Paweł Ogrodnik z trudem sięgał stopami podłogi. Ze względu na lichy wzrost i mysią twarz mówiono o nim Stuart Malutki, oczywiście nie wprost, gdyż ten niepozorny mężczyzna dysponował bardzo szczególną wiedzą, co czyniło go ważnym i niebezpiecznym graczem na scenie politycznej.

– Dziękuję wam obu za wsparcie – odezwał się nieco speszony prezydent.

Czuł się dziwnie w roli fightera, którym stał się niemal z dnia na dzień. Jeszcze niedawno był zmęczonym życiem staruszkiem, któremu marzyła

się polityczna emerytura. W duchu nawet się ucieszył, że nie będzie musiał brać udziału w kolejnej kampanii, szczególnie teraz, po zamachach terrorystycznych, które stawiały w bardzo złym świetle rząd, prezydenta i całą formację polityczną, która w koalicji z Obozem Ludowo-Konserwatywnym miała pełnię władzy. Za trzy miliony euro gotowy był zapomnieć o niespełnionych ambicjach i schować do kieszeni urażoną dumę. Całe szczęście jednak, że zjawił się Paweł Ogrodnik z ofertą nie do odrzucenia. Szef ABW reprezentował anonimowych biznesmenów, którzy uznali, że w interesie Polski jest, by Zygmunt Tarnowski pozostał na drugą kadencję w Pałacu Prezydenckim.

– To poważni ludzie, którzy mają nieograniczone środki i olbrzymie wpływy. Dzięki nim sięgniesz po raz drugi po prezydenturę – zapewniał Ogrodnik.

A zdezorientowany Tarnowski drapał się po głowie. *Co jest grane?* Najbardziej dziwiło go to, że emisariuszem jest szef ABW uważany za człowieka Witolda Rudzkiego. To właśnie minister sprawiedliwości, wbrew części kolegów z rządu, przeforsował kandydaturę Pawła Ogrodnika, powierzając mu największą służbę specjalną w kraju.

– Czy ty przypadkiem nie przyjaźnisz się z Rudzkim? – chciał wiedzieć. – I czy twój przyjaciel nie ma zastąpić mnie w wyborach prezydenckich?

Pytania były jak najbardziej zasadne. Usłyszawszy je, Ogrodnik rozłożył ręce i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Tak wyszło". Zamiast tego jednak sięgnął po klasyka:

– Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe… a nie w uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę!

Cytat z Asnyka nie wszystko tłumaczył, ale był wymowny i dawał do myślenia. A Tarnowski potrafił wyczuć, kiedy zmieniała się polityczna koniunktura. Najwyraźniej ważni, wpływowi ludzie postawili krzyżyk na ekipie Elżbiety Czackiej, on zaś nie widział powodu, by nie skorzystać z takiej okazji. Nie zamierzał przechodzić do historii jako przegrany polityk, który zrejterował w chwili próby. *Cha wam w de*. Właśnie nadchodził jego czas, znowu był w grze.

***

Przesyłkę dostarczył rano specjalny goniec w obstawie dwóch uzbrojonych po zęby antyterrorystów. Przyszli do Ministerstwa Sprawiedliwości bez uprzedzenia. Na ich widok jej małe, zapadnięte oczy zrobiły się okrągłe. *Ale cyrk*. Dochodziła ósma rano i w biurze, w którym pracował specjalny zespół prokuratorów, nikogo jeszcze nie było.

– Czym mogę panom służyć? – spytała Agnieszka, z trudem powstrzymując szeroki uśmiech. Nie trzeba było być wybitnym śledczym, by dojść do wniosku, że ludzie z ABW nie pajacowaliby z karabinami szturmowymi, w hełmach i kamizelkach kuloodpornych, żeby dostarczyć jej jakieś błahe informacje.

– Kapitan Roman Żak, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Szukam prokurator Agnieszki Ossowskiej – oznajmił mężczyzna w cywilnych ciuchach, po czym rozłożył legitymację służbową w czarnym skórzanym etui z wytłoczonym orłem w koronie i podsunął jej pod nos.

– To mnie pan szuka – odparła.

– Muszę panią wylegitymować – rzekł funkcjonariusz ABW.

Dopiero w tym momencie Ossowska zauważyła na jego lewym nadgarstku kajdanki, którymi przykuty był do czarnego nesesera.

– Proszę poczekać – powiedziała i ruszyła w kierunku akwarium.

Weszła do przeszklonego gabinetu i sięgnęła po stojący przy biurku szary plecak w oldskulowym stylu firmy Burton – pożegnalny prezent od kolegów z Kosowa. Szukając dowodu osobistego, zerkała podekscytowana na mężczyzn, którzy bez ruchu czekali na jej powrót. Dotychczas wszystkie tajne dokumenty, także te z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, docierały do niej służbowym e-mailem lub w formie papierowej, a wtedy odbierała je osobiście w kancelarii tajnej.

Ale jazda.

Kilka minut później trzymała białą kopertę ze specjalnego kilkuwarstwowego tworzywa odpornego na wilgoć, uszkodzenia mechaniczne, a nawet kwas. Raz zamknięta nie dawała się otworzyć bez

pozostawienia wyraźnych śladów. Był to bezpieczny i dyskretny sposób przekazywania tajnych dokumentów czy pieniędzy, dlatego koperty tego typu wykorzystywano między innymi w bankowości.

Siadła za biurkiem w akwarium i położyła przed sobą przesyłkę. Rozcięła kopertę nożyczkami wzdłuż czerwonej linii, sięgnęła do środka i wyczuła co sztywnego. Jak się okazało, była to szara tekturowa teczka, w której znajdowała się trzystronicowa notatka służbowa zatytułowana *Ustalenia w sprawie okoliczności śmierci Piotra Wilka ps. Książę oraz jego kontaktów z rosyjskimi grupami przestępczymi*. W prawym górnym rogu, tuż pod datą, widniała adnotacja ŚCIŚLE TAJNE, EGZ. 2. Oznaczało to, że dokument miał tylko jedną kopię i to ją trzymała właśnie w drżących rękach. Tuż pod gryfem tajności ktoś odręcznie napisał: „Istotne dla śledztwa, szczególnie wątek rosyjski. Przekazać prok. A. Ossowskiej". Podpis był nieczytelny, ale Agnieszka rozpoznała koślawy charakter pisma szefa ABW.

Wątek rosyjski. Była podekscytowana, ale jednocześnie gdzieś z tyłu głowy czuła strach. Może lepiej nie wiedzieć, wycofać się, póki nie przeczytała tajnego dokumentu? Spociły jej się dłonie, więc szybko wytarła je o spodnie. W teczce było także kilka zdjęć, te jednak postanowiła przejrzeć na końcu.

Podniosła głowę i czujnie zlustrowała puste wciąż biuro. W zaadaptowanym na potrzeby śledztwa pomieszczeniu ustawiono dwa rzędy stołów zsuniętych parami tak, by zajmująca je dwójka prokuratorów siedziała przodem do siebie. Każdy miał do dyspozycji komputer i telefon stacjonarny. Pod ścianą stały na szafkach trzy drukarki, ekspres do kawy i czajnik.

Ossowska nie lubiła pracy w *open spasie*. O miejscach takich jak to myślała jak o inkubatorach, w których hoduje się pozbawione własnej woli korporacyjne szczury. Otwarta przestrzeń biurowa sprawiała, że – chcąc nie chcąc – każdy patrzył każdemu na ręce. W jej przypadku ten brak intymności powodował, iż nie mogła się skupić.

Sięgnęła po kubek z kawą i wzięła łyk, ale skrzywiła się ze wstrętem. *Zimna lura*. Pochyliła się nad notatką Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i czytała powoli, jakby obawiała się, że może coś ważnego przeoczyć.

Długa jasna grzywka opadała jej na oczy, lecz nie zwracała na to uwagi. Niekiedy celowo ocieniała swą chudą twarz włosami, by niejako z ukrycia obserwować otoczenie. Psycholog miałby pewnie coś do powiedzenia na temat takich dziecinnych zachowań, ale ona nie wybierała się do lekarza. Siedziała nieruchomo, całkowicie pochłonięta leżącym na biurku tekstem.

Przeczytawszy trzykrotnie dokument z ABWehry, wyprostowała się, pokiwała głową do swoich myśli i postanowiła napić się kawy. Zostawiła na biurku kubek ze starą breją i podeszła do tkwiącego pod ścianą ekspresu. Urządzenie zamruczało przyjaźnie i wydało syk obiecujący porcję gorącego, stawiającego na nogi napoju. Szybko wzięła jeden z czystych kubków, nieświadomie wybierając ten ze zdjęciem Benedicta Cumberbatcha w roli Sherlocka Holmesa. *Ciasteczko z wisienką*. Uwielbiała tego aktora i serial BBC, w którym występował. Wysoki, smukły, czarnowłosy mężczyzna o wibrującym głosie i hipnotyzującym spojrzeniu był obiektem jej erotycznych fantazji – głównie dlatego, że grał szalonego geniusza, introwertyka ukrytego w swoim mrocznym, pełnym tajemnic świecie.

– Nie jestem psychopatą, tylko wysokofunkcyjnym socjopatą – powiedziała na głos, powtarzając kwestię bohatera.

Lubiła ten cytat, choć uważała, że Sherlock Holmes nie jest ani psychopatą, ani socjopatą. W tej sprawie zgadzała się z psychologiem i autorką bloga *Hero's Mind*, która zdiagnozowała u jej ukochanej filmowej postaci schizoidalne zaburzenie osobowości. Holmes był po prostu chorobliwym introwertykiem. Takie osoby wolą pracować same, na przykład jako analitycy. Wtedy mogą zamknąć się w świecie liczb, danych i faktów, które trzeba porównać, zestawić i połączyć w logiczną całość. Nie przejmują się konwenansami i są samotnikami nie tylko w pracy, ale i w życiu osobistym. Mają problem z nawiązywaniem głębszych relacji, nie

otacza ich liczne grono przyjaciół, ich związki intymne zaś są, najoględniej rzecz ujmując, porażką. W tej diagnozie Agnieszka Ossowska z niepokojem graniczącym z przerażeniem odnajdywała cechy własnej osobowości.

– Jeśli wyeliminujesz niemożliwe, reszta musi być prawdą – rzuciła kolejny cytat z ulubionego serialu.

Ale tym razem obróciła się na swoich cienkich, długich jak szczudła nogach, by sprawdzić, czy nie robi z siebie idiotki przed przypadkową publicznością. Jedynym świadkiem jej oratorskich popisów był jednak mruczący zachęcająco ekspres do kawy. Agnieszka raz jeszcze spojrzała na kubek z patrzącym na nią uwodzicielsko Benedictem Cumberbatchem – wcześniej go nie zauważyła i nie miała pojęcia, do którego prokuratora należy. *Pieprzyć to*. Co prawda w biurze obowiązywała niepisana zasada, że każdy ma własne naczynia i zmywa po sobie, ale uznała, że dziś zasady współżycia społecznego zostają zawieszone. Nie zamierzała tracić czasu na wędrówki do znajdującego się piętro niżej aneksu kuchennego i mycie swojego kubka. Potrzebowała kofeiny teraz, natychmiast.

***

Pierwszy łyk pachnącej intensywnie kawy nie rozczarował. Napój był niemal jedwabisty i zostawiał na języku wrażenie przyjemnej lepkości. Idealnie wyważone goryczka, słodycz i kwaskowatość sprawiały, że można się było nią delektować bez końca. Wyprodukowana z niebieskozielonych ziaren jamajska blue mountain należała do najlepszych i najdroższych kaw świata. Kilogram kosztował ponad osiemset złotych, choć zdaniem malkontentów płaciło się nie za wyjątkowy smak, lecz za legendę, którą obrósł ten gatunek. Krzewy uprawiano na wysokości tysiąca ośmiuset metrów na żyznych wulkanicznych glebach Gór Błękitnych w wilgotnym, mglistym i chłodnym mikroklimacie. Ziarna były transportowane w drewnianych beczkach, a nie jutowych workach, każda beczka zaś miała certyfikat Jamajskiej Rady Przemysłu Kawowego.

– Smakuje? – spytał Witold Rudzki, trzymając filiżankę świeżo naparzonego wywaru.

– Rewelacja! Nie jestem kawoszem, ale u ciebie zawsze chętnie się napiję – odparł Paweł Ogrodnik i na dowód wziął łyk kawy.

– Blue mountain z Jamajki – oznajmił minister, ale widząc, że przyjaciel nie wie, o czym mowa, dodał: – Najlepsza i najdroższa kawa na świecie. – I podniósł filiżankę, jakby wznosił toast.

– Skoro tak mówisz… – Szef ABW zamilkł, nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Witold Rudzki słynął z zamiłowania do ekskluzywnych, niebotycznie drogich rzeczy i nie miał przy tym oporów, aby za jego zachcianki płacili podatnicy. Gdy któryś z partyjnych kolegów, zaproszony na spotkanie, dziwił się, widząc wykwintne posiłki i kosztowne trunki, Rudzki odpowiadał, że czas skończyć z dziadostwem i ględzeniem o tanim państwie.

– Jeśli państwa nie stać na sushi i whisky dla gości ministra rządu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, to zamknijmy takie państwo. Władza kosztuje i nie można na niej oszczędzać – mawiał w wąskim gronie partyjnych towarzyszy.

Rzecz jasna nie powtórzyłby tego przed dziennikarzami. Jego asystent skrupulatnie dbał o to, by wszystkie obiady, lunche i kolacje, każdy drink, a nawet cygaro zostały odpowiednio rozliczone. Żaden wścibski pismaczyna nie mógł znaleźć dowodu na to, że z ministerialnej kasy płaci się choćby za blue mountain.

– Uwielbiam ją – westchnął Rudzki, popijając espresso.

Siedzieli chwilę w milczeniu, delektując się kawą i spoglądając na zawieszone na ścianie gabinetu telewizory. Stacje informacyjne, co zrozumiałe, wciąż żyły zamachem. Temat był bez końca mielony i przeżuwany, a fakty mieszane z emocjami w proporcji jeden do stu. Dominowały wzruszające historie zrozpaczonych rodzin i bliskich ofiar. Co jakiś czas dla pozoru wpuszczano przed kamerę ekspertów. Ci zazwyczaj studzili emocje, ale tylko na chwilę, bo zaraz po nich na scenę

wchodzili politycy. Rozpoczynało się przedstawienie, w którym nie liczyły się wiedza i kompetencje, a orężem nie były fakty, lecz gniew. Święte oburzenie, którym pałały miliony Polaków, stało się paliwem dla politycznych kanciarzy.

– Pani redaktor, państwo polskie jest w rozkładzie! Jak to możliwe, że wciąż nie wiemy, kto stoi za najkrwawszymi zamachami w naszej historii? – Młody polityk zrobił pauzę, aby pytanie dotarło do widzów i wzmogło ich czujność. Teraz wystarczyło udzielić odpowiedzi. – Śledztwo jest w rękach tych samych nieudaczników, których dyletantyzm doprowadził do tragedii. To oni, począwszy od szefów służb specjalnych, a skończywszy na szefowej rządu, mają na rękach krew niewinnych ofiar. Nie raz i nie dwa moje ugrupowanie zwracało uwagę na brak programu przeciwdziałania terroryzmowi, ale rząd, który jest polski tylko z nazwy i wysługuje się Brukseli i Berlinowi, pozostawał głuchy na ostrzeżenia. A teraz mamy tego efekt: sto sześćdziesiąt siedem ofiar. To były czyjeś córki i żony, czyiś synowie i mężowie! – wykrzyczał poseł Gałek, patrząc prosto w obiektyw kamery.

Mimo młodego wieku często reprezentował w telewizyjnych nawalankach Sojusz Narodowy, agresywną partię, która aspirowała do przejęcia władzy w kraju.

– Czy rzeczywiście chcemy pozostawić śledztwo i ojczyznę w rękach ludzi, którzy nie potrafią zadbać o nasze bezpieczeństwo? Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie powierzyłby swego samochodu komuś, kto nie potrafi kierować i doprowadził już do dwóch tragicznych wypadków. Dlaczego więc zgadzamy się, by Polską rządziły polityczne ofermy?! – spytał podniesionym głosem. – Oni wszyscy powinni jak najszybciej stanąć przed sądem za niedopełnienie obowiązków. Dalsze trwanie tego lewacko-liberalnego rządu i safanduły prezydenta jedynie szkodzi naszej ojczyźnie!

Prowadząca program młodziutka dziennikarka nie zdążyła się odezwać, ponieważ głos zabrał niepozorny mężczyzna o wyglądzie wiecznego studenta. W porównaniu ze swym przedmówcą był zaskakująco opanowany.

– Gdyby głupota i hipokryzja mogły latać, pan, panie Gałek, zbliżałby się już do Marsa – rzekł.

Ujrzawszy go, Rudzki klasnął głośno i wskazał palcem na telewizor.

– Patrz, Pawełku, jak Student zaraz go rozjedzie – powiedział do szefa ABW, rozsiadając się w fotelu.

Daddy is home!

Dobrze znał Artura Barańskiego, który odpowiadał w Bloku Demokratycznym za marketing. Mężczyzna, choć nic na to nie wskazywało, był wysokiej klasy specjalistą, który potrafił czarować, mamić i kłamać bez mrugnięcia okiem. Miał o sobie wysokie mniemanie i powtarzał, że gdyby wystawił kiedyś na sprzedaż psie odchody, ustawiłaby się po nie długa kolejka chętnych. Rudzki liczył na to, że jeśli wystartuje w wyborach, Barański będzie jego specjalistą od marketingu. Z tym większym zaciekawieniem przyglądał się teraz telewizyjnemu starciu.

– Czy próbując zbić polityczny kapitał na śmierci stu sześćdziesięciu siedmiu osób, pomyślał pan w ogóle o ich rodzinach i bliskich? Gdyby tak było i gdyby miał pan choć odrobinę przyzwoitości, poczekałby pan ze swoją oszczerczą kampanią, aż pogrążeni w bólu ludzie pożegnają tych, których stracili.

Słowa Barańskiego były jak cięcia skalpelem – precyzyjne i przemyślane. Celem było odwrócenie uwagi widzów od kłopotów rządu i skierowanie jej na nieodpowiedzialne zachowanie opozycji.

– Gdy pan, panie Gałek, urządza polityczne tańce na trumnach, setki osób dzień i noc pracują, byśmy poznali prawdę o zamachach, które wstrząsnęły Polską. Robią co w ludzkiej mocy, by wymierzyć sprawiedliwość zwyrodnialcom odpowiedzialnym za te tragedie. Gdy pan śpi smacznie w swoim łóżku, oni działają, nie myśląc o nagrodach czy zaszczytach. To nie są politycy, tylko najlepsi w kraju eksperci od terroryzmu, doświadczeni prokuratorzy, śledczy i technicy kryminalistyki. Proszę ich więc nie obrażać i nie wciągać do brudnej partyjnej rozgrywki,

którą pańskie ugrupowanie prowadzi w dniach narodowej żałoby – powiedział z lodowatym spokojem, patrząc twardo na rozmówcę.

Poseł Gałek nie wyglądał już jak nieustraszony pogromca terrorystów i nieudolnych polityków.

Zbity pies.

Widząc jego minę, Rudzki zaśmiał się głośno, zaraz jednak zamilkł, aby nie uronić nic z tego, co mówił Barański.

– W tych szczególnych dniach, gdy Polska została zaatakowana przez terrorystów, potrzebujemy solidarności. Tymczasem Sojusz Narodowy robi wszystko, by swymi ordynarnymi kłamstwami i manipulacjami podburzać obywateli, siać niepokój i sączyć jad konfliktów – powiedział przedstawiciel Bloku Demokratycznego, po czym wskazał palcem młodego polityka partii opozycyjnej, który wciąż miał niewyraźną minę. – Pan poseł Gałek, który wzywa do zmiany rządu i ustąpienia prezydenta, doskonale wie, że nie jest to możliwe w czasie stanu wyjątkowego. Co ciekawe, Sojusz Narodowy nie tylko poparł jego wprowadzenie, ale też energicznie za nim optował. Jest pan hipokrytą, panie Gałek. Naprawdę szkoda, że tak młody i, zdawałoby się, inteligentny człowiek rozpoczyna karierę polityczną w tak złym stylu. Ale pocieszę pana: prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale po tym, jak kończy. Ma pan więc jeszcze szansę wyjść na ludzi.

Chłodny profesorski ton i opanowanie Artura Barańskiego sprawiały, że widzowie nie mogli mieć wątpliwości, kto ma rację. Poseł Gałek otrzymał właśnie lekcję trudnej sztuki erystyki. Próbował co prawda jeszcze coś powiedzieć, ale było to tak nieskładne i żałosne, że Rudzki wyłączył dźwięk pilotem.

W gabinecie zapadła cisza, którą mącił nieco dobiegający z zewnątrz gwar. Mimo wysokiego stopnia dźwiękoszczelności okna nie były w stanie zagłuszyć ulicy, szczególnie że w pobliżu przebiegała Trasa Łazienkowska, jedna z największych warszawskich arterii. Tu ruch nigdy nie zamierał, o czym przypominały warczące silniki, krzykliwe klaksony, rozpaczliwe wołania karetek i groźne dźwięki pędzących na sygnale radiowozów.

Przestronne pomieszczenie, w którym urzędował Witold Rudzki, zaaranżowane było prosto, ale gustownie. Dominowały klasyczne meble biurowe kategorii premium w kolorze ciemnego brązu. Na biurku pozbawionym rodzinnych zdjęć i innych osobistych drobiazgów panował idealny porządek, na ścianach próżno było szukać jakichkolwiek dyplomów. Minister, chociaż miał się czym pochwalić, uważał, że służbowy gabinet to nie miejsce na fotografie, nagrody, odznaczenia i wszystko to, co mogłoby zrobić wrażenie na gościach. Chciał, aby uwaga każdego, kto się tutaj zjawi, skupiała się wyłącznie na nim. Jedynym luksusem, na jaki sobie pozwolił, był obraz Juliusza Kossaka *Sobieski pod Wiedniem* wiszący pośrodku reprezentacyjnej ściany. Król Jan III odbierał zdobyty na Turkach Sztandar Proroka, w tle zaś powiewały biało-czerwone chorągwie wzniesione na kopiach husarzy.

– Bez twojego wsparcia nie wygram tej bitwy – rzekł Rudzki, patrząc na obraz Kossaka. Siedział za biurkiem na fotelu z bordową skórą, który dodawał mu prestiżu. – Nie rozumiem, dlaczego Tarnowski zmienił zdanie. Kto go wspiera? Kto za nim stoi? Przecież nie wymyślił tego sam. Zamiast przytulić trzy miliony i pójść na emeryturę, postanowił walczyć. Co jest grane, Pawle? – Spojrzał wymownie na przyjaciela.

Szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego siedział na miękkim stylowym krześle z podłokietnikami. Mebel był zdecydowanie mniej okazały niż fotel Rudzkiego, ale za to bardziej pasował do mikrej postury mężczyzny. Paweł Ogrodnik poprawił się na siedzisku i zrobił bezradną minę.

– Sam chciałbym wiedzieć, w co gra prezydent i z kim – rzekł. – Ale spokojnie, dojdziemy do tego. Chcę, żebyś pamiętał, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Złożywszy tę deklarację lojalności, sięgnął po stojącą na okrągłym stoliku filiżankę. Wyglądał nieporadnie, wręcz komicznie, gdy przechylał się przez oparcie, aby krótkimi rękami złapać naczynie z zimną już kawą.

– Załóż jemu i jego współpracownikom podsłuch – wypalił Rudzki. – Jak będziemy ich mieli na drutach, raz-dwa ustalimy, kto pociąga za sznurki.

Na te słowa Ogrodnik obruszył się.

– Witek, dla ciebie wszystko, ale podsłuchiwanie prezydenta to za gruba historia. Gdyby wyszła na jaw, bylibyśmy obaj politycznymi trupami. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Nigdy nie brakowało ci cierpliwości. Co się dzieje? Skąd ten pośpiech i nerwy? Poczekaj trochę, weź głęboki oddech. Mamy jeszcze czas na rozpracowanie Zygiego.

Próba uspokojenia ministra sprawiedliwości nie przyniosła spodziewanych efektów. Rudzki uderzał nerwowo dłonią o szeroki skórzany podłokietnik.

– Zrozum, przyjacielu, że jeśli Tarnowski mnie wydyma, to twoja dupa też to odczuje. Będzie bolało, bo stawką w tym pojedynku jest nie tylko prezydentura, ale i przyszłość rządu w obecnym składzie. Czacka poleci pierwsza, więc lepiej skończ odgrywać prawego urzędnika ze skrupułami. Jesteśmy na wojnie i nie bierzemy jeńców – rzekł z pełnym przekonaniem.

Jebany kurdupel. Drażniło go beztroskie zachowanie Ogrodnika. Poczuł niechęć do przyjaciela o myszowatej twarzy i posturze Stuarta Malutkiego.

Znali się od czasów studenckich. To była dziwna przyjaźń. Rudzki, znakomicie ubrany i zawsze otoczony przez piękne kobiety, należał do elity towarzyskiej, a przy tym odnosił sukcesy sportowe i naukowe. Ogrodnik z kolei był outsiderem, którego nikt nie dostrzegał ani nie zapraszał na studenckie imprezy. Jego niski wzrost i wątpliwa uroda sprawiały, że przypominał zarośniętego trolla ze skandynawskiej mitologii.

Tych dwóch tak różnych ludzi połączyła polityka. Należeli do Niezależnego Zrzeszenia Studentów, a po jego delegalizacji przez komunistyczne władze zaangażowali się w działalność podziemną. Z grupą zaufanych osób zorganizowali drukarnię i sieć kolportażu książek i broszur ukazujących się w drugim obiegu. Powstała struktura, która okazała się odporna na próby infiltracji ze strony bezpieki. Trudne czasy konspiracji zbliżyły ich do siebie i sprawiły, że darzyli się zaufaniem. Po przełomie 1989 roku Rudzki poszedł w politykę, Ogrodnika zaś wchłonął świat tworzonych od podstaw służb specjalnych. Mimo to utrzymywali

kontakty i wspierali się, gdy zachodziła potrzeba. Byli ojcami chrzestnymi swych najstarszych dzieci, wspólnie obchodzili rodzinne uroczystości, a ich żony bardzo się lubiły. Przyjaźń, która przetrwała próbę czasu, powodowała, że mogli rozmawiać bez owijania w bawełnę.

– Pawełku, jesteś dzięki mnie szefem ABW, a teraz potrzebuję twojej pomocy. Przestań więc hamletyzować i zrób, co trzeba – powiedział Rudzki i choć starał się tego uniknąć, w jego głosie zabrzmiała pretensja.

Ogrodnik westchnął ciężko.

– Daj mi dwa tygodnie na węszenie, a jeśli nie będzie wyjścia, zrobimy to po twojemu.

Ta deklaracja wyraźnie uspokoiła ministra.

– Musimy jeszcze porozmawiać o wątku rosyjskim – rzekł i sięgnąwszy do szuflady biurka, położył przed sobą teczkę. – Jesteś pewien, że nie pospieszyłeś się, dając ten materiał Ossowskiej? – Nazwisko pani prokurator wypowiedział z nieskrywaną niechęcią. – A jeśli to ślepy trop i tylko niepotrzebnie podgrzejemy atmosferę? Może trzeba było nakazać twoim chłopcom, by po cichu pogrzebali głębiej, nim położymy informacje na stół? Nawet wolę nie myśleć, co będzie, jeśli dojdzie do wycieku – zakończył i czekał na to, co powie szef ABW.

Drobny mężczyzna podrapał się po brodzie.

– Nie tylko ty, stary cwaniaku, chcesz chronić swoją dupę. Nie wezmę na siebie odpowiedzialności za nieautoryzowane tajne dochodzenie. To powołany przez ciebie specjalny zespół prokuratorów nadzoruje śledztwo i zleca zadania – rzekł i rozłożył ręce, udając bezradnego. – Jako służby specjalne nie możemy ukrywać przed prokuratorami tak ważnych informacji. To ociera się o sabotaż. – I nim Rudzki zaprotestował, dodał już całkiem poważnie: – Jeśli to ślepy trop, trudno, ale jeśli to coś więcej, to każdy dzień zwłoki może przesądzić o naszej porażce. Musimy zaryzykować. Wiem, że nie lubisz Ossowskiej, ale to mądra dziewczyna, więc dajmy się jej wykazać – zadudnił basem, który kompletnie nie pasował do jego skromnych gabarytów.

***

Z przekazaniem najnowszych wieści Agnieszka Ossowska czekała, aż zespół prokuratorów będzie w komplecie. Zależało jej na tym, by wszyscy jednocześnie poznali informacje, które mogły zmienić bieg śledztwa.

– O której odprawa? – spytała kobieta w średnim wieku, wtykając głowę do akwarium.

– Poczekamy na Czarka i Roberta, są w laboratorium – odparła Agnieszka, wykrzywiając wąskie usta w atrapie uśmiechu.

– O, masz mojego Benedicta! – Kobieta wskazała kubek w jej dłoniach. – Sam tu chyba nie przyszedł.

Sherlock się znalazł. Ossowska już chciała ją przeprosić, gdy do biura wkroczyli dwaj mężczyźni, na których czekała. Na ich widok podniosła się i chwyciła leżącą na blacie szarą tekturową teczkę.

– Zaczynamy odprawę – oznajmiła, wcisnęła kobiecie w ręce jej ukochanego Cumberbatcha wraz z niedopitą kawą i wkroczyła do *open space'u*. – Wracamy do gry! Nareszcie!

Radosny okrzyk z trudem przebijał się przez monotonny gwar rozmów, szum drukarek i melodyjne dźwięki telefonów, które wypełniały pomieszczenie. Ale ponieważ radość, jaka mu towarzyszyła, była w tym miejscu czymś absolutnie niecodziennym, wszyscy odwrócili głowy od monitorów i umilkli z telefonami w dłoniach.

– Dostałam najnowszy raport ABW. Wreszcie jakiś punkt zaczepienia. – Widziała, jak w oczach zmęczonych prokuratorów prowadzących dochodzenie w sprawie zamachów terrorystycznych pojawia się nadzieja. – To, co mam do zakomunikowania, objęte jest klauzulą ściśle tajne. Chyba nie muszę nikomu tłumaczyć, co to oznacza?

Tadeusz Rybicki, jedyny w zespole człowiek, do którego miała pełne zaufanie, nieznacznie skinął głową na znak, że dobrze zaczęła wystąpienie. On znał już zawartość szarej tekturowej teczki.

– Nasi ludzie muszą się o tym dowiedzieć – stwierdził, gdy mu ją pokazała.

Uważał, że z notatką ABW powinni się zapoznać wszyscy prokuratorzy pracujący w specjalnym zespole. Oczywiście było ryzyko przecieku, ale jednocześnie rosły szanse na to, że któryś z nich odnajdzie w informacjach agencji brakujące elementy potrzebne do rozwikłania zagadki.

– Dziś rano chłopcy z ABWehry dostarczyli mi bardzo interesującą notatkę. – Ossowska rozchyliła kościstymi dłońmi szarą tekturową teczkę. – *Ustalenia w sprawie okoliczności śmierci Piotra Wilka ps. Książę oraz jego kontaktów z rosyjskimi grupami przestępczymi* – przeczytała nagłówek, a wszyscy zamarli, czekając na ciąg dalszy. – Aby oszczędzić wam służbowej nowomowy, streszczę informacje zawarte w tym dokumencie. Oczywiście każdy, kto poczuje niedosyt, będzie mógł go przeczytać w moim gabinecie. – Nikt się nie odezwał, więc kontynuowała: – Siódmego lipca w swojej posiadłości we wsi Jordanowo w województwie kujawsko-pomorskim zamordowany został Piotr Wilk alias Książę.

Podeszła do korkowej tablicy i przypięła do niej wyjęte z teczki portretowe zdjęcie mężczyzny, który patrzył przed siebie małymi, wyłupiastymi oczami. Dziura pośrodku czoła sugerowała dość nachalnie, że mięśniak z zaplecioną w warkocz brodą jest denatem.

– To lokalny gangster o wielkich ambicjach trudniący się rozbojami, handlem ludźmi i narkotykami oraz organizowaniem nielegalnych walk.

Agnieszka zrobiła przerwę, gdyż zaschło jej w gardle. Działo się tak, ilekroć się nadmiernie emocjonowała. Postanowiła jednak nie sięgać po wodę, gdyż obawiała się, że wypadnie mało profesjonalnie, niczym uczennica zestresowana występem przed klasą.

– Źródła ABWehry w przestępczej organizacji Księcia twierdzą, że zabójstwo bossa to robota czterech killerów ze Wschodu. Nie wiadomo, jak dostali się do Polski, ale agencja zakłada, że ktoś przerzucił ich przez zieloną granicę. Tak czy inaczej, przyjechali rzekomo walczyć w nielegalnych turniejach urządzanych przez Wilka. – Rozejrzała się i spostrzegła, że wszyscy wpatrują się w nią w skupieniu. – Mniej więcej w tym samym czasie przemycono do naszego kraju heksogen i inne

substancje chemiczne, z których jak się pewnie domyślacie, można było wyprodukować bomby, jakich terroryści użyli w ostatnich zamachach.

Z każdym jej słowem robiło się ciekawiej. W powietrzu czuć było ogromne napięcie.

– Materiały wybuchowe, co wiedzieliśmy już wcześniej, przeszmuglowano przez przejście graniczne w Czeremsze. Nie mieliśmy jednak pojęcia, że korzystał z niego też Książę, aby przemycać narkotyki i żywy towar, zazwyczaj dziewczynki porwane na terenie dawnych republik radzieckich. Piotr Wilk zmuszał je do prostytucji, a gdy nie przynosiły już zysków, sprzedawał – w ostatniej chwili ugryzła się w język – różnej maści zwyrodnialcom.

Na razie nie chciała i nie mogła ujawniać informacji ze swego tajnego śledztwa prowadzonego we Włocławku i Lubrańcu. W nim także pojawił się Książę. Wzdrygnęła się odruchowo, gdy przed oczami stanęły jej makabryczne obrazy, które głęboko wryły się w pamięć.

– Co dalej? – padło pytanie.

– Przepraszam, zamyśliłam się – powiedziała zawstydzona, ale natychmiast wzięła się w garść i referowała dalej pewnym głosem: – Co ciekawe, na terenie posiadłości Księcia chłopcy z ABW odkryli ślady wspomnianego heksogenu i reszty tego szajsu.

W pomieszczeniu rozległ się pełen ekscytacji szmer.

– Być może, gdybyśmy wiedzieli to wcześniej, udałoby się zapobiec zamachom. Niestety badania te przeprowadzono dopiero kilka dni temu, po anonimowym zgłoszeniu, że u Piotra Wilka znajdowały się materiały wybuchowe wykorzystane w zamachach. Informację przekazała kobieta z wyraźnym wschodnim akcentem, prawdopodobnie jedna z tych, które były tam przetrzymywane. W lipcu jednak nikomu do głowy nie przyszło, by przeszukiwać ten teren specjalnymi detektorami. Wówczas masakra w Jordanowie wyglądała po prostu na krwawe mafijne porachunki.

Ossowska opuściła głowę, chowając twarz za długą grzywką. Potrzebowała chwili, by opanować rozedrgane nerwy. Znowu wróciły

wspomnienia maltretowanych dziewczynek, które sprowadzono do roli żywych inkubatorów. Odgarnęła włosy, jakby przepędzała natrętne obrazy.

– Myślę, że możemy postawić roboczą tezę, że killerzy ze Wschodu przyjechali do Jordanowa właśnie po materiały wybuchowe i zlikwidowali potencjalnych świadków. Wraz z Księciem zginęli jego przyboczni oraz kilkunastu ochroniarzy. Na szczęście masakrę przeżyła wtyka ABW oraz działający pod przykryciem agent. Dzięki tym dwóm anonimowym źródłom zdobyliśmy te cenne informacje. Ekipa, która miała odstrzelić Księcia, to Ukrainiec, Czeczen i dwóch Ruskich.

Na korkowej tablicy, nieco poniżej fotografii martwego gangstera, pojawiły się kolejne cztery zdjęcia. Były to stop-klatki z nagrań monitoringu zainstalowanego w posiadłości i domu Piotra Wilka.

– Ten tu to Ukrainiec Ołeh Petryk. Były żołnierz jednostki specjalnej, jeden z tak zwanych Cyborgów, czyli straceńców, którzy bez wsparcia wiele miesięcy bronili lotniska w Doniecku.

Na fotografii widać było krótko ostrzyżonego szatyna o wysokim czole, dużym, krzywym nosie oraz szerokich ustach.

– Kolejny to Czeczen Asłan Bachanow. Wiemy, że walczył w Donbasie po stronie separatystów. Prawdopodobnie żołnierz Specnazu. – Agnieszka wskazała podobiznę mężczyzny, którego gęsta czarna broda przycięta na sposób muzułmański sięgała aż do klatki piersiowej. – Ten przyjemniaczek z kolei to Rosjanin Andriej Kulikow. On także walczył w Donbasie jako najemnik i również podejrzewany jest o związki ze Specnazem.

Zdjęcie przedstawiało trzydziestokilkulatka, który wyraźnie łysiał, ale nadrabiał to wąsami w kształcie podkowy sięgającymi aż do brody. W efekcie bardziej kojarzył się ze stereotypowym amerykańskim policjantem niż z rosyjskim komandosem.

– I wreszcie ostatni przystojniak. Nazywa się Michaił Sidorow. – Wskazała typa, którego twarz pokryta była charakterystycznymi bliznami po ospie. – To też obywatel Federacji Rosyjskiej prawdopodobnie szkolony przez Specnaz i podobnie jak dwaj poprzedni wspierał prorosyjskich separatystów w Donbasie.

Prokurator Ossowska nie mogła oprzeć się wrażeniu, że już gdzieś widziała tego mężczyznę. Ta natrętna myśl krążyła jej po głowie, odkąd pierwszy raz spojrzała na to zdjęcie.

ROZDZIAŁ 5

DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

„Ojcowie nie poniosą śmierci za winy synów
ani synowie za winy swych ojców.
Każdy umrze za swój własny grzech”.
Księga Powtórzonego Prawa 24,16

Patrzył na swą poznaczoną bliznami twarz, jakby widział w niej jakieś ukryte piękno. Coś, czego nie dostrzegał nikt poza nim. Uśmiechnął się do odbicia w lustrze i pogładził po ogolonej na łyso głowie. Głębokie szramy i dziury po ospie układały się na policzkach i czole w makabryczną mozaikę. Mógłby bez charakteryzacji grać w horrorach.

Jego rozmyślania przerwał gong, po którym miły kobiecy głos obwieścił:

– *Ground floor.*

Michaił Sidorow, przez znajomych zwany Rosomakiem, poprawił czarny T-shirt opinający dobrze umięśnione ramiona i klatkę piersiową. Był niski, ale w jego postawie i ruchach czuć było tę wyjątkową pewność siebie, która cechuje osoby szkolone do walki i zabijania. Ludzie zazwyczaj myślą, że komandosi to draby gabarytów Arnolda Schwarzeneggera czy Sylvestra Stallone. Tymczasem jednostki specjalne preferują raczej niskich kandydatów. W ich misjach poza siłą i odpornością psychiczną liczą się także szybkość, zwinność i koordynacja ruchowa, a z tym wyżsi i cięższi mają zazwyczaj problem.

Drzwi windy rozsunęły się i Rosomak znalazł się naprzeciwko chudej kobiety, która przewyższała go o głowę.

– *Izwinitie* – wychrypiał, próbując ją ominąć.

– Bardzo przepraszam – powiedziała prokurator Ossowska i odsunęła się, żeby niski mężczyzna mógł przejść.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i Agnieszka poczuła dziwny niepokój. Nagłe zdenerwowanie nie było związane z odpychającą dziobatą twarzą mężczyzny, która skojarzyła jej się z pełną kraterów powierzchnią Księżyca. Chodziło właśnie o spojrzenie. Było pozornie obojętne, ale gdzieś głęboko w niebieskich oczach krył się polujący na ludzi drapieżnik. *The Iceman*. Ossowska natychmiast pomyślała o Richardzie Kuklińskim, płatnym zabójcy pracującym dla nowojorskiej rodziny mafijnej Gambino. Ten beznamiętny mężczyzna w ciągu trzydziestu lat zabił ponad dwieście osób. Zapamiętała go z filmu dokumentalnego, w którym z lodowatą obojętnością opowiadał o popełnionych morderstwach.

Otrząsnęła się i wszedłszy do windy, zerknęła raz jeszcze na recepcjonistę, by upewnić się, że dobrze wybrała. Stojący za ciężkim kamiennym kontuarem mężczyzna skinął jej uprzejmie głową.

Pełna luksusu elegancja, z jaką urządzona była klinika „Mysterium Vitae", onieśmielała ją. Wyczuwało się tu olbrzymie pieniądze. Agnieszka zdecydowanie nie czuła się tu swobodnie. *Byt określa świadomość*. Spojrzała w osadzone w mosiężnej ramie lustro i skrzywiła się na swój widok. Przekrwione, zapadnięte oczy przypominały o kolejnej zarwanej nocy. Jak zwykle spędziła wieczór, poprawiając sobie nastrój czerwonym winem. Planowała wypić tylko jedną lampkę, a skończyło się na trzech... butelkach. Nerwowo oblizywała teraz wyschnięte wargi w odruchu, którego na kacu nie potrafiła opanować. Obrazu nędzy i rozpaczy dopełniała znoszona pastelowa bluzka, która wisiała na niej jak na wieszaku, podkreślając cherlawą sylwetkę. Nieco tylko lepiej prezentowały się lniane spodnie, ale i one już dawno powinny trafić na śmietnik, bo na zbiórkę PCK wstydziłaby się je oddać. Na stopach miała tanie sandały kupione na wyprzedaży w jednym z dyskontów. Choć szybka wizja lokalna wypadła na jej niekorzyść, uznała, że nie będzie zawracać sobie tym głowy. *Pieprzyć to!* Wzruszyła tylko ramionami, a po psychicznym dołku nie było już śladu. Jak

zwykle „dzień po" jej nastrój przypominał sinusoidę, co oznaczało karkołomną jazdę raz w górę, raz w dół.

Zamyślona nawet nie zauważyła, że winda się zatrzymała, a drzwi stoją otworem. Obróciła się niepewnie.

– Proszę się nie bać, pani prokurator, zapraszam. – Głęboki kobiecy głos dobiegał gdzieś z prawej strony.

Agnieszka zebrała się w sobie i zdecydowanym krokiem opuściła windę. Znalazła się pośrodku olbrzymiego gabinetu urządzonego w stylu, który przypominał jej czasy francuskiej bohemy. Nie przywiązywała specjalnie wagi do aranżacji wnętrz, ale to zachwycało nawet ją. *Wielkie WOW*. Fantazyjne kształty mebli i znakomicie dobrane kolory urzekały. Pożałowała, że nie zna historii sztuki i architektury, by móc jeszcze bardziej docenić to, co widzi.

– Hector Guimard, przełom XIX i XX wieku – oznajmiła Karolina van der Oord, widząc zachwyt, który prokurator Ossowska nieudolnie próbowała ukryć. – Był wybitnym francuskim architektem, współtwórcą *art nouveau* – dodała tonem znudzonego marszanda, który ma do czynienia z nieukiem.

Najbogatsza Polka wstała z gracją zza biurka, gasząc w popielniczce czarnego papierosa ze złotym ustnikiem. Ubrana w zwiewną letnią sukienkę z dekoltem odsłaniającym jędrne piersi nie wyglądała na kobietę, która zarządza biznesowym imperium.

– W czym mogę pani pomóc? – spytała i wyciągnęła przed siebie rękę.

Były mniej więcej tego samego wzrostu, ale tyczkowata Agnieszka wydawała się wyższa.

– Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas – powiedziała, ściskając dłoń właścicielki „Mysterium Vitae".

Jej wzrok przyciągnął wysadzany diamentami złoty wąż, który oplatał nadgarstek van der Oord. *Ja pierdolę*. Wolała nawet nie myśleć, ile kosztowało to dzieło sztuki jubilerskiej. Czuła się nieswojo w obecności tej pięknej, eleganckiej i silnej kobiety. Jej pewność siebie spadała niczym

nurkujący samolot. *Terrain ahead, pull up, pull up!* Zacisnęła szczęki, co nadało jej kościstej twarzy jeszcze surowszy wygląd.

– Chciałam zadać pani kilka pytań w związku z ostatnimi wydarzeniami w tutejszym sierocińcu – oznajmiła, odrywając wreszcie wzrok od hipnotyzującego ją węża. – Konkretnie chodzi mi o śmierć siostry Cecylii.

Karolina van der Oord się zdziwiła.

– Myślałam, że prokuratura uznała to za samobójstwo.

Ossowska pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Śledztwo trwa, dlatego poprosiłam o spotkanie.

Bizneswoman wielkopańskim gestem wskazała dwa krzesła, których oparcia i podłokietniki o falistych liniach przypominały pnącza winogron. Między nimi stał stolik kawowy.

Agnieszka usiadła ostrożnie, jakby się bała, że finezyjna konstrukcja może się pod nią załamać.

– Czego się pani napije? – spytała van der Oord, otwierając przeszkloną witrynę z alkoholami. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie są to trunki z osiedlowego monopolowego.

Źródło życia. Ossowska odruchowo oblizała wargi. Na to nie była przygotowana. Próbowała zatrzymać gonitwę myśli, które rozpalały jej mózg. Śledztwo, świadek, prokurator, przesłuchanie, alkohol. *Nie ma takiego numeru*. Było jasne, że powinna odmówić i poprosić o kawę lub wodę, ale jej umysł wciąż szukał jakiejś wymówki, usprawiedliwienia, które wyłączyłoby system autokontroli. Rozchyliła spierzchnięte wąskie wargi, lecz nie zdążyła się odezwać.

– Proponuję armaniak prosto z mojego *château* w Gaskonii – powiedziała Karolina van der Oord, widząc jej niezdecydowanie. Wyjęła dwa pękate kieliszki i butelkę trunku o ciemnej, prawie mahoniowej barwie.

Agnieszka przełknęła ślinę i znowu oblizała usta. Chciała powiedzieć „Nie", ale coś ją zakneblowało. *Tylko jeden kieliszek*. Krople potu wystąpiły jej na czoło, a w uszach zaszumiała krew, niosąc echo coraz głośniejszych uderzeń serca.

Właścicielka „Mysterium Vitae” postawiła kieliszki na stoliku i napełniła je w jednej trzeciej.

– Dwadzieścia lat leżakowania – obwieściła z dumą, podnosząc swój do nosa. – Proszę powąchać, uwielbiam ten bukiet.

Prokurator Ossowska posłusznie wykonała polecenie. Teraz oprócz nerwów wzrokowych także receptory powonienia przesyłały do mózgu sygnał o czekającej go nagrodzie. Czuła drżenie dłoni, w której trzymała kieliszek. Przez moment wydawało jej się, że van der Oord uśmiecha się kpiąco. *Omamy*. Pierwszy łyk wyrazistego wysokoprocentowego alkoholu był mało przyjemny. Gwałtownie rozgrzał kubki smakowe i wlał się palącym strumieniem do gardła.

– Nie wiem, czy pani wie, ale armaniak to najstarszy na świecie winiak produkowany masowo przy zachowaniu ściśle określonych procedur. – Gospodyni przechyliła wolno kieliszek, kosztując szlachetnego trunku w sposób, który świadczył o jej wielkim obyciu. – W Bibliotece Watykańskiej znajduje się pochodzące z początku XIV wieku dzieło kardynała Dufour. Ten uczony medyk stwierdził, że armaniak ma aż czterdzieści niezwykłych właściwości. – Uniosła szkło tak, że w bursztynowym płynie zatańczyły promienie słoneczne wpadające przez panoramiczne okno, z którego widać było sosnowy las i sztuczne rozlewisko Zgłowiączki. – Według kardynała leczy podagrę, uśmierza ból zębów, usuwa nieprzyjemne zapachy z nosa, dziąseł i pach. Jest wskazany dla cierpiących na puchlinę wodną, a poza tym przedłuża młodość i opóźnia starzenie – wyliczała, wyraźnie rozbawiona.

Agnieszka uśmiechnęła się kurtuazyjnie, ale wąskie usta i haczykowaty nos sprawiły, że bardziej przypominało to grymas zniesmaczenia. Dla niej Karolina van der Oord była nadętą, próżną babą, która umiejętnie się maskowała, udając miłą i przystępną. Wzięła kolejny łyk armaniaku. Alkohol krążył już w żyłach i w cudowny sposób wyostrzał przytępione kacem zmysły. Wiedziała jednak, że ten przyjemny stan nie potrwa długo.

– Gdzie się pani urodziła? – spytała jakby od niechcenia.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie.

– Pochodzę z Bredy, to urokliwe miasto w południowo-zachodniej Holandii. Szczególnie piękna jest starówka otoczona siecią kanałów. Bredę wyzwoliła Pierwsza Dywizja Pancerna generała Maczka. Mój dziadek w niej służył. Po wojnie, zamiast wrócić do kraju, osiadł właśnie w tym mieście. Tam się urodziła moja mama, a później na świat przyszłam ja. Ale chyba nie spotkałyśmy się, aby snuć rodzinne opowieści?

Agnieszka nie zareagowała od razu. Opróżniła kieliszek, a po chwili poczuła przyjemne mrowienie na plecach i delikatny szum w głowie. Nienawidziła tej zakłamanej kobiety o ciele, którego mogły jej pozazdrościć greckie boginie. Czuła obrzydzenie, widząc jej fałszywy uśmiech i niewinne sarnie oczy. To był moment, który przesądził o katastrofie.

– Szukam Katarzyny Paluch urodzonej w Łodzi 21 maja 1970 roku. Może pani wie, gdzie ją znajdę? – spytała, patrząc na nią wyzywająco.

Karolina van der Oord uśmiechnęła się i napełniła jej kieliszek.

Ostatni, naprawdę ostatni. Ręka Agnieszki już nie drżała. Ujęła od spodu okrągłą, zwężającą się ku górze bańkę i wykonała energicznie kilka kolistych ruchów. Widziała to w jakimś programie, w którym eleganccy, wyglądający na ekspertów mężczyźni rozprawiali o tym, jak należy pić koniak.

– Proszę tego nie robić. Zbyt szybko napowietrzony, armaniak straci swój wyjątkowy aromat. Domyślam się, że zwykle pija pani inne alkohole. Ale ten dojrzewający dwadzieścia lat w dębowych beczkach trunek wymaga odpowiedniego traktowania. Trzeba umieć się nim delektować. – Słowa van der Oord brzmiały wyniośle, wręcz pogardliwie. – Z armaniakiem jest jak z życiem: kto go nie ceni, nie zasługuje na nie – dodała, nie siląc się na uśmiech.

Miło już było. Sarnie oczy kobiety straciły niewinny, słodki wygląd. Właścicielka „Mysterium Vitae" przypominała teraz Ossowskiej szykującą się do ataku lwicę.

***

– To nie jest jakaś tam pańcia, głupia blondyna, która pławi się w luksusie i myśli tylko o nowej torebce czy butach. Nie przez przypadek zaszła tak daleko. Po trupach do celu, taką wyznaje filozofię, więc jeśli będzie trzeba, sama rozszarpie ci gardło. Jest bezwzględną, pamiętliwą suką i nie cofnie się przed niczym, a niszczyła już potężniejszych od ciebie. Niech cię nie zwiodą jej sarnie oczy, piękna twarz i kuszące kształty. Karolina van der Oord to cholernie groźny drapieżnik. Jeśli się dowie, że tu byłem, będzie po mnie.

Szymon Wilk mówił szybko, a w jego głosie brzmiał strach. Było to o tyle dziwne, że nie należał do bojaźliwych i nie bez powodu nazywali go Mocny. Teraz jednak, siedząc w gabinecie brata, nerwowo pocierał dłonie i oblizywał wargi.

– Powiedziała, że jesteś trupem. Stary, to nie są żarty. Schowaj się gdzieś, przeczekaj.

Błagalny ton, w który uderzył Mocny, nie robił wrażenia na Piotrze Wilku. Ubrany w przepoconą koszulkę, siedział w fotelu z nogami zarzuconymi na biurko. Jak zwykle był wstawiony i naćpany. Jego wyłupiaste oczka patrzyły obojętnie na wiszący na ścianie tandetny landszafcik z jeleniem i zachodem słońca. Klasyczna Cepelia. Ale też nikt nie spodziewał się po Księciu znajomości sztuki. Był prostym socjopatą wierzącym w siłę pięści, twardość bejsbola i duży kaliber klamki.

– Mam uciekać przed tą cipą? – Książę oderwał wzrok od obrazu i spojrzał groźnie na brata bliźniaka, od którego różnił się i wyglądem, i charakterem. – Chyba ci kompletnie odjebało! – rzucił i uderzył pięścią w blat.

Do gabinetu natychmiast wpadł jeden z przybocznych mafiosa zaniepokojony dobiegającymi zza drzwi odgłosami.

– Wszystko w porządku, szefie? – spytał, rozglądając się czujnie.

– Taaa. A teraz spierdalaj, bo muszę dokończyć rozmowę z siostrą – odparł Piotr Wilk i spojrzał wymownie na Mocnego.

– Brachu, znasz mnie i wiesz, że nie wymiękam z byle powodu. Ale jeśli mamy załatwić Karolinę van der Oord, potrzebujemy dobrej strategii

i cierpliwości. Za tą kobietą stoją wielkie pieniądze, służby specjalne i międzynarodowe organizacje przestępcze. To naprawdę nie są żarty…

Szymon starał się nie drażnić brata i trafić do resztek jego rozsądku przytłumionego przez alkohol, narkotyki, męski szowinizm i przerośnięte ego. Było to jednak niewykonalne.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z jakimiś podchodami, bo za starzy na to jesteśmy. Wystarczy, że weźmiesz gnata i strzelisz jej w łeb! – powiedział Książę tubalnym głosem.

Podniósł się ciężko z fotela. Zakołysało nim, ale szybko odzyskał równowagę i zaczął krążyć po gabinecie. Po jakimś czasie zatrzymał się w miejscu, w którym drewniana podłoga była wyraźnie jaśniejsza, zupełnie jakby ktoś czyścił ją wybielaczem.

– Nie pitol mi tu, braciszku, o służbach specjalnych i mafiosach. Na gnata i kosę nie ma mocnych. Od lat sami załatwiamy swoje sprawy, więc ołowica albo tchawica – zarechotał, ale zaraz wskazał na podłogę. – W połowie miesiąca zarżnąłem tu jedną moją świnkę. – Przejechał kciukiem po szyi, naśladując podrzynanie gardła. – Tryskało z niej jak z fontanny. Zniszczyła mi parkiet, kurew jedna – rzucił beznamiętnie, jakby mówił o patroszeniu ryby, po czym podszedł od tyłu do Mocnego, który siedział na krześle, i pochylił się nad nim. – Jesteśmy wilkami, robimy, co chcemy. To inni mają się nas bać.

Szymon poczuł odór alkoholu i papierosów. Wolał nawet nie pytać, kim była ta dziewczyna i czym zasłużyła sobie na śmierć. *Polish psycho*. Zastanawiał się właśnie, co jeszcze może powiedzieć, gdy jego brat ryknął i złapał go za gardło. Potężne palce wbiły się głęboko w jego szyję. Zacharczał, a na skroniach wyszły mu grube, pulsujące żyły. Mógł co prawda bez problemu powalić Piotra, ale nie chciał zaogniać sytuacji.

– Nie martw się, kurwa, o mnie! Zacznij się martwić o siebie! – wykrzyczał Książę i rozluźniwszy uścisk, poczłapał do masywnego rzeźbionego biurka. Chwycił leżącą na nim komórkę, z trudem wybrał numer i czekał na połączenie. – Przyprowadź mi tu tych Sowietów! –

warknął i rozłączył się. – Chwileczkę, braciszku. Chcę ci przedstawić moich nowych znajomych – powiedział.

Chwileczka oznaczała pół godziny, w trakcie której bracia nie odezwali się do siebie słowem. Wreszcie rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszło czterech mężczyzn.

Książę przedstawił ich pokrótce.

– Ten tu – wskazał brzydala o wysokim czole, krzywym nosie i szerokich ustach – to Ołeh Petryk. Czternaście lat w jednostce specjalnej, odznaczony za obronę pieprzonego lotniska na Ukrainie.

Widać było, że Piotr Wilk ma już spore kłopoty z koncentracją. Wyjął z kieszeni spodni fiolkę, nie bez trudu ją odkorkował, na skórę między kciukiem a palcem wskazującym nasypał białego proszku i wciągnął go. A potem odchylił głowę i w tej pozycji czekał na pobudzające działanie narkotyku.

Po chwili otrząsnął się i wskazał mężczyznę, który wyglądał na najstarszego z grupy. Jego twarz pokryta była gęsto bliznami i dziurami.

– Michaił Sidorow, ale wołamy go, kurwa, Rosomak. Piętnaście lat służby w Wojskach Specjalnego Przeznaczenia Federacji Rosyjskiej. Ostatnio w Donbasie – wyrecytował, zadziwiając Mocnego swoją elokwencją. Kokaina zaczęła działać.

Na lewo od Rosomaka stał facet, który za sprawą długiej brody wyglądał jak muzułmanin.

– Asłan Bachanow, ksywa Oko, pieprzony snajper. Dziesięć lat w Specnazie, też najemnik w Donbasie. – Piotr Wilk przerwał tylko na chwilę, by nabrać powietrza. – A ten obok niego to Andriej Kulikow, ksywa Hulk. Jak się domyślasz, to z miłości do Hulka Hogana.

Podążając za zaskakująco płynną narracją brata, Mocny przeniósł wzrok na łysiejącego trzydziestoparolatka z wąsami w kształcie podkowy.

– *Eto moi druzja, moja spiecjalnaja komanda.* – Książę przeszedł na rosyjski, wiedząc, że Szymon zna ten język. – Panowie, to mój brat. Wołamy na niego Mocny. Do dziś myślałem, że to twardziel, ale przybiegł tu zesrany

i powiedział, że taka jedna damulka chce mnie zabić. A wiecie, co zaproponował?

Mężczyźni rzecz jasna nie mogli tego wiedzieć, czekali więc w milczeniu.

– Zaproponował, żebym się schował i przeczekał. Ja, kurwa, mam się chować! Do tego mając takich killerów jak wy! – Piotr Wilk wybuchnął śmiechem.

Rosjanie i Czeczen natychmiast przyłączyli się do niego. Tylko Ołeh Petryk stał nieruchomo, a jego mina nie zdradzała żadnych emocji.

– Naczelniku, jedno słowo i ta bladź idzie do piachu – oświadczył z pełną powagą Rosomak.

– Słyszałaś, siostrzyczko, co powiedział towarzysz pułkownik Michaił Sidorow? Słyszałaś, do cholery?! – wykrzyczał Książę, w którego wyłupiastych oczach płonęło szaleństwo. – Zejdź mi z oczu, Mocny, i wróć, jak odrosną ci jaja!

Szymon Wilk wstał i ruszył szybko w kierunku masywnych drewnianych drzwi, by zniknąć za nimi bez pożegnania.

***

Obeszło się bez uścisków dłoni i grzecznościowych formułek na pożegnanie. Zamiast nich były lodowate milczenie, zawziętość na twarzach i wyzywające spojrzenia.

To było zderzenie dwóch światów i systemów wartości, odmiennych życiowych doświadczeń, a przede wszystkim sprzecznych interesów. Katastrofa była nieunikniona. Ale nie tego chciała, idąc na pierwsze spotkanie z tą potężną kobietą, którą znała jedynie z okładek kolorowych czasopism. Miało być miło i uprzejmie. Zamierzała zadać tylko kilka ogólnikowych pytań, aby zdobyć zaufanie rozmówczyni. Sprawa była zbyt delikatna, a Karolina van der Oord zbyt wpływowa, żeby ruszać do frontalnego ataku. Chcąc upolować takiego drapieżnika, prokurator Ossowska musiała postępować ostrożnie, by nie spłoszyć zwierzyny lub, co

gorsza, nie sprowokować jej do ataku. Należało działać spokojnie, krok po kroku.

Taki był plan, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. *Pieprzony armaniak*. Być może gdyby nie wypity alkohol, który dodał jej odwagi i zachęcił do brawury, wszystko potoczyłoby się inaczej. To jednak wcale nie było takie pewne, Agnieszka bowiem od pierwszej chwili nie lubiła właścicielki „Mysterium Vitae", wyczuwając fałsz w jej uprzejmym zachowaniu i widząc pogardę w spojrzeniu. Dla ludzi takich jak van der Oord była jedynie pionkiem na szachownicy, nic nieznaczącą osobą.

– Do widzenia i zapraszamy ponownie – rzekł recepcjonista, kłaniając się jej.

– Do widzenia – powiedziała Agnieszka, wychodząc przez obrotowe drzwi w objęcia tropikalnego żaru.

Nagłe uderzenie gorąca przyprawiło ją o zawroty głowy i nudności. Wypity armaniak, zmieszany z wczorajszym winem i dzisiejszym śniadaniem, próbował opuścić jej ciało tą samą drogą, którą do niego trafił. Ossowska zasłoniła usta dłonią i głęboko oddychała przez nos, ale lepkie powietrze nie było w stanie jej orzeźwić. Czuła się coraz gorzej. Kątem oka dostrzegła tuż przy wejściu marmurowy kosz na śmieci, podbiegła do niego i niemal zanurzywszy w nim głowę, zwymiotowała. Kiedy się wyprostowała, poczuła, że jest jeszcze bardziej pijana. Obraz świata stawał się niewyraźny, a próby złapania ostrości spełzły na niczym.

– Wszystko w porządku, pani prokurator?

Pytanie dobiegło gdzieś z daleka. Nie potrafiła określić kierunku, ale skojarzyła głos. *Pan Kazimierz*. Odwróciła się, lecz zrobiła to za szybko, straciła równowagę i upadła na granitowy chodnik. Nie czuła bólu, jednak nie mogła się ruszyć, nawet palce odmówiły jej posłuszeństwa. O dziwo, było jej to obojętne, jakby nie miało znaczenia. Dotarło do niej, że nic już nie jest ważne. Frustrująca praca, irytująca matka hipokrytka, skorumpowany przystojniak Rudzki i idealna Karolina van der Oord, morderczyni zza biurka – wszystko to stało się nieistotne, banalne i drugorzędne.

Leżała na chodniku i z tej pozycji obserwowała przez przymknięte powieki biegające wokół niej buty. Większość wyglądała na męskie, niektóre przystawały i przyglądały się jej z zainteresowaniem, ale i politowaniem, jakby uważały, że chodnik należy wyłącznie do nich. *Głupie buty*. Chciała im coś powiedzieć, usprawiedliwić się, wytłumaczyć, ale nie mogła wydusić z siebie słowa. Tymczasem buty przemieszczały się coraz szybciej i od patrzenia na nie Agnieszce zrobiło się niedobrze. Jej chudym ciałem wstrząsnęły torsje, poczuła w ustach kwaśną, cuchnącą nieprzetrawionym alkoholem treść żołądka. *Fuck them all*. Zamknęła oczy, światło zgasło. Ktoś chwycił ją, podniósł i ułożył na noszach. Usłyszała jeszcze grzechot kółek na granitowych płytach chodnika i poczuła przyjemny chłód. A potem pozwoliła, by ogarnęła ją ciemność.

***

Świadomość wracała powoli, jakby wynurzała się z oceanicznej głębi, ze strefy wiecznego mroku. Podróż ku tlącemu się gdzieś w oddali światłu trwała niemiłosiernie długo, była niemal fizycznie męcząca. Ale dotarcie na powierzchnię nie przyniosło spodziewanej ulgi. Najpierw poczuł ból przeszywający stopy, kolana i dłonie. Był on tak niewyobrażalny, że o mało znów nie zemdlał. Ale wtedy ktoś chlusnął mu lodowatą wodą w twarz i to go ocuciło. Parsknął, wypluwając krew i pokruszone zęby. Przesłaniająca wszystko mgła opadała, a świat zaczął nabierać kształtów i kolorów. Zobaczył podwieszany kasetonowy sufit i kryształowy żyrandol. Rozpoznał wyposażenie własnego gabinetu. *Co jest, kurwa?!* Pamięć nie nadążała za ośrodkami czucia i wzroku, które reaktywowały się pierwsze. Był zdezorientowany, a potęgujący się ból utrudniał myślenie. Ostrożnie obrócił głowę w prawo, gdzie spodziewał się ujrzeć barek z lustrzanymi drzwiczkami. Nie pomylił się – w ciemnym szkle zobaczył swoje odbicie. Leżał przybity do podłogi ręcznie kutymi gwoździami, które sam zamówił na budowę stajni. Rozrzucone na boki ręce przebite były w nadgarstkach. Czarne, długie na ponad dwadzieścia centymetrów gwoździe z płaskimi,

zdobnymi łbami sterczały też z jego kolan i stóp. W tym momencie wróciła pamięć.

– Jebane kacapy, nie uciekniecie z Polski. Moi ludzie was zajebią! – wykrzyczał Książę, zapominając na moment o cierpieniu. – Wy pierdolone w dupę ruskie cwele, lepiej sami się odstrzelcie, będzie mniej bolało. Obetnę te wasze świńskie łby i naszczam do szyi! – Nie przestawał miotać obelg i gróźb, choć w jego obecnym położeniu było to groteskowe. – Asłan, ty kozojebco, będzie cię dymał mój pies… – Przerwał, bo zobaczył nad sobą twarz Ołeha Petryka. – Jest i braciszek mojej ulubionej, wiecznie niedojebanej Swietoczki. Żebyś ty wiedział, co my tu z nią wyprawialiśmy! Zresztą zapytaj ją, na pewno opowie ci ze szczegółami. – Zacharczał i splunął krwią. Wyraźnie opadał z sił. – Naprawdę chcecie mnie zabić za jedną ukraińską dziwkę?

Obok głowy Ołeha pojawiła się dziobata twarz Rosomaka. Rosjanin popatrzył na niego z politowaniem.

– *Ty durak, poetamu ty niczewo nie panimajesz* – rzekł. – *Twoi sabaki boleje umnoje czem ty*.

Piotr Wilk rzeczywiście czuł się jak dureń, który niczego nie rozumie, i gotów był w tym momencie przyznać, że jego psy są mądrzejsze od niego. Świat przed jego oczami delikatnie zafalował, a twarze Rosomaka i Cyborga straciły ostrość. Czując, że słabnie, postanowił zmienić strategię.

– *Poczemu*? – W jego głosie nie było już buty.

Pokonany, wielki Książę leżał we własnym gabinecie jak wyciągnięty na brzeg rekin. Nie liczył już na ratunek. Wiedział, że los w końcu się od niego odwrócił.

Przez lata rządził przestępczym światkiem na Kujawach, a jego terytorium ciągnęło się szerokim pasem od Włocławka przez Toruń aż po Bydgoszcz. Konkurencja wielokrotnie próbowała go zlikwidować, jednak dzięki wrodzonej czujności, wyszkoleniu swych ludzi i szczęściu unikał kul i ładunków wybuchowych. Wśród lokalnych gangsterów ksywa „Książę” budziła szacunek, strach i nienawiść. Był nieobliczalny, bezwzględny i pozbawiony sumienia, a największą radość czerpał z zadawania bólu

i patrzenia na cierpienia innych. Niczego i nikogo przy tym nie żałował. Żył tak, jakby miało nie być jutra… i tym razem rzeczywiście jutro miało nie nadejść. Pogodził się z tym, ale chciał wiedzieć dlaczego.

Pamiętał, że po wyjściu brata wdał się w dyskusję z ekipą ze Wschodu. Rozmawiali, popijając whisky i śmiejąc się z gróźb Karoliny van der Oord. Byli zgodni, że urzędująca w Lubrańcu suka może im co najwyżej obciągnąć. Humory dopisywały, wszystko było w porządku, tyle że gdy się pochylił, by wciągnąć kolejną porcję kokainy, poczuł ukłucie w kark. Szarpnął się do tyłu, ale było już za późno – coś mu wstrzyknęli.

Pieprzeni zdrajcy.

Odwrócił się powoli i zobaczył stojącego ze strzykawką Ukraińca. Twarz Ołeha była jak zwykle nieruchoma, niczym wykuta z kamienia. Jego wysokie czoło, krzywy nos i szerokie wargi zaczęły się rozmazywać i zlewać w jedno. Książę z trudem zrobił krok w jego kierunku i jeszcze jeden. A potem nagle stracił czucie w nogach i upadł bezwładnie na podłogę.

Nie wiedział, jak długo spał. Obudził się z potężnym bólem głowy, plecami sprawdzając twardość dębowej podłogi w swoim gabinecie. Był skrępowany żółtymi pasami wyposażonymi w napinacze, takimi, jakie podczas transportu zabezpieczają ładunek przed przesunięciem. Nie miał szans samodzielnie się oswobodzić, ale nie zamierzał bezczynnie leżeć, czekając na powrót oprawców. Na ile mógł, rozejrzał się dookoła. Wyglądało na to, że gabinet jest pusty. Z wysiłkiem dźwignął tułów i nie zwracając uwagi na wpijające się w ciało grube taśmy, usiadł. Kosztowało go to sporo wysiłku i teraz dyszał, łapczywie chwytając powietrze. Szykował się do następnego etapu, ale nie zdążył podkurczyć nóg.

– *Dobryj deń* – rozległ się znajomy głos, po czym silne kopnięcie w klatkę piersiową posłało go na podłogę.

Ołeh Petryk z kamiennym spokojem stanął w rozkroku i po chwili namysłu oparł prawą stopę w ciężkim wojskowym bucie na jego przyrodzeniu. A następnie przeniósł na nią cały swój ciężar.

Rozległ się przeraźliwy krzyk, a wyłupiaste oczy Piotra Wilka zaczęły wychodzić z orbit. Zsiniał, zaś na jego zaciśniętych ustach pojawiła się piana i pociekła po zaplecionej w warkocz brodzie. Po chwili nacisk zelżał, a Książę złapał oddech.

– Ty ukraiński psie! Cioto jebana! – wrzasnął.

Petryk nie wyglądał na kogoś, kto przejmuje się wyzwiskami. Kucnął obok zaślinionego gangstera i pokazał mu zdjęcie nastolatki o długich czarnych włosach i delikatnej urodzie.

– *Ty li pomnisz etu diewuszku*?

Książę natychmiast rozpoznał Swietłanę. Ledwie kilkanaście dni wcześniej odesłał ją do Lubrańca po wyjątkowo hucznym pożegnaniu. Bicie, tortury, zbiorowy gwałt. Takich cipek się nie zapomina. Nie rozumiał jednak, dlaczego interesuje się nią ten Ukrainiec. Na odpowiedź nie musiał długo czekać.

– *Eta moja siestra. Powiedz meny, gde ona.*

Cyborg mówił dziwną mieszaniną rosyjskiego, ukraińskiego i polskiego, ale gangster bez problemu zrozumiał, że Swietłana jest jego siostrą, a on, jak przystało na kochającego braciszka, chce wiedzieć, gdzie teraz jest.

Piotr Wilk milczał. Nieraz przesłuchiwał ludzi, wiedział więc, że cokolwiek powie, i tak będzie źle. Milczenie oznaczało ból, kłamstwo niosło cierpienia, a prawda gwarantowała męki. Tylko ktoś, kto nie znał zasad tej gry, mógł naiwnie sądzić, że istnieje odpowiedź, która zadowoli oprawcę. Albo że jest dobre wyjście z tej sytuacji. To była loteria, w której każdy los przegrywał. *Kurwa jego mać*. Czas płynął, a on wciąż nie mógł się zdecydować, jaką strategię obrać.

Jednak Ukrainiec nie należał do osób cierpliwych. Podszedł do masywnego drewnianego biurka, a gdy wrócił i kucnął przy lewej nodze mafiosa, w jednej dłoni trzymał wielki kuty gwóźdź, a w drugiej ciężki dwuobuchowy młot.

Książę poczuł, jak ostry czubek dotyka jego kolana.

– Nie, kurwa, ochujałeś! – krzyknął rozpaczliwie i z przerażeniem obserwował, jak stalowy młot w zwolnionym tempie opada na zdobny kwadratowy łeb gwoździa.

Rzepka i chrząstka stawowa wydały dźwięk przypominający trzask pękających suchych gałęzi.

Ołeh uderzył raz jeszcze, by upewnić się, że gwóźdź mocno tkwi w dębowej podłodze, a Piotr Wilk ryknął i zgiąwszy się wpół, odruchowo usiadł. Jednak spętany szerokimi żółtymi pasami transportowymi nie mógł się bronić.

– Upierdolę ci nogi przy samej dupie! – wycharczał, a z ust znowu popłynęła mu ślina.

Ołeh nie wdawał się z nim w dyskusję. Zmienił stronę i chcąc odświeżyć mu pamięć, powtórzył zabieg. Gdy czarny gwóźdź zanurzył się w prawe kolano i wbił głęboko w podłogę, Książę nie wydał żadnego dźwięku, tylko bezwładnie padł na plecy. Cyborg szturchnął go nogą, ale gangster stracił przytomność.

***

Leżała na stole zabiegowym podłączona do respiratora. Z jej ust sterczała przezroczysta rurka intubacyjna, której końcówka znajdowała się głęboko w tchawicy. Maszyna posapywała cicho, pompując życiodajny tlen do płuc, a w tle słychać było popiskujące urządzenia odpowiedzialne za monitorowanie podstawowych funkcji życiowych. Ubrana była w niebieską koszulę zabiegową, czepek zaś skrywał jej długą jasną grzywkę.

Ona jednak nie zdawała sobie z tego sprawy. Śniła sen bez marzeń sennych, bez pamięci i czucia. Jej mózg był zanurzony w doskonałej nicości poza czasem i przestrzenią.

– Nasza pacjentka ma poważny problem alkoholowy. Badania wskazują na odwodnienie i spory niedobór potasu, wapnia i magnezu. To typowe objawy dla kogoś, kto od dłuższego czasu jest w ciągu – obwieścił wysoki mężczyzna w białym kitlu. Znakomicie mówił po angielsku, lecz

z wyraźnym wschodnim akcentem. – Ale to nie nadużywanie alkoholu było przyczyną zasłabnięcia i utraty świadomości – dodał i potarł usta tak wąskie, że można było odnieść wrażenie, iż pozbawione są warg.

Jego pociągła twarz o długim, cienkim nosie, który rozdzielał parę wiecznie znudzonych oczu, była bez wyrazu. Podszedł do zawieszonego na ścianie monitora referencyjnego, który służył do wyświetlania cyfrowych zdjęć rentgenowskich czy tomogramów.

– Moim zdaniem za jej problemy odpowiadają wągry, czyli larwy tasiemca uzbrojonego. Te małe paskudztwa mogą zagnieździć się wszędzie, ale w tym przypadku zagnieździły się w głowie. – Profesor Wasilij Orłow wskazał na przekroju mózgu Agnieszki Ossowskiej jaśniejsze plamki z ciemnym środkiem oznaczające miejsca zapalne i larwy. – Odkryliśmy je w trakcie tomografii. Tkwią w korze mózgu. Fatalna sprawa – stwierdził, ale nie wyglądało na to, by się rzeczywiście przejmował. Genetyczna niezdolność okazywania emocji czyniła z niego towarzyską kalekę. – Kora to najbardziej zewnętrzna część mózgu. Składa się z ponad ośmiu miliardów neuronów i odpowiada między innymi za analizę danych gromadzonych przez zmysły. Znajdują się w niej ośrodki kontrolujące psychikę, planowanie, odczytywanie emocji, postrzeganie i koordynację ruchową. I, co najważniejsze, to w korze pojawia się poczucie świadomości. Kiedy jest uszkodzona, nie wiemy o swoim istnieniu. – W Orłowie obudził się wykładowca, ale dostrzegłszy karcące spojrzenie Karoliny van der Oord, postanowił skrócić swój wywód. – Stan zapalny wywołany przez larwy tasiemca i związany z nim ucisk na komórki nerwowe doprowadził do utraty świadomości. Możemy w każdej chwili podać leki, które zmniejszą obrzęk zainfekowanych miejsc. Czekam na twoją decyzję.

– Czy te leki rozwiążą jej problemy? – spytała van der Oord, siadając w fotelu lekarza.

Byli w jego gabinecie w zamkniętej podziemnej strefie szpitala. Profesor sam wybrał to miejsce, twierdząc, że nie przeszkadza mu brak okien i dziennego światła. Jak tłumaczył, pracując dla radzieckiej, a potem

rosyjskiej armii, spędzał całe miesiące w schronach, które pełniły funkcję tajnych laboratoriów. Wasilij Orłow, specjalista od biologii molekularnej i inżynierii genetycznej, prowadził badania nad bronią biologiczną i modyfikacjami ludzkiego DNA. W jego eksperymentach brali udział więźniowie łagrów, bezdomne sieroty i nieświadomi zagrożenia ochotnicy w mundurach – wszyscy ci, o których nikt się nie upomni. W sprawach naukowych Orłow nie uznawał żadnych granic. I właśnie dlatego znalazł się w klinice „Mysterium Vitae".

– Leki, które możemy podać, poprawią stan pani Ossowskiej i wybudzą ją ze śpiączki, ale nie uleczą. Także podanie chemioterapeutyków nie rozwiąże problemu. Wręcz przeciwnie: zabicie larw może wzmocnić infekcje, pogłębić powikłania i pogorszyć stan pacjentki. Jedyna znana metoda pozbycia się tego świństwa to zabieg chirurgiczny. Oczywiście w przypadku mózgu zawsze obarczone jest to dużym ryzykiem.

Orłow zamilkł, a van der Oord uśmiechnęła się tajemniczo.

– Chyba nie zamierzasz jej ratować? To znakomita okazja, by pozbyć się problemu – odezwał się stojący pod ścianą Szymon Wilk. Wrócił niedawno z Jordanowa i wciąż był zdenerwowany rozmową z bratem. – Nasz doktorek na pewno zdoła tak uśmiercić panią prokurator, by nikt nie podejrzewał, że przyłożyliśmy do tego rękę. Ona już wie, że Katarzyna Paluch to ty, i żadne zaprzeczenia nie pomogą. Jak sądzisz, ile czasu zajmie jej ustalenie wszystkich niewygodnych dla nas faktów? Bo moim zdaniem zrobi to, kurwa, ekspresowo! – Ostatnie słowa Mocny prawie wykrzyczał, dając upust złości.

Jego ostre nordyckie rysy wyglądały groźnie, a szarozielone wilcze oczy płonęły gniewem. W obecności Karoliny van der Oord właściwie mu się to nie zdarzało, szczególnie gdy świadkiem sporu był ktoś trzeci.

– Wilku, opanuj nerwy. Pani prokurator otrzyma od nas pomoc na najwyższym poziomie. Rozumiesz, co mam na myśli? – To pytanie skierowane było do Orłowa.

Drągal w białym kitlu przytaknął energicznie, co wprawiło w ruch burzę kręconych włosów z tyłu jego głowy.

Właścicielka „Mysterium Vitae” uznała, że musi być precyzyjna, i nie poprzestała na tym.

– Po pierwsze, transfuzja młodej krwi, po drugie, komórki macierzyste. Ale żadnych zabiegów na otwartym mózgu. Nie będziemy ryzykować. Jest nam potrzebna żywa i w pełni sprawna…

W tym momencie znowu odezwał się Mocny.

– Jesteś zbyt pewna siebie, wierząc w moc kontrolowania ludzi i wydarzeń. Po co była ta masakra w Jordanowie? Nie mogłaś odpuścić Księciu? Straciliśmy dostawcę świeżego towaru, a twoich chłoptasiów szuka policja. Zaczęło się od bezsensownej wojny z arcybiskupem i samobójstwa Heina. Dyndający w parku księżulek ściągnął nam na głowę psy, a potem tego maszkarona – rzucił, wskazując ścienny monitor, który wciąż wyświetlał obraz mózgu Agnieszki Ossowskiej. – Mówiłaś, żeby się nie martwić, bo wszystko jest pod kontrolą, tymczasem prokurator Ossowską tylko krok dzieli od poznania prawdy na temat naszej nielegalnej działalności. Dobierze się do dupy tobie, Rudzkiemu, Werdzie, że o sobie nie wspomnę. A teraz, gdy masz okazję pozbyć się kłopotu, każesz temu przerośniętemu doktorowi Mengele ożywić panią prokurator. Jesteś…

Instynkt samozachowawczy sprawił, że Mocny w ostatniej chwili zamknął usta. *Popierdolona suka*. Z każdym kolejnym słowem był bliższy przekroczenia cienkiej czerwonej linii, za którą była już tylko nieokiełznana furia Karoliny van der Oord. Wiedział, że ci, którzy doprowadzali ją do szału, nie kończyli dobrze.

Za późno…

Piękna i łagodna zazwyczaj twarz kobiety zmieniła się w oblicze żądnej krwi bestii. Nadciągała burza, która miała uderzyć w niego z pełną siłą. Szymon Wilk zrozumiał, że może to oznaczać dla niego śmierć. Nie teraz, nie w tym miejscu, ale jeśli wyrok zapadnie, nie będzie odwołania. Nie zbierze się sąd apelacyjny, aby go uniewinnić. Złożył ręce jak do pacierza i z błagalną miną postanowił publicznie się ukorzyć.

– Przepraszam, nie powinienem mówić takich rzeczy. To się już nie powtórzy. Ten dzień był bardzo stresujący, stąd pewnie moje karygodne zachowanie.

Scena rozgrywająca się w gabinecie profesora Orłowa wyglądała doprawdy komicznie. Silny, zahartowany w bojach mężczyzna drżał na widok nieuzbrojonej kobiety niczym osika na wietrze i nawet nie próbował zachować resztek godności.

– Uznam, że jesteś wstrząśnięty śmiercią Księcia, i ten jeden, jedyny raz ci wybaczę – powiedziała Karolina van der Oord swoim głębokim, spokojnym głosem. – Zaufaj mi, mam wobec pani prokurator wielkie plany. Ale o tym przy innej okazji. A teraz, mój wilku, idź i zacznij odgrywać rolę pogrążonego w żałobie brata. Czas szykować się na pogrzeb – oświadczyła protekcjonalnie.

ROZDZIAŁ 6

DZIESIĄTY DZIEŃ OBOWIĄZYWANIA STANU WYJĄTKOWEGO

„Języka natomiast nikt z ludzi nie potrafi okiełznać,
to zło niestateczne, pełne zabójczego jadu”.
List św. Jakuba 3,8

Ciemna trumna z okuciami i uchwytami z brązu spoczywała na marmurowym katafalku w nawie głównej włocławskiej katedry. Wysoko nad nią wznosiło się czteroramienne niebieskie gotyckie sklepienie usiane złotymi gwiazdami. Na trumnie umieszczono otwartą Ewangelię, tuż za nią zaś wysadzany rubinami złoty kielich mszalny. Na wysokości głowy zmarłego ustawiona była bogato zdobiona kremowa mitra z wyszytą złotymi i czerwonymi nićmi dewizą *Deus caritas est* – Bóg jest miłością. Dopasowana do niej kolorystycznie stuła spływała aż do posadzki, częściowo przesłaniając błyszczącą tabliczkę z wygrawerowanym napisem: „Arcybiskup Jan Werda, metropolita włocławski, ur. 20.07.1954, zm. 24.08.2016”.

Katafalk z trumną stał tuż przed ołtarzem, za którym wznosił się monumentalny Krzyż Tumski z początku XVII wieku z naturalnej wielkości rzeźbą Ukrzyżowanego. Szczupła, cierpiąca twarz, przymknięte oczy i rozchylone w niemym krzyku usta dawały wyobrażenie o ostatnich chwilach życia Jezusa. Na głowie Syna Bożego tkwiła masywna cierniowa korona z metalu.

Witold Rudzki siedział w pierwszej ławie, na prawo od trumny przyjaciela. Połączyła ich tajemnica. To jej więzy sprawiały, że skrupulatnie pilnowali, by nikt nie dowiedział się o tym, co wydarzyło się w latach

osiemdziesiątych w Lubrańcu, sennym miasteczku w pobliżu Włocławka. Tam się poznali – w lubranieckim sierocińcu prowadzonym przez albertynki. Rudzki odbywał praktyki studenckie, a Werda, młody wikary, dbał o zbawienie niewinnych duszyczek z kościelnego ośrodka wychowawczego.

Rudzki oderwał się od wspomnień i popatrzył na ukrzyżowanego Chrystusa. Z jego oczu płynęły krwawe łzy, ściekały po wychudzonym torsie, nogach i stopach przybitych czarnym gwoździem do krzyża, po czym – kropla po kropli – z głośnym pluśnięciem padały na kamienną posadzkę prezbiterium. Kałuża stawała się coraz większa, a krew zmierzała ku trumnie arcybiskupa Werdy. *Co, do cholery?* Minister zerknął na innych żałobników, ale najwyraźniej nikt nie widział płaczącego krwią Zbawiciela.

– Ty będziesz następny.

To nie były jego myśli. Ktoś do niego mówił.

Znowu spojrzał na Jezusa. Jego twarz była jak żywa – przymknięte do tej pory oczy patrzyły surowo, a wyrzeźbione w drewnie usta powtarzały jedno zdanie:

– Ty będziesz następny… Ty będziesz następny…

Witold Rudzki poderwał się i krzyknął na cały kościół:

– Nieee!!!

Wszystko zniknęło, a on, z muskularnym torsem pokrytym kroplami potu, dyszał ciężko, siedząc na łóżku. Oddech powoli wracał do normy, ale upłynęło trochę czasu, nim zrozumiał, że to był tylko kolejny zły sen. Od śmierci Karoliny van der Oord i Jana Werdy koszmary nawiedzały go co noc. Poczuł rękę żony na ramieniu.

– Co ci jest, kochanie? – spytała zaspana, tuląc się do jego pleców.

– Wszystko w porządku, Naomi, to był tylko zły sen. Muszę się napić wody – odparł, delikatnie uwalniając się z jej objęć.

Zamruczała pieszczotliwie i opadłszy na poduszkę, na powrót zanurzyła się w marzeniach sennych.

Rudzki wstał i spojrzał na czarnowłosą Japonkę o pełnych ustach i jędrnych kształtach. Poznali się dwadzieścia sześć lat temu. Naomi Azuma była córką radcy handlowego ambasady Japonii w Warszawie. Wpadli na siebie w kuluarach Filharmonii Narodowej podczas XII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Konkurs z 1990 roku przeszedł do historii, gdyż po raz pierwszy jury nie przyznało wówczas głównej nagrody. Drugie miejsce zajął Amerykanin Kevin Kenner, a trzecie Japończyk Yukio Yokoyama. Witold przekomarzał się później z Naomi, spierając o to, który z pianistów wypadł lepiej. Ona oczywiście stała po stronie swego rodaka, on z przekory wychwalał talent Amerykanina, choć tak naprawdę również bardziej podobał mu się Yokoyama. Rudzki nie był wielkim melomanem, ale często słuchał muzyki klasycznej. Od 1970 roku, kiedy ojciec z matką zabrali go po raz pierwszy do Filharmonii Narodowej, nie opuścił żadnego konkursu chopinowskiego. Obecność na nim stała się czymś tak oczywistym i obowiązkowym jak rodzinne wakacje nad morzem czy ferie zimowe w Tatrach. Najtrudniej było się dostać na występy w roku 1985. Wraz z Pawłem Ogrodnikiem ukrywali się wówczas przed Służbą Bezpieczeństwa, która była na tropie ich podziemnej drukarni. Witold stwierdził jednak, że komuniści nie pozbawią go przyjemności wysłuchania na żywo najlepszych światowych pianistów. A na następnym konkursie poznał Naomi. Ona miała zaledwie siedemnaście lat, on powoli dobijał do trzydziestki, lecz coś między nimi zaiskrzyło. Zaczęli się regularnie spotykać. Młodziutka Japonka szybko zakochała się w kraju Chopina i Witoldzie Rudzkim, nieopierzonym jeszcze polityku. Choć początkowo jej rodzina zdecydowanie protestowała, Naomi postanowiła zostać w Polsce na stałe. Mimo upływu lat i trzech porodów zachowała swą dziewczęcą urodę i zwiewną sylwetkę.

Patrząc na wyglądającą rozkosznie żonę, Rudzki poczuł wyrzuty sumienia. *Zdrajca, cudzołożnik, kurwiarz*. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego tak często zdradzał Naomi. To było jak uzależnienie, potrzeba sprawdzenia się. Instynkt zdobywcy napędzał go do działania w każdym aspekcie życia, a kolejne zaliczone kobiety traktował jak trofea… wszystkie

poza Karoliną van der Oord. Ją kochał. Inaczej niż Naomi – bardziej zwierzęco i seksualnie. Był to rodzaj obsesji, która zawładnęła jego umysłem i ograniczała racjonalne myślenie.

Karolinę poznał, gdy miała trzynaście lat. Nazywała się wtedy Katarzyna Paluch. Nie był pedofilem, dzieci go nie podniecały i jako minister sprawiedliwości bezlitośnie tępił zboczeńców, którzy je krzywdzili. Ale gdy w 1983 roku w Lubrańcu zobaczył Karolinę po raz pierwszy, poczuł dziwne pożądanie. *Esencja niewinności*. Dziewczynka stała naga w weneckiej masce na twarzy, drżąc ze strachu i zimna. Jej ciało zaczynało dopiero nabierać kobiecych kształtów, mimo to schowany w szafie Rudzki czuł, że mała Kasia wprost emanuje seksem. Znajdowali się w podziemiach pałacu, w którym mieścił się kościelny ośrodek wychowawczy. *Terra incognita*. Mało kto zdawał sobie sprawę z istnienia tych pomieszczeń i niemal nikt się tu nie zapuszczał. Od sierocińca piwnice oddzielał gruby strop, więc na górze nie było słychać krzyków gwałconych dzieci. W pomieszczeniu o ceglanych ścianach i łukowym sklepieniu, które przypominało Rudzkiemu więzienną celę, znajdowały się stary tapczan, brudny dywan, dwa metalowe krzesła i olbrzymia szafa, której gabaryty zdecydowanie nie pasowały do tego miejsca.

– To moja samotnia. Tu nikt nie przeszkadza mi w rozmowach z Bogiem – powiedział Jan Werda, uśmiechając się z przekąsem, gdy pierwszy raz pokazywał Rudzkiemu swe sekretne katakumby. Młody wikary mógł w nich robić, co mu się żywnie podoba. – To też miejsce, gdzie sprowadzam zagubione duszyczki na właściwą drogę – oznajmił z pełną powagą.

Wówczas Rudzki nie domyślał się jeszcze, o czym mówi Janusz, jak zdrobniale nazywał Jana Werdę. Kilka dni później, schowany w szafie, był świadkiem najbardziej odrażającego i zboczonego widowiska, jakie widział w życiu. Jednak te plugawe sceny obudziły w nim głęboko ukryte żądze. Wstydził się tego, ale zachłannie patrzył na wszystko, co wyprawia jego przyjaciel. Sam miał za zadanie uwiecznić sceny na kliszy fotograficznej. *Chory sukinsyn*. Gdy Jan Werda, przebrany za Doktora Zarazę, zaczynał się

dobierać do nagiej trzynastolatki, Witold Rudzki w pierwszym odruchu chciał mu przerwać, ale lubieżny, obmierzły potwór w jego głowie powstrzymał go. Pstrykał jedno zdjęcie za drugim, dysząc z podniecenia. Stał się wspólnikiem pedofila w sutannie, niemym uczestnikiem chorej orgii.

– Nie przejmuj się, Wituś. Nikt się o niczym nie dowie. Zresztą gdyby nawet bachory się komuś poskarżyły, to komu uwierzą: im czy księdzu? – rzekł Werda i zaśmiał się, szczerze rozbawiony.

Zgubiła go pewność siebie – nie dopilnował, by dziewczynka trafiła grzecznie do swojego łóżka. Kasia, zamiast umyć się i pójść spać, jak jej polecił, krążyła naga i zakrwawiona po pałacowym parku. Wybuchła afera, a Jan Werda w zamian za zatuszowanie sprawy przystał na współpracę z komunistyczną bezpieką. Ale nawet gdy przyszli po niego esbecy, wikary nie wsypał wspólnika. Nie powiedział też nic Karolinie van der Oord o udziale Witolda w wydarzeniach z 1983 roku. To była ich tajemnica, ukrywany przez lata sekret. Gdyby prawda wyszła na jaw, Rudzki byłby skończony.

Rozmyślania ministra przerwał wibrujący telefon. Była 3.30 rano. *Kogoś porąbało!* Nie znał numeru, który się wyświetlał.

– Rudzki, słucham! – odezwał się stanowczym tonem.

– Major Paweł Wielopolski, oficer łącznikowy Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. Proszę jak najszybciej przybyć do siedziby ABW, pani premier zwołała posiedzenie sztabu kryzysowego.

– Co się stało? – spytał zdezorientowany minister.

Major Wielopolski chrząknął, szukając słów.

– Doszło do poważnego cyberataku na infrastrukturę informatyczną instytucji państwowych. Reszty dowie się pan na miejscu.

Witold Rudzki westchnął ciężko i bez słowa przerwał połączenie.

Postanowił najpierw wziąć szybki prysznic. *Kawa poczeka*. Łazienka, której podłoga i ściany wyłożone były marmurowymi płytkami, powitała go przyjemnym chłodem. Rozebrał się i spojrzał na swoje odbicie w lustrze.

Mimo pięćdziesięciu czterech lat na karku wciąż prezentował się bardzo dobrze. Smukłą, umięśnioną sylwetkę zawdzięczał regularnym treningom i zabiegom w „Mysterium Vitae". O tych ostatnich nikomu nie mówił, między innymi dlatego, że nie byłoby go na nie stać, gdyby właścicielką kliniki nie była Karolina van der Oord. Kroplówki witaminowe, ozonowanie krwi, terapie komórkami macierzystymi i procedura tylko dla wybranych – transfuzja osocza od dawców, którzy nie przekroczyli osiemnastego roku życia. Jak tłumaczyła Karolina, podanie staremu organizmowi „młodej krwi" czyni cuda – działa odmładzająco i leczniczo. Oczywiście osocze musiało zostać przebadane pod kątem zgodności z krwią klienta i przejść specjalną kontrolę czystości.

Rudzki stał bez ruchu pod natryskiem i cieszył się orzeźwiającymi strumieniami wody. Nagle irracjonalny strach ścisnął mu trzewia, powodując zawroty głowy i mdłości.

– Ty będziesz następny. – Usłyszał słowa krwawiącego Jezusa, nocnej mary, która wróciła niespodziewanie, jakby za nic miała granicę oddzielającą sen od jawy. – Ty będziesz następny.

Osunął się na terakotową podłogę i skulił w objęciach strachu.

***

– Żebyś, kurwa, wiedział, ty będziesz następny! – krzyczała, krążąc nerwowo wokół długiego, zaokrąglonego na szczytach stołu. – Wylecisz jeszcze dziś, jeśli w ciągu najbliższych trzech godzin nie odzyskamy kontroli nad pierdolonymi serwerami.

Swoją złość wyładowywała na mikrym mężczyźnie o mysiej twarzy. Szef ABW godnie znosił publiczny opieprz. Przed chwilą ze stanowiskiem pożegnał się minister obrony, którego służby cybernetyczne nie zareagowały na atak. Co gorsza, hakerzy dostali się do teoretycznie odciętej od świata sieci systemu kierowania i dowodzenia Ministerstwa Obrony Narodowej i Sił Zbrojnych.

Tęgi mężczyzna z pękatym nosem i kryjącym się pod nim wyliniałym mocno wąsem nawet nie protestował, gdy premier Czacka wyrzucała go z pracy, dając przy tym do zrozumienia, że powinien poszukać szczęścia poza polityką.

Jego miejsce przy stole zajął wiceminister, który mimo wakatu na stanowisku szefa MON nie spodziewał się awansu.

– Jak to możliwe, że po dwóch atakach terrorystycznych teraz zaskakują nas hakerzy? Przecież zakładaliśmy wariant ataku cybernetycznego. To wy ostrzegaliście mnie przed wojną hybrydową, a teraz siedzicie tu z rozdziawionymi gębami, oderwani od cycków swych żon, i nie macie nic mądrego do powiedzenia. Banda rozlazłych ciot! – krzyknęła szefowa rządu.

Choć cechowały ją wysoka kultura osobista i obycie, w chwilach kryzysowych potrafiła rozmawiać z mężczyznami jak mężczyzna.

Elżbieta Czacka ubrana była w dres, a jej makijaż pozostawiał wiele do życzenia, ukazując smutną prawdę o upływającym czasie. Nie to jednak było teraz jej największym zmartwieniem. Wyobrażała sobie, co się zacznie dziać, gdy ludzie dowiedzą się o zablokowaniu rządowych serwerów, czyli de facto paraliżu państwa. W nocy hakerzy przejęli kontrolę nie tylko nad sieciami informatycznymi poszczególnych ministerstw, kancelarii premiera i prezydenta, ale zablokowali systemy takich instytucji, jak sądy, prokuratura, ZUS, NFZ i giełda. Skala ataku była przerażająca i świadczyła o tym, że przygotowywano się do niego od wielu miesięcy. Przestępcy musieli mieć swoich ludzi w administracji rządowej, a ci pomogli w zarażeniu wirusami, trojanami, robakami i wszelkimi rootkitami wewnętrznych sieci komputerowych, które nie miały połączeń z ogólnodostępnym internetem. Ogrom spisku był trudny do wyobrażenia, a wykrycie i schwytanie kretów stało się jednym z najważniejszych zadań.

– Jeśli ludzie, którzy jeszcze smacznie śpią, dowiedzą się o tym, że najważniejsze instytucje w państwie okazały się bezbronne wobec cyberataku i oddały kontrolę nad newralgicznymi z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego sieciami komputerowymi, wybuchnie panika

– powiedziała Czacka i spojrzała na telefon. Była piąta rano, czas uciekał. – Wolę sobie nie wyobrażać, co będzie się działo, jeśli na temat rzucą się wespół opozycja i dziennikarska szczujnia. To oznaczałoby destabilizację sytuacji w kraju, a tego nie chcemy – dodała, patrząc na zgromadzonych przy stole ośmiu mężczyzn.

Eunuchy.

W naradzie brali udział ministrowie spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, cyfryzacji, wiceminister obrony oraz szefowie służb specjalnych, zarówno cywilnych, jak i wojskowych.

– Pozwolę sobie zauważyć, pani premier, że nie wszystkie instytucje padły łupem hakerów. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, którą mam zaszczyt kierować, nie została zinfiltrowana, a nasze serwery i sieci są absolutnie bezpieczne – zagrzmiał basem Paweł Ogrodnik, który poczuł się urażony stawianym mu ultimatum.

– Jesteś bezczelny, Pawle. W twojej agencji działa Zespół Reagowania na Incydenty Komputerowe, który ma dbać o bezpieczeństwo sieci teleinformatycznych wszystkich instytucji publicznych, a nie tylko ABW, do cholery!

Chociaż podniosła głos, mikry mężczyzna nie wyglądał na przestraszonego. Siedział spokojnie z rękami założonymi na piersi.

– Moi ludzie wykonali swoją pracę. Rozesłali ostrzeżenia do administratorów poszczególnych sieci. Zwracali uwagę na konkretne zagrożenia, a mimo to zostali zlekceważeni. Już rok temu osobiście informowałem panią o bałaganie w kwestii bezpieczeństwa cybernetycznego. Brakuje nam klarownych procedur i zasad współdziałania konkretnych instytucji. Każdy wciąż robi, co chce i jak chce. My nie możemy nikomu niczego nakazać, a jedynie doradzamy i reagujemy w sytuacjach kryzysowych – powiedział, rozkładając bezradnie swoje krótkie ręce.

Elżbieta Czacka prychnęła jak rozgniewana kotka, ale nie zamierzała kontynuować tego sporu.

O głos poprosił Witold Rudzki, podnosząc grzecznie rękę, by nie stać się przypadkiem workiem treningowym dla szefowej rządu.

– O co chodzi? – burknęła premier.

Mimo pobudki w środku nocy minister sprawiedliwości nie wyglądał na zaspanego czy zmęczonego.

– Wiem, że w tej chwili najważniejsze jest odblokowanie serwerów i przywrócenie funkcjonalności systemów. Oczywiście musimy też szukać tych, którzy odpowiadają za ten atak. Sądzę jednak, że powinniśmy również pomyśleć o tym, jak się zabezpieczyć na wypadek, gdyby to pierwsze zadanie okazało się trudniejsze, niż nam się wydaje.

Wszyscy uczestnicy narady mieli w tym momencie mniej lub bardziej zdziwione miny. *O co kaman?* Nikt jednak się nie odezwał, czekając na to, co jeszcze powie Witold Rudzki.

– Moim zdaniem, by nie dopuścić do paniki i zawczasu zamknąć pyski dziennikarskim hienom, ABW powinno jak najszybciej wydać komunikat o największym z dotychczasowych teście bezpieczeństwa systemów teleinformatycznych państwa. I dodać coś o realnych zagrożeniach, wojnie hybrydowej i takich tam… – Minister machnął ręką, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. – Wiesz, o czym mówię, Pawle. Przygotujmy szopkę dla tępych pismaków, zaprośmy ich do jakiegoś centrum informatycznego, by pokazać ładne symulacje komputerowe i opowiedzieć, na czym polegają odbywające się w kraju ćwiczenia. Im większe kłamstwo, tym łatwiej ludzie w nie uwierzą – rzekł wyraźnie dumny ze swego pomysłu.

Premier Czacka pokiwała z uznaniem głową. Zaproponowane rozwiązanie było bardzo kuszące. Po pierwsze, dawało im czas na naprawienie szkód wyrządzonych przez hakerów, po drugie, było w miarę proste do zrealizowania. Jednak na jej szarej ze zmęczenia twarzy pojawił się cień wątpliwości.

– A jak ktoś się połapie, że to jedna wielka mistyfikacja? Przecież nie brakuje maniaków komputerowych, którzy będą węszyć wokół tego tematu. Co wtedy? – spytała, kładąc ręce na oparciu czarnego skórzanego fotela w szczycie stołu.

– Wtedy powiemy, że zrobiliśmy to w stanie wyższej konieczności. Wszak mogła wybuchnąć panika, i to nie tylko wśród zwykłych ludzi, ale bankierów i inwestorów. Skutki ataku byłyby opłakane dla gospodarki. Kłamaliśmy w najlepiej pojętym interesie publicznym, chroniąc obywateli – odparł z pełnym przekonaniem Rudzki.

Jego pewność siebie udzieliła się Elżbiecie Czackiej. Kąciki jej pomalowanych na różowo ust zadrżały w delikatnym uśmiechu.

– Na koniec ogłosisz – kontynuował minister sprawiedliwości – że służby rozwiązały już problem i wszyscy możemy czuć się bezpieczni. Zapowiesz też utworzenie nowej służby specjalnej, która będzie się zajmowała wyłącznie wywiadem i kontrwywiadem elektronicznym, broniąc nas dzień i noc przed hakerami. – Improwizacja dobiegła końca i teraz minister czekał na zasłużone pochwały.

– To się może udać – rzekł Paweł Ogrodnik. – Potrzebne nam będzie sporo szczęścia, ale nie widzę lepszego rozwiązania. Moim zdaniem powinniśmy podjąć to ryzyko.

Szef ABW spojrzał z niepokojem na kilkanaście pozbawionych ram monitorów, które tworzyły razem jeden duży ekran, tak zwaną ścianę wizyjną. Widoczna na niej mapa Warszawy pokryta była migającymi na czerwono punktami oznaczającymi instytucje zaatakowane przez hakerów. Ich liczba porażała.

***

Migające żółte diody sygnalizowały podnoszenie szlabanu.

Szybciej, szybciej. Minęło dobrych kilka sekund, nim długie na dwa i pół metra ramię drgnęło i majestatycznie ruszyło w górę. *Ile to może trwać?*

Kierowca nic sobie nie robił z wyraźnego zdenerwowania pasażerki, która w trakcie jazdy kilkakrotnie go poganiała. Teraz czekał cierpliwie, aż szlaban uniesie się na tyle, że będzie można bezpiecznie pod nim przejechać.

Gdy oklejone biało-czerwoną taśmą i przystrojone migającymi diodami ramię umożliwiło przejazd, służbowy passat powoli ruszył. Czarne auto wtoczyło się na dziedziniec Ministerstwa Sprawiedliwości oddzielony od Alei Ujazdowskich drzewami i wysokim parkanem o kutych przęsłach. Volkswagen bez pośpiechu przejechał przed modernistycznym frontem zbudowanego w 1930 roku gmachu. W czasie wojny była to siedziba Kripo, niemieckiej policji kryminalnej, a w roku 1945 do budynku wprowadziła się komunistyczna bezpieka. Piwnice zamieniono w cele i sale przesłuchań, w których torturowano wrogów nowej ludowej ojczyzny.

Agnieszka Ossowska została bardzo dokładnie zapoznana z historią miejsca, w którym obecnie pracowała. Nie miała jednak czasu na zwiedzanie budynku, choć otrzymała taką propozycję od pań, które zarządzały siedzibą Ministerstwa Sprawiedliwości.

– Jesteśmy na miejscu. Niepotrzebnie się pani tak denerwuje. Miłego dnia życzę – powiedział młody szofer, zatrzymując samochód przed głównym, niespecjalnie okazałym wejściem.

Na ten sygnał Agnieszka wyskoczyła z limuzyny.

– Dziękuję, do widzenia! – rzuciła, biegnąc do drzwi. Szarpnęła za klamkę i wpadła zdyszana do środka. – Dzień dobry, panie Tomaszu! – krzyknęła do pilnującego wejścia strażnika i machnęła prokuratorską legitymacją.

– Dzień dobry, pani Agnieszko – rzekł mężczyzna w średnim wieku, uśmiechając się szeroko. – A gdzie to się tak spieszymy?

– Do pracy, do pracy – odpowiedziała wymijająco Ossowska i ruszyła w kierunku wewnętrznych szklanych drzwi.

Przystawiła kartę magnetyczną do czytnika w ścianie. Urządzenie zapiszczało, a umieszczona na nim kontrolka zmieniła kolor z czerwonej na zielony. Otworzyła drzwi i popędziła do windy.

Jazda na piąte piętro trwała wieki. *O Jezu*. Agnieszka ze złością zaciskała pięści. Dochodziła ósma, gdy wreszcie siadła w akwarium przed swoim komputerem. Wcisnęła przycisk zasilania, a wysłużony pecet, wygrzebany z jakiegoś ministerialnego magazynu, zacharczał na znak, że żyje.

Nerwowo stukała palcami o blat biurka, jednak komputer musiał przeprowadzić serię autotestów. Po ich zakończeniu włączona została karta graficzna, na monitorze zaś pojawiły się cztery kwadraciki charakterystycznego logo Microsoftu. Tuż pod nim widniała krótka informacja: „Trwa uruchamianie systemu". To nie uspokoiło Agnieszki. Co prawda przestała nerwowo stukać palcami, ale zamiast tego pocierała wargi. Po sprawdzeniu procesorów, pamięci i napędów urządzenie zaczęło uruchamiać kolejne programy, bez których nie dałoby się z niego korzystać. Wreszcie cierpliwość Ossowskiej została nagrodzona: zobaczyła okno logowania. Wpisała swoje hasło – RudzkiFiut2016 – i wcisnęła Enter. Zamiast dobrze znanego pulpitu na monitorze ukazała się informacja o błędzie logowania. Na wszelki wypadek raz jeszcze wpisała login i hasło, ale efekt był taki sam. *A więc to prawda*. Potwierdziły się informacje, które usłyszała rano, włączywszy radio w telefonie.

– Jak dowiedziało się nieoficjalnie Radio Zet, ostatniej nocy nastąpiła poważna awaria sieci teleinformatycznych najważniejszych instytucji państwowych. Nie działają systemy komputerowe ministerstw, prawdopodobnie problemy ma też warszawska giełda. I choć Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego informuje, że czasowe wyłączenie rządowych serwerów związane jest z przeprowadzanym testem bezpieczeństwa, według naszych źródeł doszło do cyberataku. Administratorzy państwowych systemów informatycznych, z którymi udało mi się skontaktować, nieoficjalnie to potwierdzają. Zapowiada się czarny poniedziałek w Polsce – zakończył swoją relację zawsze dobrze poinformowany Roman Osica, reporter śledczy radia.

Jadąc do pracy, Agnieszka pragnęła, by dziennikarz się mylił, by tym razem źródła go zawiodły. Ale teraz, siedząc przed komputerem, wiedziała już, że informacje Osicy są prawdziwe. Gdyby chodziło o zwykły test bezpieczeństwa, nie miałaby problemu z zalogowaniem się do wewnętrznej, zamkniętej sieci ministerstwa, a pracowników uprzedzono by o nim. Straciła dostęp do elektronicznych baz danych, w których znajdowały się zdigitalizowane zeznania świadków, zdjęcia, filmy i inne

dowody zebrane w śledztwie prowadzonym przez specjalny zespół prokuratorów. Stało się to akurat dziś, gdy musiała szybko sprawdzić nagrania z kamer monitoringu kliniki „Mysterium Vitae".

– Słyszałaś? Ale jaja! – zawołał prokurator Rybicki, wpadając do akwarium.

Nie widziała, że wszedł do *open space'u*, i aż podskoczyła.

– Uważaj, bo oskarżę cię o usiłowanie zabójstwa przez próbę wywołania zawału – powiedziała, ciesząc się na widok byłego mentora, a jeszcze bardziej na widok kubka gorącej kawy, którą zapewne kupił w Costa Coffee na placu Trzech Krzyży. Często tak robił, korzystając z uprzejmości służbowego kierowcy.

– Czy ktoś tu zamawiał duże karmelowe macchiato? – spytał, wręczając jej papierowy kubek z przykrywką.

– Rozpieszczasz mnie – powiedziała Agnieszka, lekko zawstydzona. Zarówno w pracy, jak i w życiu osobistym unikała bliskich kontaktów z ludźmi i nikt się o nią nie troszczył. Wyjątek stanowili Tadeusz Rybicki i kilka przyjaciółek z Krakowa.

– Choć raz dziennie napij się dobrej kawy, bo od tej siekiery, którą mamy w naszym ekspresie, można się tylko rozchorować. – Stary prokurator uniósł swój papierowy kubek i wziął solidnego łyka. Na wąsie à la Clark Gable zostało trochę spienionego mleka. Starł je szybko wierzchem dłoni. – Na naszych oczach dzieje się historia, Agnieszko – rzekł filozoficznie, w jego głosie zaś pobrzmiewał smutek. – Najpierw ataki terrorystyczne, a teraz do boju wkroczyli hakerzy. Jesteśmy świadkami wojny, jakiej świat jeszcze nie widział.

Usiadł ciężko na krześle stojącym bokiem do biurka.

– Czyli uważasz, że te wszystkie rzeczy są ze sobą powiązane? – upewniła się Ossowska. Miała na ten temat takie samo zdanie.

– To przecież jasne. Ktoś się bardzo napracował, żeby wywołać chaos w naszym pięknym i, jak się okazuje, bezbronnym kraju – odparł, kręcąc z rezygnacją głową.

– Koniec narzekania i pierdzenia w stołek. Mamy robotę do wykonania, panie prokuratorze! – obwieściła z werwą Agnieszka Ossowska, mrugając porozumiewawczo do Rybickiego. – Wiem, że sytuacja jest skomplikowana, ale tym bardziej musimy dopaść tych skurwieli odpowiedzialnych za zamachy. Tylko w ten sposób dowiemy się, kto i dlaczego wziął Polskę na cel. – Przerwała na chwilę, zorientowawszy się, że niemal cały jej zespół stawił się już w pracy. – Chyba wiem, gdzie widziałam tego paskudnego Ruska z bliznami na twarzy. – Wzięła kubek z kawą i wyszła z akwarium.

Rybicki ruszył za nią, podniósłszy się z trudem z krzesła. Sześćdziesiątka na karku i wyraźna nadwaga coraz częściej dawały o sobie znać. Dreptał, posapując ciężko.

Stanęli przy korkowej tablicy, do której kilka dni wcześniej Ossowska przypięła zdjęcia otrzymane z ABW. Nazwali ich grupą Rosomaka, bo taką ksywę nosił mężczyzna, który najwyraźniej dowodził czteroosobowym komandem. Tworzyli je dwaj Rosjanie, Czeczen i Ukrainiec. Wszyscy byli znakomicie wyszkoleni – umiejętność zabijania opanowali w jednostkach specjalnych, a szlifowali podczas rzeczywistych wojen – i szalenie niebezpieczni. Siódmego lipca w Jordanowie w województwie kujawsko-pomorskim urządzili krwawą jatkę w posiadłości niejakiego Piotra Wilka alias Książę. Mężczyzna wiele godzin spędził przybity kowalskimi gwoździami do podłogi swego gabinetu, ostatecznie zaś zginął od strzału w głowę. Oprócz niego killerzy zabili jeszcze dziewiętnastu gangsterów.

Ossowska spojrzała na tablicę, na której umieściła fotografie zabójców. Te same zdjęcia trafiły na każdy policyjny posterunek i do każdej delegatury ABW. Szukały ich wszystkie państwowe służby. Ołeh Petryk, uroczy brzydal o szerokich ustach i krzywym nosie, nazywany Cyborgiem. Asłan Bachanow, pseudonim Oko, archetyp islamskiego terrorysty. Andriej Kulikow o wąsach w kształcie podkowy, najwyraźniej fan Hulka Hogana. I wreszcie Michaił Sidorow vel Rosomak, mężczyzna o dziobatej twarzy, który od samego początku wydawał się Agnieszce znajomy.

– Już wiem, gdzie go widziałam – oznajmiła, wskazując palcem zdjęcie Rosomaka.

Open space zamilkł, skończyły się poranne plotki przy pierwszej kawie.

– Spotkałam go dwa miesiące temu, gdy złożyłam wizytę Karolinie van der Oord. – Widząc zaskoczone spojrzenia podwładnych, kontynuowała: – Tak, tej samej, która zginęła w pierwszym zamachu i do której należały Narodowa Grupa Biochemiczna „Polon", huty, elektrownie, bank, operator telefonii komórkowej i klinika „Mysterium Vitae". To tam właśnie ją poznałam. – Ossowska stwierdziła, że dalsze ukrywanie informacji o prowadzonym przez nią w Lubrańcu śledztwie nie ma sensu. Działy się zbyt poważne i groźne rzeczy, by przejmować się ministrem Rudzkim i jego przyjacielem z ABWehry. – Wydaje mi się, że minęłam Rosomaka, gdy wysiadał z windy, ale muszę to sprawdzić na nagraniach z monitoringu, które dostarczyła nam klinika. Problem w tym, że zostaliśmy odcięci od elektronicznych baz danych.

Ledwie skończyła, odezwał się jeden z młodszych prokuratorów, który zlecał informatykom archiwizowanie danych i kopiowanie dowodów.

– Te nagrania nie zostały jeszcze zrzucone na nasz serwer – powiedział przepraszającym tonem. – Miałem inne rzeczy na głowie i zapomniałem o nich. Dyski są w sejfie.

Wszyscy spojrzeli na szafę pancerną w rogu pomieszczenia.

***

Masywny klucz niemal całkowicie zagłębił się w stalowych drzwiczkach. Gdy umieścił go już na swoim miejscu, przekręcił dwa razy w prawo, po czym na znajdującej się tuż obok klawiaturze cyfrowej wstukał kod. Szczęknęły solidne rygle i sejf stanął otworem. Na trzech półkach leżały w nienagannym porządku teczki z dokumentami, pistolet Heckler & Koch kaliber dziewięć milimetrów oraz kilka przenośnych dysków. Sięgnął po ten, na którym widniała biała naklejka z napisem „Specgrupa", a następnie

podszedł do biurka i za pomocą kabla podpiął dysk wielkości smartfona do komputera stacjonarnego.

– Masz duże problemy, przyjacielu. Oto nagranie z dzisiejszego ranka. Myślę, że powinieneś je obejrzeć – rzekł Paweł Ogrodnik.

Usiadł na skórzanym fotelu ewidentnie niedopasowanym do jego gabarytów i z trudem sięgając ręką do monitora, obrócił go tak, by minister sprawiedliwości miał dobry widok.

– Ale o co chodzi? – spytał zdezorientowany Witold Rudzki.

Nie tego się spodziewał, gdy szef ABW zaprosił go do siebie na, jak to ujął, spotkanie w delikatnej sprawie. Przyjeżdżając drugi raz tego samego dnia na Rakowiecką, gdzie pod numerem 2a siedzibę miała Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, zakładał, że Paweł ma mu coś do powiedzenia w sprawie cyberataku. Co prawda sytuacja została opanowana, serwery odblokowane, a rządowe sieci teleinformatyczne znowu działały, ale dotychczas nie udało się trafić na ślad hakerów i ich pomocników. Oczywiście media nie kupiły bajki o teście bezpieczeństwa i związanych z nim problemach w działaniu systemów komputerowych większości instytucji. Wobec tego, gdy wszystko wróciło do normy, ujawniono prawdę – ma się rozumieć, w mocno okrojonej wersji. Większość pismaków ze zrozumieniem przyjęła fakt, że początkowo rząd nie informował o ataku hakerów, by nie wywołać niepotrzebnej paniki. Tym większe było zdziwienie Witolda Rudzkiego, gdy na monitorze zobaczył obraz z pomieszczenia, w którym pracowała specjalna grupa śledcza.

– Inwigilujesz moich prokuratorów? – spytał z niedowierzaniem. – Stary, co jest grane?

– Zamknij się wreszcie i patrz – rzekł Ogrodnik, puszczając nagranie.

Ukryta kamera zainstalowana była na suficie, zapewne w panelu oświetleniowym. Szerokokątny obiektyw sprawiał, że widać było całe biuro. Z każdą minutą nagrania twarz ministra robiła się coraz bledsza, zaciskał nerwowo szczęki i dłonie. Nie przypominał już gracza opanowanego nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

O kurwa!

Witold Rudzki złapał się za głowę, gdy usłyszał, jak Agnieszka Ossowska tłumaczy prokuratorom zawiłości relacji, które łączyły go z Karoliną van der Oord i arcybiskupem Janem Werdą. Padały słowa takie, jak korupcja, przekręt, handel ludźmi, nadużywanie stanowiska służbowego, łapówki, mataczenie, fabrykowanie dowodów, szantaż i wiele innych, które nie powinny się pojawić w zestawieniu z nazwiskiem ministra sprawiedliwości. Prokurator Ossowska nie zapomniała też wspomnieć o romansie Rudzkiego z nieżyjącą miliarderką. Na koniec zaś opowiedziała historię Katarzyny Paluch i Roberta Heina, dzieci, które trzydzieści trzy lata temu zostały zgwałcone przez młodego księdza Jana Werdę. To, co wówczas stało się w piwnicy kościelnego ośrodka wychowawczego w Lubrańcu, nazwała odpychającym, odrażającym, plugawym, obrzydliwym, nikczemnym, obmierzłym, przerażającym, ohydnym i wstrząsającym. Rudzki zaczął się pocić, ale nie miał odwagi spojrzeć na Ogrodnika. *Kurwa jego mać, to koniec*. Patrzył na monitor, na którym widać było, jak młody prokurator wraz z Ossowską przeglądają nagrania z monitoringu kliniki „Mysterium Vitae".

– O, o… to samochód włocławskiej prokuratury. To nim przyjechałam wtedy do Lubrańca – oznajmiła uradowana, gdy dostrzegła prowadzoną przez pana Kazimierza skodę superb.

Pomagający jej prokurator miał dużą wprawę w posługiwaniu się specjalistycznym oprogramowaniem, dzięki któremu można było separować obraz z kamer monitoringu i przeskakiwać między nimi.

– To on! – krzyknęła Ossowska, ujrzawszy, jak niemal wpadli na siebie, gdy Michaił Sidorow wychodził z windy. – To osobista winda prezes van der Oord oraz jej gości. Pytanie, co ten skurwiel ma z nią wspólnego.

Po tych słowach Paweł Ogrodnik zatrzymał nagranie. Chyba pierwszy raz w życiu widział, jak Witoldowi Rudzkiemu trzęsą się dłonie i drżą wargi.

– Słuchaj… to, co ona wygadywała o mnie… znaczy się o nas… – Minister nie potrafił się wysłowić. Jeden z najbardziej elokwentnych polskich

polityków dukał bez ładu i składu.

Szef ABW postanowił wybawić go z opresji.

– Mam w dupie to, co mówiła o tobie ta prokurator. Przynajmniej na razie nie będę z tego powodu robił afery i pozbawiał cię stanowiska. Kto wie, może nawet wyciągnę cię z gówna, w którym tkwisz po uszy. Ale stawiam jeden warunek… – Zawiesił głos, by upewnić się, że do wstrząśniętego ministra dotrze to, co ma do powiedzenia.

Nawiązali kontakt wzrokowy i Rudzki skinął głową.

– Stawiam jeden warunek – powtórzył Ogrodnik. – Powiesz mi wszystko o kontaktach twojej kochanki z tym killerem ze Specnazu. Chcę wiedzieć, co robił w jej klinice i dlaczego się spotkali. I czy to ona zleciła zabicie gangstera o ksywie Książę.

Rudzki wyglądał na szczerze zdziwionego.

– Stary, ale ja nic nie wiem o kolesiu ze Specnazu ani o zleceniu na tego pieprzonego Księcia. O masakrze, jaką ekipa ze Wschodu urządziła w jego posiadłości, dowiedziałem się od ciebie. Wcześniej byłem o tym informowany jedynie pobieżnie, na cotygodniowych odprawach kierownictwa Prokuratury Generalnej. Nie interesowała mnie ta sprawa.

Zapewnienia brzmiały szczerze. Rzeczywiście był zaskoczony informacją o kontaktach Karoliny z ruskim cynglem. Dopiero teraz zrozumiał, że został przez nią oszukany i wplątany w rozgrywkę, której nie ogarniał.

– To jakiś absurd. Gdyby rzeczywiście chciała pozbyć się Księcia, mogła to zrobić w bardziej wyrafinowany sposób. Co Karolina mogła mieć wspólnego z grupą Rosomaka? Dlaczego ją zabili? – stawiał na głos pytania, które przychodziły mu do głowy. – Myślisz, że ona mogła coś wiedzieć o planowanych zamachach? Nie, nie… To wszystko bez sensu.

Zakrył twarz dłońmi i głośno westchnął. Jeszcze nigdy nie był tak bezsilny. *Ja pierdolę…* Czuł się jak zwierzyna w potrzasku, która słyszy odgłosy coraz bliższej nagonki.

– Przyjacielu, nie zamierzam wdawać się z tobą w dyskusję. Masz dwadzieścia cztery godziny. Może coś sobie przypomnisz albo pogadasz z kimś, kto coś wie i może nam powiedzieć, gdzie ukrywają się te bydlaki. Pomyśl dobrze, z pewnością znasz wielu ciekawych współpracowników prezes van der Oord. Wciąż nie odnaleźliśmy jej prywatnych komputerów ani dysków z danymi na temat badań i eksperymentów prowadzonych w „Mysterium Vitae". Może tobie uda się je znaleźć. Ale uważaj, bo jeśli zjawisz się u mnie z niczym, będzie to koniec naszej znajomości i twojej kariery – powiedział Ogrodnik i podniósł się, a właściwie zsunął z fotela. – A teraz wybacz, mam kilka innych spraw do ogarnięcia.

Uścisnęli sobie dłonie i Witold Rudzki wyszedł pospiesznie z gabinetu szefa ABW. W sekretariacie ukłonił się zawsze uśmiechniętej pani Jadwidze, która pracowała w tym miejscu od dobrych dwudziestu lat, i zniknął za drzwiami prowadzącymi na korytarz. Mdliło go, próbował przypomnieć sobie, gdzie jest toaleta. Wszystkie drzwi wyglądały tak samo, zmieniały się tylko numery na srebrnych tabliczkach. Szedł pustym korytarzem, który wydawał się nie mieć końca. Wreszcie jedne drzwi otworzyły się i zobaczył atrakcyjną blondynkę w średnim wieku, ubraną w dżinsy i bluzę, które wskazywały, iż nie jest sekretarką. Przystanęła i spojrzała podejrzliwie na roztrzęsionego ministra sprawiedliwości.

– Toaleta… – zdołał tylko powiedzieć Rudzki, robiąc wszystko, by nie rzucić efektownego pawia pod nogi funkcjonariuszki ABW.

– Za panem, panie ministrze – odparła, wskazując drzwi, na których widniała srebrna tabliczka z napisem WC i sylwetką mężczyzny.

Rudzki uśmiechnął się głupio i bez zastanowienia wskoczył do pomieszczenia. Nawet nie sprawdzał, czy jest sam. Otworzył pierwszą z brzegu kabinę i schylił się nad muszlą klozetową. Gdy opróżnił żołądek, a mdłości zniknęły, opuścił deskę, usiadł na niej i zaczął ocierać twarz papierem toaletowym.

– Ty będziesz następny – usłyszał znowu ten głos.

Zacisnął szczęki i starał się opanować, jednak przerażenie narastało.

ROZDZIAŁ 7

DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

„Z serca bowiem pochodzą złe myśli,
zabójstwa, cudzołóstwa, czyny nierządne,
kradzieże, fałszywe świadectwa, przekleństwa”.
Ewangelia według św. Mateusza 15,19

Dokładnie poznał mechanizm powstawania strachu. Zrobił to, aby go oswoić, okiełznać i wykorzystać w działaniu. Dobrze wiedział, że strach rodzi się w mózgu. Najpierw wzgórze, będące centralną stacją przekaźnikową, wysyła odebrany od receptorów sygnał do kory mózgowej, aktywując jej obszar czuciowy. Następnie informacje trafiają do ciała migdałowatego, które dekoduje emocje i określa potencjalne zagrożenie. Potem do gry włącza się podwzgórze, dostarczając mózgowi zwiększoną dawkę noradrenaliny. Jest to hormon, który działa pobudzająco i zwiększa koncentrację. Lubił ten stan wyostrzenia zmysłów, gdy organizm produkował coraz więcej adrenaliny, a serce szybciej pompowało krew. Czuł napięte mięśnie działające zgodnie z głęboko zakodowaną w mózgu procedurą: walcz albo uciekaj. Był coraz bliżej celu.

– Niech droga wychodzi ci na spotkanie, niech wiatr wieje ci zawsze w plecy, niech słońce ogrzewa twoją twarz, deszcz pada łagodnie na twoje pola i dopóki się nie spotkamy, niech Bóg trzyma cię w swej dłoni – powtórzył na głos zasłyszane stare irlandzkie błogosławieństwo.

Nie wiedział, dlaczego właśnie teraz przypomniały mu się te słowa. *Sentymentalny dureń*.

Od śmierci brata czuł się dziwnie zdezorientowany. Nie żeby był zdziwiony, że Książę skończył tak, jak skończył. Miał jednak

niewypowiedziany żal do swojej szefowej, że nie uprzedziła go o wynajęciu ludzi do pozbycia się pyszałkowatego gangstera z Jordanowa, który miał mózg zbyt przeżarty dragami i wódą, żeby zrozumieć, że nie jest nietykalny. *Idiota*.

Masakra rozpoczęła się tuż po tym, jak opuścił posiadłość brata. Rozstali się w gniewie. Książę krzyczał i wyśmiewał Mocnego, który ostrzegał go przed Karoliną van der Oord. Odgrażał się też i zapowiadał, że to on pierwszy zabije właścicielkę „Mysterium Vitae". Chwalił się przy tym czterema killerami ze Wschodu.

– Zejdź mi z oczu, Mocny, i wróć, jak odrosną ci jaja! – grzmiał Książę, nie wiedząc, że Rosomak i jego ekipa pracują dla Karoliny.

Mocny też nie zdawał sobie z tego sprawy. Dowiedział się o tym po fakcie. Nie rozumiał, dlaczego szefowa ukryła przed nim tę informację. Nie ufała mu? Nie wierzyła w jego lojalność? A może był następny do odstrzału?

Nie tylko te powracające pytania sprawiały, że czuł się niepewnie. Miał świadomość, że jego brat stał się degeneratem i zwyrodnialcem, prymitywnym zakapiorem, którego należało usunąć, bo jego chore żądze zagrażały interesom kliniki. Dostarczał zniszczony towar i za dużo mełł ozorem, a to nie mogło się dobrze skończyć. Jednak im dłużej Szymon o tym myślał, tym większego nabierał przekonania, że jego i Karolinę niewiele różniło od Księcia. Owszem, byli lepiej wykształceni i bardziej obyci, nosili się z klasą, za znajomych mieli wielkich i możnych tego świata, ale robili rzeczy tak straszne i okrutne, że sadyzm i zezwierzęcenie Księcia były przy tym niewinnymi igraszkami. *Wyrzuty sumienia?* Mocny wszedł w to za głęboko, aby teraz się buntować albo zgrywać jedynego sprawiedliwego. Wszak nie protestował, gdy Karolina van der Oord serwowała mu pierwszy posiłek z ludzkich podrobów.

– Dzisiaj poznasz smak piątej ćwiartki, o którym już nigdy nie zapomnisz i do którego będziesz wracał – mówiła swoim głębokim głosem, zapowiadając niezwykłą ucztę.

Do tamtej pory takie dania kojarzyły mu się jedynie z serialem *Hannibal* i Madsem Mikkelsenem, który wcielił się w postać kanibala, doktora

Lectera, i jak on dokonywał w kuchni prawdziwych cudów. Być może to ten serial, gdzie tak apetycznie zajadano się ludzkim mięsem i podrobami, oraz chęć znalezienia się w kręgu wybrańców spowodowały, że Szymon Wilk bez oporów kosztował ludzkiej wątróbki w sosie wiśniowym i zajadał się gulaszem z serc.

W trakcie tej kolacji Karolina ujawniła, czym naprawdę zajmuje się klinika „Mysterium Vitae" i na czym polega tajemnica życia. Transfuzje „młodej krwi", pobieranie komórek macierzystych z embrionów i płodów, kanibalizm, przeszczepy narządów i wiele innych procedur medycznych, których zakazywało prawo w cywilizowanych krajach. Poznał wszystkie sekrety podziemnego kompleksu szpitalno-laboratoryjnego. Widział cele, gdzie mieszkały nosicielki, nastoletnie dziewczynki zapładniane na specjalne zlecenie klienta i sprowadzane do roli żywych inkubatorów. Wiedział, że w zależności od medycznych potrzeb profesor Orłow wydobędzie z nich odpowiednio rozwinięty embrion albo płód. Mocny osobiście nadzorował wywożenie i ukrywanie zwłok nosicielek, zmarłych lub zabitych do celów transplantologicznych i kulinarnych. Nigdy mu to nie przeszkadzało. Uważał, że te dziewczyny i tak nie miały żadnej przyszłości. Były społecznymi odpadami, a dzięki klinice ich młode, specjalnie wyselekcjonowane ciała mogły przysłużyć się nauce i medycynie. *Pieprzone króliki doświadczalne*.

Ten poukładany świat zaczął się rozsypywać, gdy Karolina van der Oord wszczęła niezrozumiałą dla niego wojnę z arcybiskupem Werdą. Doprowadziła tym pośrednio do samobójczej śmierci księdza Roberta Heina i siostry Cecylii oraz ściągnęła im na głowę tego aseksualnego, wścibskiego maszkarona – prokurator Ossowską. I jakby tego było mało, wynajęci przez nią killerzy urządzili krwawą jatkę w posiadłości jego brata, przybijając go kowalskimi gwoździami do podłogi.

Właśnie do nich jechał swoją grafitową toyotą land cruiser. Ukryli się na terenie opuszczonego wojskowego lotniska w Nowym Mieście nad Pilicą. Był już prawie na miejscu i cieszył się tym przyjemnym uczuciem narastającego strachu. To go nakręcało, a jednocześnie wzmagało

czujność. Stawał się szybszy, silniejszy i uważniejszy. Wykorzystywał to, gdy brał udział w nielegalnych walkach na gołe pięści organizowanych przez Księcia. Strach, który czuł przed wejściem do klatki, gdzie odbywał się pojedynek, uruchamiał w nim opcję „walka, nigdy ucieczka". Przy drodze mignęła zabazgrana sprejem srebrna tablica informująca o tym, że wjeżdża do Nowego Miasta. *Chuj wam w dupę*.

Widok za oknem go nie zaskoczył. Typowa małomiasteczkowa architektura, ani ładniejsza, ani brzydsza od setek innych prowincjonalnych miejscowości. Także lokalne drogi były dziurawe jak wszędzie w Polsce. Około czterotysięczne Nowe Miasto nad Pilicą położone było osiemdziesiąt kilometrów na południe od Warszawy. Na jego obrzeżach od północnej strony znajdowało się stare wojskowe lotnisko. Do końca 2000 roku stacjonował tutaj 47. Szkolny Pułk Śmigłowców. Miejscowi mawiali, że jak była armia, to było lepiej, bo i robota jakaś wpadła i lokalny handel z gastronomią sobie radziły. Ale wojsko odeszło, a cały ponadpięciusethektarowy teren został wystawiony na sprzedaż.

W 2007 roku ówczesny premier wpadł nawet na pomysł, aby stworzyć tu miasteczko filmowe – takie polskie Hollywood. Jednak nowa kraina snów nie powstała, a Agencja Mienia Wojskowego miała coraz większy problem z pozbyciem się nieruchomości. Z kłopotu wybawiła ją Karolina van der Oord, kupując lotnisko w 2014 roku. Mocny nigdy nie pytał szefowej, dlaczego zainwestowała prawie czterdzieści milionów złotych w coś, na czym nie mogła zarobić.

Przez dwa lata na terenie lotniska nie działo się nic, a przynajmniej nic, o czym wiedziałby Szymon Wilk. Budynki niszczały, a teren zarastał powoli trawą i drzewami. Tym większe było jego zdziwienie, że miejsce to wybrali na kryjówkę killerzy ze Wschodu.

– Wysłałam ich tam, żeby przeczekali to całe zamieszanie. Na tym zadupiu nikt nie będzie ich szukać – stwierdziła od niechcenia Karolina, tak jakby informowała go o pogodzie.

Choć po głębszym zastanowieniu Mocny uznał jednak, że o pogodzie szefowa mówiła z większym zaangażowaniem.

– Jak tak dalej pójdzie, to przez tę pieprzoną suszę wyschną nam rzeka i stawy – mówiła, patrząc przez okno swojego klimatyzowanego apartamentu na coraz niższy poziom Zgłowiączki.

Od prawie miesiąca temperatury dochodziły do czterdziestu stopni Celsjusza, co sprawiło, że ludzie stali się apatyczni i rozdrażnieni. Każde opuszczenie klimatyzowanego pomieszczenia oznaczało wstawienie głowy do rozgrzanego piekarnika. Nie było choćby jednego dnia, gdy słońce schowałoby się za deszczową chmurą. W stworzonym na terenie kliniki sztucznym rozlewisku wody ubywało w oczach.

Mocny zerknął na wyświetlacz wskazujący temperaturę na zewnątrz – czterdzieści dwa stopnie. W chłodnym wnętrzu samochodu można było zapomnieć o gorączce, która odbierała chęć do życia. Spojrzał na zegarek. Trasę z Lubrańca do Nowego Miasta nad Pilicą pokonał w niecałe dwie godziny, łamiąc przy okazji wszystkie przepisy. Teraz już się nie spieszył, przejechał powoli przez senne, wyludnione miasto. Samochodowy GPS zaprowadził go prosto przed bramę wjazdową na lotnisko. Po prawej stronie widział już płot okalający cały teren byłej Jednostki Wojskowej 1540. Wziął głęboki oddech i poprawił się na siedzeniu. Odchylił głowę w prawo, a następnie w lewo jak bokser przed walką.

– Życie jest krótkie, chwała nieśmiertelna – zacytował na głos Cycerona, stając przed mocno zdezelowanym znakiem STOP, który wraz z równie nadgryzioną zębem czasu metalową bramą ozdobioną powyginanymi orłami strzegł wjazdu na byłe lotnisko wojskowe.

Mocny spojrzał w tylne lusterko i uśmiechnął się do siebie. To, co planował, wymagało sprytu i odwagi. Najbardziej jednak potrzebował szczęścia. Brama uchyliła się nieznacznie, na tyle, aby mógł przez nią przejść starszy mężczyzna w mocno sfatygowanej jasnoniebieskiej koszuli z krótkim rękawem i granatowych szortach. Na piersi miał naszywkę w kształcie tarczy z napisem „Barakuda – Agencja Ochrony". Szedł

w kierunku grafitowej toyoty, człapiąc gumowymi klapkami. Mocny, uchyliwszy okno, przekonał się, że samochodowy termometr nie kłamał.

– To teren prywatny… obcym wstęp wzbroniony – oznajmił staruszek, sapiąc ciężko prosto w twarz Szymona Wilka.

Zaleciało śledziem, cebulą i bimbrem.

– Chciałem sobie obejrzeć lotnisko – odpowiedział Mocny, wystawiając na żar rękę z banknotem stuzłotowym.

– Aaa. Skoro tak, to co innego. Proszę zwiedzać.

Rzekłszy to, mężczyzna szybko zabrał banknot, jakby się bał, że przybysz może się rozmyślić, po czym wyszczerzył się, prezentując resztki uzębienia, i wykonał ręką zapraszający gest. Zarobione łatwo sto złotych wyraźnie go ożywiło – w podskokach ruszył do bramy, aby ją otworzyć.

***

Ucieszył ją widok nadjeżdżającego samochodu, jego karoseria w kolorze czarny metalik odbijała promienie słoneczne niczym lustro. Zmrużyła oczy i dostrzegła wyciągniętą za okno rękę kierowcy, który ją pozdrawiał. Był już blisko, miał do objechania jeszcze tylko reprezentacyjny klomb, którego centralnym punktem było sporych rozmiarów oczko wodne. Z jego brzegów wystrzeliwały w górę strumienie wody i opadały z głośnym pluskiem, wzbijając w powietrze wodną mgiełkę. Ta zaś osiadała na rosnących w pobliżu kwiatach i krzewach ozdobnych, nadając im soczysty wygląd i pełnię intensywnych kolorów. *Życiodajna wilgoć w spreju*. Bez niej klomb wyglądałby jak większość usychających powoli roślin, które od początku czerwca prowadziły nierówną walkę z panującymi w kraju upałami.

Agnieszka cieszyła oczy widokiem kwiecistej oazy, która jeszcze bardziej podkreślała wyjątkowość leśnego azylu, jaki na obrzeżach Lubrańca stworzyła Karolina van der Oord. Nie żałowano tutaj pieniędzy na nawadnianie ogrodów, trawników, drzew i kwiatów. Jedyne, czego właścicielka „Mysterium Vitae” nie mogła powstrzymać, to wysychanie

sztucznego rozlewiska umiejscowionego u stóp zbocza, na którym wzniesiono klinikę. Zauważyła to nawet Agnieszka, a dokładniej poczuła, co jakiś czas od strony rzeki zalatywał bowiem smród gnijących wodorostów, zmurszałych drzew i całej tej roślinności, którą odsłaniała ustępująca woda.

Ossowska stała na chodniku wyłożonym granitowymi płytami, prawie w tym samym miejscu, w którym cztery dni wcześniej straciła przytomność. Powiedzieli jej, iż miała szczęście, że zdarzyło się to na progu kliniki. Była w bardzo poważnym stanie i szybka akcja ratunkowa być może ocaliła jej życie. Dwa pierwsze dni spędziła w szpitalnym łóżku pozbawiona świadomości, zawieszona gdzieś między bytem a nicością. Jak jej wytłumaczono, zapaść, która doprowadziła do śpiączki, była efektem nadużywania alkoholu, a przez to silnego odwodnienia organizmu, do tego zaś doszły stres i upał. Bezpośrednim katalizatorem było wstrząśnienie mózgu, którego doznała, upadając na chodnik. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętała, to stojący obok tego miejsca marmurowy śmietnik, do którego zwymiotowała. *Co za wstyd*. Gdy wreszcie się ocknęła, zobaczyła nad sobą rozpromienioną twarz Karoliny van der Oord.

– Nareszcie, moja droga. Już zaczynaliśmy się niepokoić. Co za ulga, że znowu jesteś wśród nas – rzekła, jak gdyby były najlepszymi przyjaciółkami.

Brakowało jedynie buziaczka na powitanie.

– Gdzie ja jestem? – wychrypiała w odpowiedzi Agnieszka Ossowska, całkowicie zagubiona w zaistniałej sytuacji.

Choć to wydawało się niemożliwe, była jeszcze bardziej wychudzona niż zwykle. Koścista, poszarzała twarz straszyła zapadniętymi oczami w sinych obwódkach. Leżała podpięta do aparatury monitorującej funkcje życiowe, ale szpitalne łóżko było ustawione w hotelowym apartamencie.

Pokój miał co najmniej czterdzieści metrów kwadratowych i wykończony był w stylu, który skojarzył się jej z nadmorskim kurortem. Może to przez rolety rzymskie zdobione marynistycznymi motywami, a może przez dobór kolorów, które dominowały na ścianach i meblach.

W oczy rzucały się błękit i turkus uzupełnione bielą, szarościami i beżem. Olbrzymia sofa i dwa pasiaste fotele z daleka wyglądały na miękkie i wygodne. Takie, w których człowiek może się zapaść na długie godziny, zapominając o wszystkim i wszystkich.

Wnętrze apartamentu zdobiły luksusowe dodatki, które Agnieszka widywała w kobiecych magazynach, w rubrykach o życiu gwiazd. Na stolikach, szafkach i ławie porozstawiano całe mnóstwo świeczników, wazonów, mis oraz pater. Ich kształty zaskakiwały i fascynowały Ossowską, która podziwiała kunszt projektantów. Całości dopełniały ośmioramienny żyrandol wykonany wraz z abażurami z polerowanej stali, wielkie ścienne lustro w srebrnej oprawie i rozłożony pośrodku pokoju gruby, puszysty dywan.

– Jesteś w jednym z naszych apartamentów. Nie chciałam, żebyś leżała w ciasnej szpitalnej klitce. Oczywiście to wszystko na mój koszt. – Powiedziawszy to, Karolina van der Oord obróciła się w prawo i wskazując na wysokiego mężczyznę w białym kitlu, rzekła: – A to profesor Wasilij Orłow, który pomógł ci wrócić z dalekiej podróży.

Agnieszka milczała, patrząc na rękę z wkłutym w żyłę wenflonem, z którego wystawała rurka podłączona do worka z kroplówką.

– Bardzo dziękuję, profesorze. Czy to jest konieczne? – spytała nienaganną angielszczyzną, wskazując na kroplówkę.

– Musi się pani jeszcze trochę pomęczyć. To mieszanka witamin, mikroelementów i glukozy. Pani organizm wymaga wzmocnienia – odrzekł Orłow.

Dopiero teraz Agnieszka zauważyła, że ma usta węższe nawet niż ona. Wyglądały, jakby były pozbawione warg. Dłuższą chwilę rozmawiali jeszcze o nadwyrężonym zdrowiu prokurator Ossowskiej. Co prawda w tym momencie nic poważnego nie zagrażało jej życiu, ale zdaniem profesora powinna odpocząć i przyjąć dożylnie środki wzmacniające.

Gdy w końcu padła propozycja, aby została w klinice na co najmniej dwa dni, nie protestowała. *Agula szpiegula*. Po pierwsze, rzeczywiście czuła się nadal zmęczona i uznała, że należy się jej odrobina odpoczynku w luksusie.

Po drugie, pomyślała, że będzie miała okazję trochę powęszyć i rozejrzeć się po pilnie strzeżonym przed intruzami terenie kliniki. Starała się odpędzić od siebie powracającą co rusz natrętną myśl: Dlaczego Karolina van der Oord jest wobec niej tak wspaniałomyślna? Była za dużą dziewczynką, aby wierzyć w filantropię tej harpii.

– Jeśli to nie problem, to chętnie skorzystam z pani gościny – oświadczyła, wykrzywiając usta w niezgrabnym uśmiechu.

– Nalegam – powiedziała Karolina, kładąc dłoń na jej ramieniu, po czym odwróciła się i wraz z profesorem Orłowem bez słowa wyszli z pokoju.

Ossowska została sama w luksusowym wnętrzu, które ją onieśmielało. Dopiero teraz zauważyła telewizor zawieszony naprzeciwko łóżka. Jego imponujące rozmiary sprawiły, że zaczęła się zastanawiać, czy to monstrum zmieściłoby się na którejkolwiek ze ścian w wynajmowanej przez nią kawalerce. Doszła do wniosku, że nie. Tym bardziej postanowiła wypróbować, jak działa. Rozejrzała się za pilotem. Leżał na nocnej szafce. Sięgnęła po niego i po krótkim zastanowieniu wcisnęła przycisk, który – jak jej się zdawało – służył do uruchomienia telewizora. *Yippee-ki-yay, motherfucker*. Trafiła za pierwszym razem, co w jej przypadku nie było tak oczywiste. Ekran ożył i pojawił się smętny jegomość mówiący po niemiecku. Agnieszka zdecydowała, że poszuka czegoś w rodzimym języku. Przeskakiwała z kanału na kanał, aż trafiła na TVN24. Jakiś młody wymoczek, którego nie kojarzyła, z ekscytacją w głosie i przejęciem na twarzy perorował na temat masakry, do której doszło kilka dni wcześniej w Jordanowie.

– Według policji były to gangsterskie porachunki – oświadczył, stojąc na tle potężnej pełnej bramy, którą zdobiła scena ataku wilka na jelenia.

Drapieżnik z wyszczerzonymi kłami rzucał się do gardła wielkiemu rogaczowi. Agnieszka dałaby głowę, że wykute w stali zwierzęta są naturalnych rozmiarów. *Nosił Wilk razy kilka…* Pełna brama i wysoki mur uniemożliwiały zajrzenie na teren posiadłości niejakiego Księcia, lokalnego mafijnego bossa, który wraz z dziewiętnastoma innymi osobami zginął na miejscu. Policja wprowadziła zakaz lotów dronami w promieniu

pięciu kilometrów, więc wszystkie stacje telewizyjne zdane były na pokazywanie masywnej bramy z wilkiem i jeleniem.

Ossowska słyszała już o tej sprawie w pracy podczas odprawy. Rozmawiali o tym jak o ciekawostce, gdyż śledztwo prowadziła prokuratura rejonowa z Inowrocławia pod nadzorem bydgoskiej okręgówki.

Przypomniała sobie, że szef wydziału śledczego, tęgi mężczyzna w przymałych koszuli i garniturze, mówił, że ten cały Książę to brat bliźniak bliskiego współpracownika Karoliny van der Oord. *Przypadek?* Agnieszka starała się przypomnieć sobie jego ksywę. *Mocny*. *Tak, Mocny*. Postanowiła, że sprawdzi tego mężczyznę... tak na wszelki wypadek.

***

Szarozielone wilcze oczy czujnie i dokładnie lustrowały nieznane miejsce. Auto jechało powoli asfaltową drogą, której popękana nawierzchnia przegrywała nierówne starcie z naturą. Z każdej najmniejszej szczeliny wyrastała trawa lub chwasty. Własną ofensywę prowadziła także roślinność żyjąca na poboczach, poszerzając strefę swoich wpływów i konsekwentnie zmierzając ku środkowi jezdni. Fragmentami trasa przypominała jazdę przez zielony tunel, gdyż nieprzycinane od szesnastu lat drzewa tworzące szpaler wzdłuż drogi zamykały się nad nią w uścisku gałęzi.

Bramę wjazdową od nieczynnej wieży kontroli lotów dzieliło półtora kilometra. Mocny nie zamierzał się spieszyć. Koncentracja i pewność siebie, którymi napawał się jeszcze przed chwilą, ustępowały miejsca wewnętrznym dywagacjom i rozterkom. *Obłęd*. Nie żeby się bał spotkania z ekipą Rosomaka, ale przed konfrontacją chciał jeszcze raz ułożyć sobie wszystko w głowie. Mętlik, który w niej ponownie zapanował, sprawiał, że przestał być pewny podjętej już decyzji.

Przez lata żył w przekonaniu, że jest obdarzony szóstym zmysłem, dzięki któremu bezbłędnie rozpoznaje przyjaciół i wrogów. Zdany na swój

wilczy instynkt, nie zbaczał z raz obranej drogi. Ale ostatnie wydarzenia pokazały, że mógł się mylić w co najmniej kilku przypadkach. Z drugiej strony nie wykluczał, że popada w paranoję i widzi zagrożenie tam, gdzie go nie ma.

Czymś stałym i niezmiennym w jego życiu była od dawna Karolina van der Oord. Teraz jednak zaczął mieć wątpliwości. Nie wiedział, dokąd zmierza ta potężna i wpływowa kobieta, a co najgorsze, nie do końca rozumiał rolę, jaką miał odegrać w jej planie. Przyjaźń, zaufanie, lojalność, bezpieczeństwo, zdrada, spisek, egzekucja.

Zdezorientowany umysł, który stracił punkt odniesienia, podpowiadał najczarniejsze scenariusze, aby po chwili sam je dezawuować. Jego myśli urządzały sobie przejażdżkę rollercoasterem, rozpalając do białości neurony. *Jebać to*. Przywołał się do porządku i skupił na zadaniu. Dobrze wiedział, że jest za późno na wahania, tym bardziej że zza drzew widać już było budynek dawnej wieży kontroli lotów. Wrócił jego najlepszy przyjaciel strach, a wraz z nim koncentracja i wyostrzenie zmysłów. Wilk ruszał na łowy.

– Zwycięża ten, który się odważy – powiedział na głos, dodając sobie animuszu, i zatrzymał terenową toyotę na zarośniętym trawą placu.

Domyślał się, że jest obserwowany, starał się więc nie wykonywać nerwowych ruchów, aby przypadkiem nie sprowokować snajpera, którego Książę przedstawił mu kilka dni wcześniej. Brodaty Czeczen nie wyglądał na kogoś, kto zastanawia się dwa razy, zanim strzeli. Mocny otworzył drzwi grafitowego auta i powoli wysiadł z podniesionymi rękoma.

– *Ja sam, biezaružnyj!* – krzyknął wyuczoną rosyjską frazę, obracając się wokół własnej osi, aby pokazać, że nie ma na sobie niczego podejrzanego. – Jestem sam, bez broni! – powtórzył po polsku i klęknął z dłońmi splecionymi za głową.

Betonowa płyta była rozgrzana od palącego słońca. Szymon Wilk czuł, jak jego koszula khaki nasiąka potem. Mimo nieznośnego żaru czekał cierpliwie w bezruchu. Jedynie jego oczy biegały od okna do okna i od drzwi do drzwi, wypatrując jakiegokolwiek ruchu.

Czterokondygnacyjny budynek nie wyglądał z zewnątrz na opuszczony od kilkunastu lat, biała elewacja zaskakująco dobrze zachowała kolor, szarzejąc jedynie miejscami. Gdyby nie porozrzucane wokół stare elementy wyposażenia oraz chaszcze, którymi zarosły chodniki i wejścia, można by pomyśleć, że to miejsce jest wciąż używane. Przeszklone pomieszczenie na szczycie wieży, w której pracowali kiedyś kontrolerzy lotów, było otoczone metalową platformą z balustradą. Widok ten skojarzył mu się z widywanymi na więziennych murach wieżami strażniczymi. To pewnie gdzieś tam czaił się czeczeński snajper Asłan Bachanow. Mocny nie był w stanie go dostrzec, zresztą musiał zamknąć oczy, bo napływały do nich słone, piekące krople potu.

Czas dłużył się niemiłosiernie, kolana zaczynały boleć od kontaktu z betonowym podłożem. Wreszcie usłyszał kroki. Serce zaczęło szybciej pompować krew, wziął głęboki oddech i otworzył powoli oczy. Było ich dwóch, w dłoniach trzymali pistolety maszynowe MP5, najpopularniejszą na świecie broń jednostek specjalnych. Mierzyli w niego i czujnie rozglądali się na boki. W ich ruchach i zachowaniu widać było lata treningów. Poruszali się w sposób automatyczny, zakodowany w tak zwanej pamięci mięśniowej. Podeszli na odległość dwóch metrów i zatrzymali się.

– *Czto ty iszcziesz zdies?* – zapytał mężczyzna, którego facjata wyglądała jak jedna wielka blizna.

Rosomak. Szymon przełknął ślinę.

– Szukam was, przyjechałem z propozycją – odrzekł i czekał na reakcję pułkownika Sidorowa.

– *Proveriť jego.*

Gdy tylko padła komenda, drugi z mężczyzn, z zabawnym wąsiskiem opadającym aż do brody, podszedł od tyłu do Mocnego i silnym kopniakiem powalił go na brzuch. Szymon częściowo zamortyzował upadek rękoma, ale i tak poczuł twardość betonu na twarzy. Krwawił z brody i skroni, mimo to leżał spokojnie, pozwalając, aby Rosjanin

przeszukał jego kieszenie i obmacał od góry do dołu. Szukał broni, ale niczego nie znalazł.

– *Czisto* – zameldował Rosomakowi i splunął pogardliwie na Szymona.

– *Bieriem jego*.

Usłyszawszy to, Wąsacz szturchnął Mocnego nogą, a gdy ten spojrzał na niego, dał znak, aby się podniósł. Szymon posłusznie wstał i otarł twarz koszulą, ta zaś zabarwiła się na czerwono. Ruszyli w kierunku wieży. Pierwszy szedł Sidorow, za nim kroczył Mocny, popychany co rusz lufą pistoletu maszynowego.

Z boku budynku umiejscowione były schody. Metalowa konstrukcja, kojarząca się z halami produkcyjnymi, sięgała pierwszego piętra. Sidorow stanął i przepuścił gościa. Mocny bez zastanowienia wszedł na lekko zardzewiałe stopnie. Schody były strome i musiał asekurować się, trzymając poręczy. Rosomak i Wąsacz szli za nim.

Na górze przywitał go Ukrainiec o wysokim czole, szerokich ustach i krzywym nosie. Mięśnie jego twarzy nie wyrażały żadnych emocji, ale oczy płonęły gniewem i chęcią zemsty. *Cyborg*. Szymon Wilk poczuł, jak wzbiera w nim strach, odruchowo napiął mięśnie i zacisnął pięści.

– *Ja wbju tebe jak sobaka!* – krzyknął po ukraińsku Ołeh i uderzył Mocnego w twarz kolbą karabinu.

Groźba ubicia jak psa brzmiała poważnie. Trafił pod oko. Eksplozji bólu towarzyszył trzask pękającej kości jarzmowej. Szymon padł na kolana, a pokój zawirował mu przed oczami. Na takie powitanie nie był przygotowany. Potrząsnął głową po nokautującym ciosie i opierając się prawą ręką o ścianę, próbował wstać. Już prawie mu się udało, ale wtedy otrzymał drugie uderzenie, wprost w brzuch. Wymierzony precyzyjnie cios powalił go na podłogę, na której walały się stare szmaty i gazety. Ukrainiec doskoczył do niego i usiadł mu na plecach. W jednej chwili wyciągnął ze skórzanej pochwy przytroczonej do paska długi nóż z wygrawerowanym napisem „Gierojom sława". Złapał Mocnego za włosy i odchylił mu głowę do tyłu. Chłodne ostrze dotknęło gardła.

– *Gde moja sestra?* – wysyczał Szymonowi do ucha.

Pytanie było zrozumiałe nawet dla kogoś, kto nie znał ukraińskiego. Cyborg chciał wiedzieć, gdzie jest jego siostra, ale zamiast poczekać na odpowiedź, przycisnął nóż jeszcze mocniej. Ostrze nacięło skórę, a na srebrnej klindze pojawiła się krew, wypełniając wgłębienia napisu.

– *Czto ty diełajesz?!* – krzyknął Rosomak, chwytając Cyborga od tyłu i odciągając go.

Ukrainiec chwilę się szamotał, ale Rosjanin nie rozluźnił uścisku. Przyklęknął na jedno kolano i sprowadził Ołeha do parteru.

– *Uspokojsia, uspokojsia.*

Dyszał ciężko, próbując przemówić do rozsądku rozwścieczonemu Cyborgowi. Siłowali się jeszcze trochę, ale w końcu Ołeh dał za wygraną.

– *Wże dobre, ja sejczas spokojen* – zapewnił mieszanką ukraińskiego i rosyjskiego.

I rzeczywiście wyglądał na uspokojonego.

– Co to, kurwa, było?! – spytał Mocny, który właśnie podniósł się z podłogi. – Jeszcze raz się, chuju, na mnie rzucisz, to zapomnij o tym, żebyś kiedykolwiek spotkał siostrzyczkę. Żyje, ale mogę w każdej chwili kazać wyłączyć maszyny, które ją podtrzymują. Rozumiesz, pierdolony banderowcu?!

Szymon Wilk nie wyglądał dobrze. Lewa połowa jego twarzy straciła ostre nordyckie rysy, które zniknęły pod opuchlizną. W miejscu, w które trafiła kolba karabinka, widniała głęboka rana, z której ciekła ciemnoczerwona krew. Nacięcie na szyi nie wyglądało groźnie.

– *Czewo ty choczesz?* – spytał Rosomak, patrząc z politowaniem na pokiereszowanego mężczyznę.

Mocny zrozumiał pytanie i sam się zastanawiał, czego właściwie chce. Po gorącym powitaniu, jakie mu zgotowano, nie był pewny, czy jego misja ma sens.

– *Ty możesz gawarit po polskij. Ja panimaju*. – Rosomak zachęcał go do mówienia.

Szymon ucieszył się, że nie będzie musiał kaleczyć języka rosyjskiego, który znał w wersji mocno podstawowej.

– Mamy wspólnego wroga – zaczął, a Sidorow szeptem przekładał jego słowa na rosyjski. – Tym wrogiem jest Karolina van der Oord. Albo my ją, albo ona nas. Wykonaliście swoją robotę i można posłać was do piachu. – Otarł krew z twarzy, ale ta nie przestawała płynąć. – To samo dotyczy mnie. Ja też jestem na liście do odstrzału.

Po tych słowach wtrącił się Rosomak.

– *Poczemu ja dołżen tiebie dowierjat'*? – A widząc konsternację Mocnego, powtórzył łamaną polszczyzną: – Dlaczego u mnie ma być ufność tobie?

Usłyszawszy to, Szymon pokiwał ze zrozumieniem głową. Sięgnął do umieszczonej z przodu spodni kieszonki i wyciągnął kartę pamięci SD w plastikowym pudełku.

– Jeśli nie macie komputera z czytnikiem, mogę pójść po swojego laptopa. Jest w samochodzie – zaproponował, ale nie było takiej potrzeby.

Klatką schodową dotarli na drugie piętro i weszli do pomieszczenia, na środku którego stał zdezelowany stół. Leżał na nim laptop w towarzystwie paczek i torebek z wojskowymi racjami żywnościowymi. Wąsacz szybko uruchomił sprzęt i po chwili z głośników popłynął głos Karoliny van der Oord:

– Te bezmózgie małpy ze Wschodu trzeba będzie zlikwidować. Pułkownik Sidorow poczuł się za pewnie, myśli, że jak stoją za nim ruskie specsłużby, to jest nietykalny. Musimy pozbyć się świadków. To samo dotyczy Mocnego. Nie mogę mu już ufać, a wie za dużo, aby go puścić wolno. Szkoda… – Głos właścicielki „Mysterium Vitae" umilkł.

Rosomak, który wcielił się w tłumacza symultanicznego, zrobił zdziwioną minę. Mocny uspokoił słuchaczy gestem dłoni.

– Tak, masz się wszystkim zająć, ale ostrożnie… To nie są harcerze, tylko płatni zabójcy… Wiem, że twoi chłopcy są świetnie wyszkoleni… Nie, nie będziemy się z nikim dogadywać… – Miliarderka rozmawiała z kimś przez

telefon. – Czekam na twoje propozycje. A Mocnego będę trzymała krótko przy sobie.

Koniec nagrania.

***

Odłożyła telefon z miną zwycięzcy. Wszystko przebiegało dokładnie tak, jak to sobie zaplanowała. Daleka była od triumfalizmu, ale cieszyło ją, że mimo nieprzewidywalnego czynnika ludzkiego wydarzenia toczą się zgodnie z jej wolą. Podeszła do łóżka i przeciągnęła się, mrucząc rozkosznie. Była naga, jej jędrne piersi zakołysały się zachęcająco. Spojrzała z zadowoleniem w lustro. Nie wyglądała na swoje czterdzieści sześć lat. Zabiegi i terapie, jakim się poddawała, przynosiły pożądany efekt. Podobała się sobie i nie dziwiło jej to, że mężczyźni za nią szaleją. *Bogini*. Krągłe piersi, wcięcie w talii, odpowiednio zaokrąglone pośladki i długie, zgrabne nogi czyniły z niej obiekt pożądania.

– Chodź już tutaj – zagrzmiał mężczyzna, który z coraz większą niecierpliwością czekał na nią w pościeli.

Był przekonany, że należy do wąskiej grupy wybrańców, tych, którzy dostąpili zaszczytu bycia w Karolinie van der Oord. Nawet nie wiedział, jak bardzo się myli.

Wielka biznesowa kariera prezes van der Oord zaczęła się w Amsterdamie, gdy nazywała się jeszcze Katarzyna Paluch. To tam poznała Jana de Moora i na jego prośbę przeprowadziła się do ponadstutysięcznego miasta, które można by nazwać przedmieściami Hagi. De Moor wynajął jej mieszkanie i wypłacał sowitą miesięczną pensję. W zamian oczekiwał, że będzie jej jedynym klientem. Dopiero kilka miesięcy później dowiedziała się, że Jan de Moor jest wiceszefem AIVD – Głównej Służby Wywiadu i Bezpieczeństwa Holandii. Jej siedziba znajdowała się w Zoetermeer, w rozłożystym kompleksie metalicznoszarych budynków przy Europaweg 4. Ich niesymetryczna, nieco futurystyczna architektura wzbudzała dziwny niepokój. To właśnie

tam odbyło się spotkanie, które okazało się dla niej przełomowym wydarzeniem. Bez niego nie byłaby tym, kim się stała. Właściwie narodziła się na nowo. Dzięki współpracy z holenderskim wywiadem dostała nową tożsamość i życie. Była pojętną uczennicą i szybko zauważono jej talent oraz wyjątkowe zdolności. Pracowała pod przykryciem, rozpracowując rosyjskie organizacje przestępcze w Holandii. Sypiała z dyplomatami, aby wyciągać od nich tajne informacje. *Życie na krawędzi*. Jan de Moor wprowadził ją w niebezpieczny świat szpiegów, wielkiego biznesu i zakulisowych gier, które decydują o tym, jak wygląda świat. Gdy była gotowa, wróciła do Polski jako działająca w branży chemicznej kobieta sukcesu. Z rozmyślań wyrwał ją męski głos.

– Czy zaszczycisz mnie swoją obecnością w łóżku?

Na tak postawione pytanie Karolina van der Oord odpowiedziała szelmowskim uśmiechem.

– Nie masz wyrzutów sumienia, że sypiasz z kochanką swojego najlepszego przyjaciela?

Droczyła się z mężczyzną, zasłaniając z udawanym wstydem piersi i wzgórek łonowy.

– Od kiedy zawarłem z tobą pakt, nie mam sumienia… Zabrałaś je sobie – odpowiedział Paweł Ogrodnik i nie brzmiało to jak żart. Zobaczywszy, że jego ton nie przypadł Karolinie do gustu, dodał: – Poza tym kto by uwierzył, że taki gnom jak ja może sypiać z królową. To zbyt perwersyjne nawet jak na bogatą wyobraźnię Witolda Rudzkiego.

Rzeczywiście, stanowili dziwną parę kochanków. Ktoś mógłby się zastanawiać, co tak piękna kobieta jak Karolina van der Oord robi z konusem pokroju Ogrodnika. *Stuart Malutki*. Tak mogli myśleć ci, którzy nie wiedzieli, że mikrą posturę i mysią facjatę matka natura wynagrodziła mu intelektem i przyrodzeniem w rozmiarze XXL. Obie te rzeczy cieszyły i pociągały Karolinę, która położyła się obok szefa ABW i pozwoliła mu delikatnie pieścić swoje kształtne piersi. Nie bez znaczenia było też stanowisko zajmowane przez Ogrodnika. Van der Oord potrafiła znakomicie łączyć przyjemne z pożytecznym.

– Cieszę się, że dałeś się namówić na ten wypad.

Znajdowali się w prywatnym apartamencie, z którego rozpościerał się widok na Zatokę Gdańską. Delikatna bryza sprawiała, że w tym miejscu nie odczuwało się tak bardzo żaru, który lał się z nieba.

– Dlaczego nie wybudowałaś swojej kliniki tutaj? – spytał Paweł Ogrodnik, nie przestając bawić się sterczącymi brodawkami Karoliny.

– W Juracie jest za dużo wścibskich oczu i ośrodek niepotrzebnie zwracałby na siebie uwagę. Przypomnę ci tylko, że kilometr stąd jest letnia rezydencja prezydenta i bez przerwy kręcą się tu tajniacy z policji i funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu. W Lubrańcu mam święty spokój i do tego przykrywkę w postaci sierocińca. Choć właściwie powinnam użyć czasu przeszłego – powiedziała Karolina van der Oord i zmieniła temat. – Myślisz, że pani prokurator niczego nie podejrzewa?

Szef ABW uspokajająco pokręcił głową.

– Gra toczy się na tylu płaszczyznach, że nie będzie w stanie tego ogarnąć. To laboratoryjna myszka, która podąża przez labirynt wytyczonym dla niej szlakiem. – Usiadł na łóżku. – Jest przekonana, że manipulował nią jedynie Rudzki, szantażując esbeckimi kwitami na matkę i podsuwając tropy, które miały ją nakierować na arcybiskupa Werdę. Teraz sądzi, że prowadzi tajne śledztwo dla Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, którego celem jest Rudzki, skorumpowany i nieuczciwy minister sprawiedliwości. – Ogrodnik sięgnął po kieliszek stojący na szafce nocnej. Wziął łyk czerwonego wina i kontynuował: – Zgodnie z twoim życzeniem podsunęliśmy pani prokurator pomysł, aby jeszcze raz odwiedziła babcię księdza Heina i spytała, czy ta wie, co stało się z Katarzyną Paluch. Ku zaskoczeniu Ossowskiej Irena Hein znała odpowiedź na to pytanie, ponieważ wcześniej wizytę złożyłaś jej ty, odświeżając pamięć. No a potem pani prokurator zjawiła się u ciebie i z wrażenia prawie się przekręciła.

Karolina natychmiast zaprotestowała:

– Nie z wrażenia, tylko przez robaki w mózgu. Myślisz, że po wszystkim powinna się dowiedzieć, co jej naprawdę dolega?

Ogrodnik wzruszył ramionami.

– Zrobisz, jak uważasz. Obecnie najważniejsze jest, aby poszła tropem, który jej wskazałaś. Niech pozna sieć powiązań i zależności, które od trzydziestu trzech lat łączą cię z Werdą i Rudzkim. Wtedy wszystko ułoży się jej w całość i odkryje, na czym polega układ, którego spoiwem są tajemnica, korupcja, nepotyzm i nadużycia władzy.

Słuchając szefa ABW, Karolina nie przestawała się uśmiechać. Tak właśnie to sobie zaplanowała.

– Zapomniałeś, mój drogi, o nielegalnych eksperymentach medycznych, handlu ludźmi i innych odrażających rzeczach, do których dochodziło za murami mojej kliniki.

Teraz to Ogrodnik wyszczerzył swój mysi pyszczek w grymasie uśmiechu.

– Spokojnie, tym zajmuje się już nasz człowiek.

ROZDZIAŁ 8

DWUNASTY DZIEŃ OBOWIĄZYWANIA STANU WYJĄTKOWEGO

„Minęło drugie »biada«,
a oto trzecie »biada« niebawem nadchodzi".
Apokalipsa św. Jana 11,14

Siedział zgarbiony na krześle z dłońmi między udami i kołysał się w tył i w przód. Wyglądał na człowieka przegranego i rozbitego. Jego twarz o kwadratowej szczęce, zazwyczaj zadbana, gładka i prawie pozbawiona zmarszczek, przypominała teraz wyciśniętą cytrynę, która zaszła szarą pleśnią dwudniowego zarostu. Zniknął gdzieś hipnotyzujący wzrok, zamiast tego w jego podkrążonych oczach tlił się lęk.

– Czyli nic dla mnie nie masz? – zabrzmiał basowy głos Pawła Ogrodnika. – W tej sytuacji nie będę mógł ci pomóc… Chyba to rozumiesz? – spytał i spojrzał na Witolda Rudzkiego, który zapatrzony w podłogę, unikał kontaktu wzrokowego.

– Daj mi jeszcze kilka dni, proszę… Znamy się tyle lat… Pomogłem ci znaleźć się w tym miejscu… Tylko kilka dni…

Błagania przyjaciela nie robiły większego wrażenia na szefie ABW. Siedział w swoim za dużym fotelu, ledwie dotykając stopami podłogi, i sprawiał wrażenie osoby, która zaraz wybuchnie śmiechem.

– To może chociaż udało ci się namierzyć asystenta Karoliny van der Oord? No jakże on się nazywa?

– Szymon Wilk alias Mocny – pospieszył z pomocą Rudzki.

– O właśnie, Mocny. On powinien mieć wiedzę i o kontaktach twojej nieżyjącej kochanki z ruskimi zakapiorami, i o tym, gdzie się podziały jej majątek oraz dyski z danymi kliniki „Mysterium Vitae". Facet złożył zeznania po zamachu, w którym zginęła Karolina, a następnie zniknął z naszych radarów. Może wiesz, gdzie on przebywa?

Ogrodnik mówił spokojnie, ale w jego głosie brzmiała niewypowiedziana groźba. Rudzki dobrze to słyszał i nie był zdziwiony. Szef ABW mógłby równie dobrze skuć mu ręce kajdankami, wsadzić do aresztu na Rakowieckiej i zawiadomić prokuraturę.

Pierdolone babsko. Agnieszka Ossowska właściwie miała gotowy akt oskarżenia, zebrała tyle informacji na jego temat, obciążających go dowodów i zeznań, że wyrok skazujący byłby formalnością. Już widział oczyma wyobraźni, jak na sali sądowej Ossowska zaczyna swoją mowę oskarżycielską. „Witold Rudzki, działając w porozumieniu i zmowie z innymi wskazanymi w akcie oskarżenia osobami, dopuścił się następujących przestępstw…" – i tu nastąpi długa wyliczanka, padną fachowe określenia i numery stosownych artykułów kodeksu karnego. Już samo to, bez uzasadnienia, wystarczy, by ludzie łapali się za głowy i zadawali sobie pytanie, jak to możliwe, że ministrem sprawiedliwości był łapówkarz, szantażysta, człowiek, który nadużywał władzy, aby mataczyć przy śledztwach i chronić swoją kochankę, która handlowała ludźmi i prowadziła nielegalne eksperymenty medyczne.

Oczywiście natychmiast wypłyną też informacje nieobjęte aktem oskarżenia, choćby ta, że Rudzki jako fotograf był świadkiem pedofilskiego gwałtu, którego dopuścił się na dwojgu dzieci jego przyjaciel ksiądz Werda, późniejszy arcybiskup.

Ale szajs.

Witold Rudzki nawet nie chciał myśleć o tym, jak zareagują Naomi i dzieci. Zacznie się od niedowierzania, wyparcia informacji, których nie będzie w stanie przyswoić mózg. Gdy już to nastąpi, przyjdzie czas na pełne pasji złość, nienawiść i pogardę. Ale bardzo szybko zastąpią je

zażenowanie, wstyd i poczucie poniżenia. Upadek ze szczytów społecznej hierarchii na samo dno będzie bolesny.

Winą za to Rudzki obarczał Karolinę van der Oord. To ona, według niego, odpowiadała za cały ten bajzel. Gdyby nie jej gierki z arcybiskupem Werdą, nie doszłoby do samobójstwa księdza Heina i w Lubrańcu nigdy nie pojawiłaby się prokurator Ossowska, chuda, tyczkowata kobieta z długą jasną grzywką opadającą na zapadnięte oczy. To ona stała się katalizatorem wydarzeń, które zburzyły uporządkowany i przewidywalny świat Witolda Rudzkiego. Minister sprawiedliwości nie domyślał się, w którym dokładnie momencie jego podwładna zerwała się ze smyczy i zamiast wykonywać polecenia, rozpoczęła niezależne śledztwo.

W niewytłumaczalny dla niego sposób Agnieszka Ossowska dotarła do informacji o handlu ludźmi, eksperymentach medycznych na embrionach i płodach oraz nielegalnych transplantacjach. Towaru wystarczyłoby na to, aby minister Rudzki, prezes van der Oord i arcybiskup Werda trafili za kratki na długie lata. Od dwóch dni o niczym innym nie myślał i doszedł do wniosku, że tylko Karolina mogła pomóc Ossowskiej w pozyskaniu tajnej wiedzy na temat jego przeszłości oraz nielegalnych praktyk kliniki „Mysterium Vitae".

Dobrze pamiętał, jak van der Oord dała mu odnalezione w pałacu zdjęcia z pedofilskiej orgii, do której została zmuszona jako trzynastoletnia dziewczynka przez księdza Werdę. To ona wyciągnęła ze zbioru zastrzeżonego IPN teczkę będącą dowodem na współpracę włocławskiego metropolity z komunistyczną bezpieką i poleciła Rudzkiemu przekazać obie rzeczy Ossowskiej. A on grzecznie wykonał polecenie. Teraz, co było naturalne, minister sprawiedliwości mógł podejrzewać, że tak samo Karolina postąpiła w jego przypadku, ujawniając prokurator Ossowskiej informacje, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Tylko po co miałaby to robić? W jakim celu rozbijać idealnie działający układ polityczno-biznesowy? Po co niszczyć znakomicie prosperujący biznes?

Bzdura. A jednak… Jak bowiem wytłumaczyć fakt, że Karolina uratowała życie Agnieszce Ossowskiej, gdy ta miała zapaść i straciła przytomność na

progu kliniki? *Niechby zdechła*.

Gdyby wtedy, w lipcu, zmarła po długiej, ale niestety nieudanej akcji reanimacyjnej, nikt by nie stawiał pytań, nie doszukiwał się drugiego dna, a wszystkie sprawy, które prowadziła Ossowska, zostałyby zamknięte, zebrane przez nią dowody zaś trafiłyby do niszczarki. To była absurdalna decyzja – ratować życie komuś, kto kręcił sznur na ich szyje… No chyba że Karolina van der Oord prowadziła jakąś grę. I co z tym wszystkim mają wspólnego zamachy terrorystyczne, w których zginęła i ona, i arcybiskup Werda. Kto? Co? Kiedy? Dlaczego? Z kim? Dla kogo? Po co? Spanikowany umysł Witolda Rudzkiego nie potrafił postawić wiarygodnej hipotezy i zaczynał się błąkać w mętnej strefie paranoi.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! – Ogrodnik huknął na Rudzkiego, a ten aż podskoczył na krześle.

– Przepraszam, zamyśliłem się. O co pytałeś?

– Kurwa, ocknij się. Chcę wiedzieć, czy masz jakieś dojście do Szymona Wilka. – Powiedziawszy to, szef ABW zsunął się z fotela i zaczął krążyć po gabinecie. – Gdzie jest Mocny, do cholery?

W odpowiedzi Rudzki rozłożył bezradnie ręce, a następnie schował w nich twarz. Ogrodnik patrzył ze zdumieniem i niesmakiem na przyjaciela, który zaczął nagle szlochać.

– Proszę, daj mi jeszcze trochę czasu. Paweł, jesteś chrzestnym mojego syna. Przyjaźnimy się. Nie skreślaj mnie jeszcze. Coś wymyślę…

Ten żałosny melodramat przerwała sekretarka, pani Jadwiga, która uchyliwszy grube dźwiękoszczelne drzwi, stanęła w progu i z niepewną miną wskazała na telewizor wbudowany w drewnianą bibliotekę.

– Myślę, że powinni panowie zobaczyć, co nadaje TVP Info – rzekła z niespotykaną nieśmiałością i wycofała się szybko do sekretariatu.

Ogrodnik doskoczył do pilota i włączył wskazany przez sekretarkę kanał. Na czerwonym pasku u dołu ekranu widniał wielki napis „TAŚMY RUDZKIEGO".

– O… ja… pier…

Minister sprawiedliwości nie dokończył komentarza i jedynie zakrył z przerażeniem usta. Przeżył szok, widząc grafikę, na której po lewej stronie umieszczono jego zdjęcie portretowe, a po prawej zdjęcie Jakuba Wolskiego, sekretarza generalnego Bloku Demokratycznego. Między ich twarzami pojawiał się tekst zgodny z tym, co było słychać na nagraniu. Wypowiedzi Rudzkiego oznaczono inicjałami W.R., natomiast Wolskiego J.W. Minister sprawiedliwości patrzył jak zahipnotyzowany na ekran telewizora, jednocześnie słuchając i przebiegając wzrokiem po stenogramie nagrania.

W.R. – Trzy miliony euro? Czy on zwariował?

J.W. – Hmm…

W.R. – Zygi oszalał. Nawet jeśli założyć, że jest tyle wart, jak niby mamy mu przekazać taką sumę?

J.W. – [wypowiedź niezrozumiała].

W.R. – Na początek weź balotynę z foie gras, a na danie główne polecam filet z sandacza albo prosiaczka, są po prostu rewelacyjne…

J.W. – Słyszałem, że znasz tutejszą kuchnię lepiej niż jej szef.

W.R. – [śmiech].

J.W. – Czy naprawdę musieliśmy spotykać się tutaj? Brakuje tylko, żeby nas przyuważył jakiś fotopstryk, a będziemy jutro na okładkach wszystkich szmatławców. Już widzę te tytuły: „Polska w niebezpieczeństwie, a oni ucztują”.

W.R. – Mój drogi, jesteś tutaj absolutnie bezpieczny. Twój samochód stoi z tyłu, więc nikt nas nie wypatrzy. Wyluzuj i rozkoszuj się odrobiną luksusu na koszt podatnika.

J.W. – Aha…

W.R. – Czy nasi przyjaciele z biznesu, no wiesz, grube misie, mogą nas jakoś wspomóc?

J.W. – Cóż, grube misie na pewno znajdą zaskórniaki. Nie kwota jest tu problemem, ale to, jak ją przekazać, żeby nie zostały ślady.

W.R. – Wiesz, jak brzmi motto producenta whisky, którą zamówiliśmy? *Let the deed show*, niech uczynki będą widoczne. My też powinniśmy wziąć to sobie do serca.

J.W. – Grube misie coś wymyślą, potrzebują kilku dni. Wiesz, jak łatwo się wpierdolić. Niby trzymamy łapę na służbach, ale nie ma co ryzykować. Tarnowski też musi to zrozumieć, bo jemu pierwszemu dobiorą się do dupy.

W.R. – Taaa…

J.W. – Powiedz lepiej, co z zamachem. Siedzicie na tych pieprzonych sukinsynach, którzy to zrobili? Co macie? Opowiadaj!

W.R. – Czyś ty, kurwa, zwariował?! Nie mogę o tym rozmawiać, to są informacje ściśle tajne.

J.W. – Przed chwilą gadaliśmy o lewej kasie dla urzędującego prezydenta, a ty mi pieprzysz o jakichś ściśle tajnych procedurach… Macie tych arabusów czy nie?

W.R. – Stary, jest niezły bajzel… Powiem ci tylko tyle, że może się okazać, że to nie islamiści stoją za zamachem…

J.W. – To kto to zrobił, jak nie brudasy? Nie mów, że to jakieś mafijne porachunki… Jakiś rodzimy wariat, naziol czy inny lewacki chuj?

W.R. – Eee…

J.W. – To kto, kurwa? Przecież nie Ruscy… Ruscy? O Boże…

Na przerażonym głosie Jakuba Wolskiego nagranie się kończyło. W miejsce grafiki pojawiła się twarz prowadzącego.

– Ksawery Bednarek, witam ponownie. To jest wydanie specjalne poświęcone taśmom Rudzkiego. Jak państwo słyszeli, te wstrząsające nagrania odsłaniają brudne kulisy polskiej polityki. Łapówka dla urzędującego prezydenta, ujawnianie tajnych informacji ze śledztwa i wreszcie biesiadowanie na koszt podatnika w jednej z najdroższych warszawskich restauracji. Z tej rozmowy wyłania się obraz

zdegenerowanej i kompletnie zdemoralizowanej elity politycznej. Do nagrań dotarł nasz reporter śledczy Waldemar Cebula.

W szerokim planie pojawił się mężczyzna wyraźnie zmęczony życiem. Świadczyły o tym niedbała fryzura, mocno zaczerwienione oczy i opadające ciężkie powieki.

– Wiem, że nie możesz zdradzić, jak dotarłeś do tego niezwykłego nagrania, ale powiedz chociaż, jak zweryfikowałeś jego prawdziwość.

Ogrodnik wyłączył pilotem dźwięk w telewizorze i obrócił się w stronę Rudzkiego.

– Stary, bardzo mi przykro, ale z tym nie da się już nic zrobić. Chyba rozumiesz…

Minister sprawiedliwości skinął głową i z ciężkim westchnieniem podniósł się z krzesła.

– Paweł, to jest jakaś jedna wielka ustawka. Przecież ten Cebula nie byłby w stanie znaleźć po ciemku własnego fiuta, a co dopiero dotrzeć do tych podsłuchów. To jakiś spisek – mówił Rudzki, patrząc z góry na Ogrodnika. – Nie widzisz, że to jest zdarzenie wpisujące się w zamachy, atak hakerów i spadki na giełdzie? A teraz kto wie, czy nie nastąpi dymisja rządu. Ktoś próbuje kompletnie zdestabilizować sytuację w kraju. Dlaczego twoi chłopcy z kontrwywiadu nic nie robią? – Powiedziawszy to, spojrzał z wyrzutem na szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Myślę, że powinieneś zająć się uporządkowaniem własnych spraw, a nie pouczać mnie, co mam robić. Jedź do ministerstwa, pożegnaj się z pracownikami, spakuj swoje rzeczy i pobądź z rodziną, bo pewnie niedługo po ciebie przyjedziemy – rzekł Ogrodnik, obrócił się na pięcie i podreptał w kierunku biurka.

– Nie martwi cię, że ktoś bezkarnie podsłuchuje urzędującego ministra, i to tuż po wielkim zamachu? – Rudzki spróbował jeszcze jednego podejścia.

– Bardziej martwi mnie to, że urzędujący minister zachowuje się jak gangster i bierze udział w korumpowaniu prezydenta.

***

– Panie prezydencie, konferencję prasową zaczynamy za pięć minut – oznajmiła zgrabna, filigranowa brunetka o radosnych oczach i szerokim uśmiechu.

– Dziękuję ci – odrzekł Zygmunt Tarnowski, który stojąc przed lustrem w Pokoju Wypoczynkowym, walczył z krawatem.

– Ja to zrobię – zaoferował się prezydencki doradca do spraw wizerunku Marek Schmidt.

On sam jak zwykle wyglądał lepiej niż dobrze. Równo przystrzyżona jasnoruda broda, nienaganna fryzura i znakomicie dopasowany garnitur. Jego wyszukana elegancja i smukła sylwetka sprawiały, że w Pałacu Prezydenckim oczarowane trzydziestolatkiem kobiety plotkowały na jego temat. Co nieco dotarło też do prezydenckiego ucha.

– Bzyknąłeś już tę małą? – spytał nagle Tarnowski, gdy jego asystent zawiązywał mu krawat. – Wiesz, tę, co tu przed chwilą była. Zapomniałem, jak się nazywa.

– Anna Bartosiak, pracuje w biurze prasowym. – Schmidt odświeżył prezydencką pamięć i zaraz dodał: – Nie, nie bzyknąłem jej. A jeśli chce pan coś wiedzieć o moim życiu seksualnym, to jestem gejem – obwieścił, co Tarnowski przyjął wzruszeniem ramion.

– Tak właśnie obstawiałem, a te wszystkie głupie baby przekonywały mnie, że jest inaczej. – Powiedziawszy to, prezydent parsknął i klepnął doradcę po ojcowsku w ramię. – Nic się nie martw, dla mnie możesz być i lesbijką, bylebyś tylko dobrze wykonywał swoją robotę – dodał Tarnowski, wkładając marynarkę.

Krawat, poprawiony wprawną ręką Schmidta, leżał idealnie.

– Jest pan gotowy, panie prezydencie? – spytał doradca, choć dobrze wiedział, że wszystko zostało zaplanowane i przygotowane w najdrobniejszych szczegółach.

Za chwilę miała się odbyć publiczna egzekucja, i to wcale nie Zygmunta Tarnowskiego. Jemu przypadła rola kata.

– Nigdy w życiu nie czułem się lepiej. Możemy zaczynać – rzekł prezydent, stając wyprostowany przed drzwiami, które prowadziły do Sali Kolumnowej.

Zazwyczaj konferencje prasowe odbywały się w innym, bardziej kameralnym pomieszczeniu, ale tym razem służby prasowe słusznie założyły, że pojawią się tłumy dziennikarskiej gawiedzi. Ujawnienie taśm Rudzkiego wywołało ostry kryzys polityczny, a jedną z osób, na które padł cień korupcyjnych podejrzeń, był Zygmunt Tarnowski. Prezydent nie wyglądał jednak na przejętego czy zmartwionego, wręcz przeciwnie – w kącikach jego ust błąkał się triumfalny uśmiech.

– Jedziemy – powiedział do siebie i otworzył drzwi.

Rozległ się trzask dziesiątków fleszy. Błyski lamp fotograficznych tworzyły efekt stroboskopowy, w którym prezydent poruszał się jakby w zwolnionym tempie. Największa sala Pałacu Prezydenckiego wypełniona była po brzegi kamerzystami, fotografami i dziennikarzami, którzy w napięciu czekali na oświadczenie głowy państwa. Zygmunt Tarnowski skierował się w prawo, tam gdzie na tle flag Polski i Unii Europejskiej ustawiona była mównica, której front zdobił orzeł w koronie.

– Witam państwa. Pozwólcie, iż zanim odpowiem na wasze pytania, wygłoszę krótkie oświadczenie. – Chrząknął i spojrzał na kartki rozłożone na pulpicie. Przeleciał wzrokiem kilka linijek tekstu i zaczął: – Nasza ojczyzna znalazła się w dramatycznej sytuacji. Jeszcze nie otrząsnęliśmy się po krwawych zamachach, nie złapaliśmy winnych tych bestialskich zbrodni, a rządząca Polską ekipa funduje nam kryzys parlamentarny. Nieodpowiedzialne, przestępcze działania premier Elżbiety Czackiej i kierownictwa Bloku Demokratycznego doprowadziły naszą ojczyznę na skraj przepaści.

Tarnowski zrobił pauzę dokładnie w tym miejscu, które wyznaczył Marek Schmidt. *Niech słowa wybrzmią*. Wydawało się, że wszyscy zebrani w Sali Kolumnowej wstrzymali oddech. Nikt nie spodziewał się, że z ust prezydenta padną takie zarzuty.

– W oburzających nagraniach, które słyszała cała Polska, pojawia się moje nazwisko. Jestem ofiarą spisku wymierzonego w demokratyczny ład państwa prawa. Otóż ścisłe kierownictwo Bloku Demokratycznego tuż po pierwszym zamachu bombowym, zamiast zająć się bezpieczeństwem państwa, odbyło tajną naradę, na której postanowiono wyeliminować mnie z walki o drugą kadencję.

Po Sali Kolumnowej przeszedł szmer zaskoczenia. *Najlepsze za chwilę*. Tarnowski z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

– Z korupcyjną propozycją przyszła do mnie osobiście premier Elżbieta Czacka. Gdy tylko zrozumiałem, o co chodzi, rozpocząłem grę, która miała na celu zdemaskować spisek wymierzony w urzędującego prezydenta.

Kolejna krótka pauza i szmer szepczących do siebie dziennikarzy, którzy przecierali oczy ze zdumienia.

– Premier Elżbieta Czacka, grożąc mojej rodzinie, spytała, jaka jest moja cena za zrezygnowanie z marzeń o reelekcji. Zaproponowałem trzy miliony euro, co zostało przyjęte bez komentarza. Natychmiast po tym spotkaniu zadzwoniłem do szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, informując o przestępczej propozycji złożonej przez Elżbietę Czacką. Oto kopia mojej notatki sporządzonej po spotkaniu z panią premier. A to potwierdzone przez Pawła Ogrodnika zawiadomienie o korupcyjnej propozycji.

Prezydent trzymał obie kartki przed sobą, tak aby nie zasłonić twarzy. *Żryjcie*. Fotoreporterzy i kamerzyści szaleli, walcząc o jak najlepsze ujęcia. Podniósł się gwar, który natychmiast ucichł, gdy tylko Tarnowski odezwał się ponownie.

– Kiedy okazało się, że jestem nieprzekupny i nie zrezygnuję ze służby ojczyźnie za trzy miliony euro, szefowa rządu złożyła mi kolejną wizytę. Padły wyzwiska i groźby. Na szczęście spotkanie to zostało na prośbę Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego nagrane i przekazane w ich ręce.

Stojący pod oknem za tłumem dziennikarzy i ekip telewizyjnych Marek Schmidt z zadowoleniem kiwał głową, słysząc, co i jak mówi prezydent.

– Jako pierwszy obywatel Rzeczypospolitej nie mogłem pozwolić na to, aby takie bezprawne działania uszły płazem szajce, która niepostrzeżenie oplotła swoimi mackami rząd i rządzącą partię. Uczyniłem to z wielkim bólem, gdyż sprawa dotyczy osób, które kiedyś były mi politycznie bliskie. Dobrze jednak pamiętam, że obejmując swój urząd, przysięgałem na wierność konstytucji, a nie partyjnym przestępczym kartelom.

Zygmunt Tarnowski rozejrzał się po zdumionych twarzach dziennikarzy i napawał się zwycięstwem. *Czas na fajerwerki*. Chrząknął, dając znak, że ma jeszcze coś do dodania.

– Za zgodą szefa ABW otrzymają państwo kopie nagrania, o którym mówię. Proszę je upublicznić, tak aby nasi obywatele nie mieli wątpliwości co do moich intencji i uczciwości. To bardzo ważne w tak dramatycznym politycznie momencie.

Deklaracja ta wywołała jeszcze większe poruszenie wśród przedstawicieli mediów. *Dziadek Zygi rządzi*. Tarnowski wyobrażał sobie, co teraz musi się dziać w kilku gabinetach bardzo ważnych ludzi.

***

Nie miała złudzeń – atak przeprowadzony przez prezydenta był celny i nokautujący. Stetryczały polityk, na którym postawili już krzyżyk, miał się zaskakująco dobrze i to on właśnie wysyłał ich na polityczną emeryturę, a może także za kratki. Kupczenie wyborami prezydenckimi, oferowanie łapówki i groźby pod adresem głowy państwa – nie wyglądało to dobrze bez względu na to, jaki punkt widzenia przyjąć.

Starała się sobie przypomnieć, co mówiła podczas ostatniego spotkania z Tarnowskim, ale szczegóły tamtej rozmowy skryły się w zakamarkach pamięci. Elżbieta Czacka była sama w gabinecie, który złośliwcy nazywali Kwiaciarnią. Nikt do niej nie dzwonił ze słowami wsparcia i pocieszenia. Nikt nie proponował pomocy.

Wokół niej zaczynała ziać pustka, intensywny zapach politycznego trupa odstraszał ludzi. Miała pełną świadomość, że czas jej urzędowania

właśnie dobiega końca. Jeszcze tylko oficjalne podanie się do dymisji. *O Jezu*. Westchnęła ciężko. Zawsze marzyła, aby być polską Margaret Thatcher, Żelazną Damą. Kobietą, która przejdzie do historii. I tak też się stanie, ale nie o taką „sławę" jej chodziło.

– Jako pierwsi prezentujemy państwu nagranie rozmowy prezydenta Tarnowskiego z premier Czacką, do której doszło trzydziestego pierwszego sierpnia w Pałacu Prezydenckim.

Dziennikarka skończyła zapowiedź, a na ekranie pojawiła się grafika, na której były zdjęcia jej i Tarnowskiego. Gdy tylko usłyszała swój głos, na planszy pojawiły się jej słowa.

E. Czacka – Jesteś drobnym cwaniaczkiem, kombinatorem, który zapomniał o swoim miejscu w szeregu. Znajdź sobie lepiej nową, młodą kochankę i jej udowadniaj, że masz jaja... Co ci uderzyło do tego starego łba, Zygi? Kryzys wieku średniego masz już przecież za sobą.

Z. Tarnowski – Cieszę się z twojej wizyty, jesteś zawsze mile widziana w naszych skromnych progach. Co cię sprowadza? Czyżbyś chciała dołączyć do mojego sztabu wyborczego?

E. Czacka – Niestety muszę cię rozczarować. Przyszłam kopnąć cię w grube dupsko i przypomnieć o naszej umowie. Zgodziliśmy się spełnić twoje warunki. Chciałeś trzech milionów euro na emeryturę, to zebraliśmy fundusze. A teraz ty bez uprzedzenia zmieniasz plany? Ani przepraszam, ani pocałujcie mnie w dupę? Tak się nie robi! Daję ci tydzień na przemyślenie sprawy. Każdy czasem ma gorszy dzień, jest upał, więc głowa może szwankować. Ale jeśli nadal będziesz się upierał przy starcie w wyborach, przestaniemy się lubić. Odczują to wszyscy twoi ludzie na państwowych posadach i w rządzie, a twoje przydupasy zostaną odstawione od koryta. Koniec z wygrywaniem przetargów i dotacjami, źródełko wyschnie.

Z. Tarnowski – Elżbieto, nie wiem, o czym mówisz. Chciałbym się mylić, ale czuję wyraźny smród korupcji i szantażu. Czyżbyś próbowała przekupić i zastraszyć głowę państwa? Milczysz, a przed chwilą miałaś tyle

do powiedzenia. Nie dam się kupić ani zastraszyć. Od teraz to ty powinnaś się bać. To by było na tyle, pani premier. Trafi pani do wyjścia, prawda?

Gdy tylko nagranie się skończyło, zniknęła grafika z podobiznami Czackiej i Tarnowskiego. W studiu obok prowadzącej siedzieli publicyści. Dziennikarka przedstawiła ich szybko i spytała o pierwsze wrażenia.

– Całkowita degrengolada szefowej rządu i jej stronników – zaczął tęgi jegomość, posapując przy tym nieznośnie. – Natomiast słowa uznania należą się panu prezydentowi, który, przypomnę, wygrał wybory jako kandydat Bloku Demokratycznego i jest byłym politykiem tej partii. – Wraz z coraz szybciej wypowiadanymi frazami sapanie stawało się głośniejsze. – Zygmunt Tarnowski nie prowadził politycznych kalkulacji, nie próbował zamieść sprawy pod dywan. Wiele zaryzykował, ale to dobra decyzja, szczególnie w sytuacji, w jakiej jest nasz kraj po zamachach. Potrzebujemy uczciwego i niebojącego się trudnych decyzji przywódcy. Szacunek dla głowy państwa.

W blokach startowych z komentarzem czekał już drągal w przykrótkiej marynarce, której rękawy kończyły się w połowie przedramienia.

– Niebywałe jest to, że szefowa rządu, zamiast skupić się na bezpieczeństwie kraju i pomocy rodzinom ofiar dwóch tragicznych zamachów, poświęca swój czas na brudne rozgrywki…

Premier Czacka wyłączyła telewizor. Te pierwsze komentarze wygłoszone bez głębszych przemyśleń ustawią postrzeganie całego wydarzenia. To one narzucą narrację i ton, w jakim toczona będzie dalsza debata.

Kto za tym stoi? Było dla niej jasne, że tak misterny plan i precyzyjnie przeprowadzona rozgrywka nie mogły wyjść od Zygmunta Tarnowskiego. Prezydent nigdy nie był strategiem i zawsze potrzebował kogoś, kto nim steruje. Nie przez przypadek dorobił się przezwiska Dziadek Zygi.

Przemiany, które w nim nastąpiły, zarówno te fizyczne, jak i psychiczne, musiały być przez kogoś stymulowane. Zaczęło się od zgolenia wąsów i diety, następnie stetryczały Tarnowski, którego wystąpienia

przypominały smętne ogniskowe gawędy, nabrał charyzmy i werwy. Okazało się, że wraz z nowym sposobem komunikowania się prezydent postanowił zostać samodzielnym graczem, który rozdaje karty i ustala zasady.

Zaczął od obalenia rządu i zakończenia politycznych karier dawnych sojuszników. To zupełnie tak, jakby w szkole władzę przejął woźny i, ku uciesze małolatów, zaczął zwalniać nauczycieli. Dlatego Czacka tak ciekawa była tego, kto teraz pociąga za sznurki w Pałacu Prezydenckim. Wyrzucała sobie brak czujności, przez który wpadła w zasadzkę. Mogłaby, co prawda, jeszcze powalczyć, spróbować się tłumaczyć, zrzucić winę na Tarnowskiego i oskarżyć go o spisek przeciwko rządowi, ale mając przeciwko sobie medialny walec oraz rosnącą w siłę wewnątrzpartyjną opozycję, była bez szans. Co więcej, obawiała się, że ABW może mieć w zanadrzu więcej nagrań, na wypadek gdyby próbowała się stawiać. Nie miała wątpliwości, że podległe jej służby specjalne spiskowały wraz z prezydentem przeciwko niej. *Zamach stanu.*

Dopiero w tym momencie to do niej dotarło. Wszystko układało się w zaplanowany ciąg zdarzeń. Wywołanie właśnie teraz kryzysu rządowego było elementem tej samej układanki, co zamachy terrorystyczne i atak hakerów. *Bujanie łódką*. Od poniedziałku warszawska giełda notowała potężne straty, a teraz jeszcze zapowiadał się okres bezkrólewia. Nie wyobrażała sobie, jak w obecnym podzielonym sejmie uda się stworzyć nową koalicję i nowy rząd.

Gdyby nawet zdecydowano się na przyspieszone wybory parlamentarne, to ze względu na wprowadzony stan wyjątkowy mogłyby się one odbyć najwcześniej za pół roku. A przecież stan wyjątkowy można przedłużyć. Przez ten czas rządzić będzie marionetkowa ekipa, której patronem będzie Tarnowski, a dokładniej – stojący za nim ludzie. Elżbieta Czacka była wściekła na siebie, że wcześniej nie dostrzegła tak oczywistych rzeczy. Zaślepiła ją pewność siebie.

– Pani premier, dziennikarze czekają już prawie godzinę.

W drzwiach jej gabinetu stanął niski, filigranowy chłopak ze śmieszną zaczeską, która miała ukryć poważne braki w owłosieniu. Jej osobisty sekretarz. Tylko on został na pokładzie tonącego okrętu.

– Dziękuję. Chodźmy zatem – odrzekła Czacka.

Wstała i poprawiła połyskującą kanarkową garsonkę. Przez sekretariat wyszli na korytarz, gdzie czekała na nich osobista ochrona szefowej rządu. Czterech postawnych mężczyzn w jednakowych garniturach ukłoniło się jak na komendę.

– Panowie, co to za smutne miny? Jeszcze trochę razem popracujemy – oznajmiła Elżbieta Czacka, siląc się na uśmiech.

Szerokimi dwubiegowymi schodami ruszyli na górę, do sali konferencyjnej.

***

Jeszcze nigdy pokonanie dwóch pięter nie było tak trudne. Stopień po stopniu, noga za nogą, przy akompaniamencie myśli kołaczących się w głowie. Plany, które już nigdy nie zostaną zrealizowane. Marzenia, o których trzeba zapomnieć. Zraniona duma boleśnie przypominająca o tym, co utracone, i wciąż wielkie ego niemogące pogodzić się z nadchodzącymi konsekwencjami.

– Wszyscy już są – oznajmił asystent, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Hieny, krwiopijcy.

Nagły ucisk w klatce piersiowej spowodował, że Witold Rudzki zachwiał się i chwycił kurczowo poręczy.

– Panie ministrze, co się dzieje? – spytał bezradny asystent, przytrzymując Rudzkiego od tyłu, aby nie spadł ze schodów.

Skulony minister, z wykrzywioną w grymasie bólu twarzą i ręką zarzuconą na poręcz, jęczał i sapał. *Ty będziesz następny*. W głowie Rudzkiego znowu odezwał się głos ze snu, a przed oczami stanęła mu drewniana rzeźba Jezusa ociekająca krwią. *Ty będziesz następny*. Paniczny lęk objął go lodowatymi ramionami. Czuł się, jakby tonął. Szeroko otwarte

usta z trudem łapały powietrze, ale gdy wydawało się już, że upadnie, ucisk zelżał.

Powoli dochodził do siebie. Głęboko oddychając, wyprostował się z trudem. Czuł pot spływający po plecach i zraszający obficie czoło.

– Masz chusteczkę? – spytał z wyraźnym trudem.

Dwudziestoparolatek, który jako osobisty asystent towarzyszył mu od czterech lat, będąc na każde zawołanie, zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie spodni.

– Proszę – rzekł, podając paczkę chusteczek higienicznych.

Rudzki wyjął jedną i otarł czoło. Wyglądał źle, jakby jednego dnia postarzał się o dwadzieścia lat.

– Chodź, młody, muszę spojrzeć im w twarz – powiedział i ruszył przed siebie, wspierając się na poręczy.

Jego kroki były ciężkie, a sylwetka zgarbiona. W niczym nie przypominał wysportowanego mężczyzny, który zawsze imponował energią i sprężystością ruchów. Wymięta, nieogolona twarz była karykaturą samej siebie. Nawet drogi garnitur i szyta na miarę koszula nie były w stanie poprawić wizerunku ministra. *Dead man walking*. Po trwającej niemiłosiernie długo wspinaczce stanęli nareszcie przed drzwiami, za którymi znajdowała się sala konferencyjna przerobiona na tymczasowe biuro specjalnego zespołu śledczego. Weszli do środka.

– Dzień dobry – powiedział Rudzki.

Rozejrzał się na boki, unikając kontaktu wzrokowego z osobami, które stawiły się na zwołaną w trybie pilnym naradę. Odpowiedział mu nieprzychylny szmer, brzmiący jak groźny pomruk czającej się do ataku bestii.

Oprócz prokuratorów prowadzących śledztwo w sprawie zamachów w spotkaniu uczestniczyli trzej wiceministrowie sprawiedliwości i czterej zastępcy prokuratora generalnego. Rudzki łączył te funkcje.

Właściwie sam przygotował ustawy i przepchnął je przez parlament, tworząc dla siebie superurząd. Mimo olbrzymiej władzy i wpływów nie był

jednak w stanie utrzymać się na tym stanowisku. Szczególnie po tym, jak prezydent wypuścił swoje „taśmy prawdy". Rudzki westchnął, podniósł głowę i zaczął:

– Nie jest to czas ani miejsce, aby tłumaczyć się z nagrań, które zostały dziś upublicznione. Zapewniam tylko, że to, co państwo słyszeli, to zdania powyrywane z kontekstu. Jestem gotowy stanąć przed sądem i dowieść swojej niewinności.

Głos ministra stracił dawną magię i nie brzmiał przekonująco. To już nie był polityk-czarodziej, który mógłby sprzedać lód Eskimosom.

– Za chwilę jadę do pani premier, aby złożyć dymisję – kontynuował. – Najpierw jednak chcę wskazać mojego tymczasowego zastępcę oraz prokuratora, który z ramienia Prokuratury Krajowej będzie nadzorował toczące się śledztwo. Chcę także, abyśmy wspólnie przeanalizowali to, co już wiemy, bym mógł złożyć ostatni raport szefowej rządu.

Chciał się dowiedzieć, co śledczy zebrali na temat jego kontaktów z Karoliną van der Oord. Zdawał sobie sprawę, że nikt nie jest tak naiwny, aby mu na to pozwolić, ale podjął desperacką próbę.

Spotkała się ona ze zdecydowaną odmową.

– To nie będzie możliwe, panie ministrze – powiedział prokurator Tadeusz Rybicki.

Witold Rudzki znakomicie go kojarzył. *Pieprzony mentor jebanej Ossowskiej*.

Mężczyzna ze śmiesznym cienkim wąsem zamierzał coś jeszcze dodać.

– Myślę, że wkrótce...

Nie dokończył, bo budynkiem wstrząsnęła ogłuszająca eksplozja. Nikt nie zdążył nawet krzyknąć, gdy sala, w której się znajdowali, przestała istnieć, obracając się w stertę gruzu. Wybuch rozniósł się echem po Warszawie, budząc grozę i przerażenie. Tego dźwięku nie można było pomylić z niczym innym. Odgłos zniszczeń i śmierci. Zdezorientowani ludzie rozglądali się dookoła, samochody stawały.

Gdy złowrogi grzmot ucichł, zapanowała cisza i wydawało się, jakby miasto, a przynajmniej jego centrum, zamarło. Po chwili rozległo się przeraźliwe wycie syren budzące trwogę i potwierdzające najgorsze przypuszczenia. Kolejny zamach. Ale gdzie, co się stało, co było celem? Na razie odpowiedzi na te pytania znali tylko ci, którzy byli w okolicach placu Na Rozdrożu. Nad gmachem Ministerstwa Sprawiedliwości unosiła się szara wstęga dymu, a wszystko wokół pokrył biały pył opadający powoli na drzewa, samochody i ludzi. Część obserwatorów odruchowo kucnęła albo położyła się na ziemi, gdy doszło do eksplozji. Teraz wstawali oszołomieni, pokryci jasną warstwą pyłu. Przechodnie obserwujący to niezwykłe zjawisko stali jak zahipnotyzowani i z niemym przerażeniem patrzyli na rumowisko, które odsłonił opadający kurz.

EPILOG

„A ponieważ Ja mówię prawdę,
dlatego Mi nie wierzycie".
Ewangelia według św. Jana 8,45

Na marmurowym blacie okrągłego kawiarnianego stolika, między wyciskanym sokiem z pomarańczy a dużą latte, znalazł się talerzyk, na którym dumnie spoczywał wypiekany na miejscu croissant, nazywany tutaj dla niepoznaki *Gipfeli*, czyli rogalikiem. *Śniadaniowy zestaw obowiązkowy*.

Mieszcząca się w Zurychu przy Limmatquai 2 Café Odeon była jedną z najsłynniejszych europejskich kawiarni. Założono ją w 1911 roku, a w przeszłości do grona jej bywalców należeli James Joyce, Erich Maria Remarque, Lenin i Benito Mussolini. To w jej wnętrzach też Albert Einstein prowadził dysputy ze studentami, które przyjmowały formę wykładów.

Przez sto pięć lat funkcjonowania wystrój Café Odeon niewiele się zmienił. Właściciele dbali o to, aby kawiarnia zachowała swój niepowtarzalny klimat mieszaniny późnej secesji i art déco. Stąd wygodne skórzane fotele, marmurowe stoliki, kryształowe żyrandole oraz kinkiety i wkomponowane w marmurowe ściany lustra, które optycznie powiększały niewielki w gruncie rzeczy lokal. Centralne miejsce zajmował stylowy bar w kształcie litery L obstawiony wysokimi stołkami. Na wiszącym nad nim lustrze widniał napis: *Sorry, no WiFi. Talk to each other*, zachęcając do bezpośrednich kontaktów międzyludzkich, które w czasach internetu i mediów społecznościowych były w zaniku. Do Café Odeon przychodziło się pobyć, spotkać ze znajomymi i porozmawiać twarzą

w twarz. Tutaj nikt się nie spieszył – ani kelnerzy, ani klienci, których większość stanowili miejscowi.

– *Is everything OK?* – spytał zaniepokojony kelner, przechodząc obok chudej kobiety, która wyglądała, jakby modliła się nad rogalem, kawą i sokiem.

– *Yes, everything's alright. Thanks* – odpowiedziała, podnosząc głowę i odgarniając na bok długą jasną grzywkę.

Agnieszka Ossowska spojrzała podkrążonymi, zapadniętymi oczami na kelnera i chciała się uśmiechnąć, ale tradycyjnie jej twarz wykrzywiła się w grymasie, który wyrażał gorycz i cierpienie. To nawet bardziej pasowało do sytuacji, w jakiej się znalazła. Była zbiegiem próbującym rozwikłać sprawę, za którą stała tajna organizacja. Nie mogła liczyć na wsparcie policji i służb specjalnych, bo ludzie, przed którymi uciekała, mieli je w swoich rękach. Czasami sądziła, że oszalała i to chory mózg stworzył historię, w którą ona uwierzyła. Na szczęście miała coraz więcej materialnych dowodów potwierdzających to, co nieprawdopodobne i niemożliwe.

Syk pracującego ekspresu ciśnieniowego wyrwał ją z zamyślenia. Wypiła odrobinę soku, ułamała kawałek croissanta i zanurzyła go w mlecznej piance, którą przyozdobiona była kawa. Ugryzła i z rozmarzeniem przymknęła oczy. Bardzo polubiła to miejsce. Czuła się tu bezpiecznie, ale wiedziała, że nie powinna się przyzwyczajać do tego przyjemnego stanu. Gdy tylko załatwi to, co ma do załatwienia w Zurychu, ruszy dalej, zmieniając często miejsca pobytu i telefony. Żadnych kontaktów z rodziną i przyjaciółkami, zero kart, tylko *cash*, zakaz logowania się do serwisów społecznościowych. Musiała zniknąć, być niewidzialna w cyfrowej rzeczywistości, gdyż ci, którzy chcieli ją dopaść, szukali jej śladów także w wirtualnym świecie. A w to, że byli ekspertami również w tej dziedzinie, Agnieszka Ossowska nie wątpiła.

Trzy tygodnie minęły od zamachu na Ministerstwo Sprawiedliwości, w którym zginęły dziewięćdziesiąt dwie osoby. Wśród nich był jej przyjaciel Tadeusz Rybicki, jeden z niewielu ludzi, których mogła tak

nazwać. Żałowała, że gdy żył, trzymała go na dystans – kontakty interpersonalne nie były jej mocną stroną. W wybuchu zginęli także Witold Rudzki, jego zastępcy oraz wszyscy poza nią prokuratorzy ze specjalnego zespołu, który prowadził śledztwo w sprawie dwóch wcześniejszych zamachów. *Co za pieprzona ironia losu!*

Agnieszka Ossowska też miała być na odprawie z Rudzkim i zginąć pod gruzami przedwojennej kamienicy będącej siedzibą Ministerstwa Sprawiedliwości. Komuś jednak zależało na tym, by przeżyła. Pamiętała każdą minutę tamtego strasznego dnia. Te wspomnienia napawały ją lękiem i smutkiem. Zebrali się w sali konferencyjnej, którą przekształcono w tymczasowe biuro specgrupy. Byli wszyscy śledczy oraz kierownictwo resortu i Prokuratury Krajowej. Czekali na Witolda Rudzkiego.

Nikt nie był z tego powodu zachwycony, tym bardziej że minister już wkrótce mógł mieć postawione zarzuty nie tylko łapownictwa, ale i nadużywania stanowiska, przekroczenia uprawnień, mataczenia, szantażu oraz udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Wszystko to związane było z tym, co działo się w klinice „Mysterium Vitae". Z tego, co ustaliła Agnieszka, minister sprawiedliwości nie dość, że wiedział o odbywających się tam handlu ludźmi oraz nielegalnych eksperymentach, to jeszcze pomagał w tuszowaniu tych spraw, roztaczając parasol ochronny nad swoją kochanką Karoliną van der Oord.

– Po co, kurwa, on chce się jeszcze z nami spotkać? – zapytała szeptem Ossowska stojącego obok Tadeusza Rybickiego.

Ten zrobił zafrasowaną minę, po czym wypalił:

– Może poprosi o status świadka koronnego?

Prokurator zaczął chichotać, co wprawiło w drgania jego wydatny brzuch. Agnieszka pokręciła głową, udając dezaprobatę, i już chciała zganić wesołka, gdy poczuła wibrujący w kieszeni telefon. Wyjęła go i spojrzała na wyświetlacz. Przyszedł esemes z nieznanego numeru. „Wiem, kto stoi za zamachami. Spotkajmy się TERAZ!!! Czekam tylko pięć minut. Park Ujazdowski, wejście od alei Róż. Bądź SAMA!!!".

Ossowska trzykrotnie przeczytała wiadomość. Wahała się. Przesądził fakt, że jej numer był zastrzeżony i nawet w ministerstwie znał go tylko krąg zaufanych osób. Oznaczało to, że jest mało prawdopodobne, by esemesa wysłał ktoś nawiedzony, kto widział też żywego Elvisa i zielone ludziki. Randka wydawała się bardzo obiecująca. Oczywiście Agnieszka nie mogła wykluczyć, że to głupi żart któregoś ze śledczych. Uznała jednak, że jedyne, co ma do stracenia, to pogadanka Witolda Rudzkiego. *Fuck him!* Z panem ministrem planowała spotkać się jeszcze na sali sądowej – co się odwlecze, to nie uciecze.

– Muszę do toalety, zaraz wracam – szepnęła do Rybickiego i niemal biegiem opuściła biuro.

Nie chciała, aby zatrzymał ją Rudzki. Pobiegła do windy i zjechała na dół. *Szybciej, do cholery*. Jeszcze tylko szklane drzwi otwierane identyfikatorem, bramka na wejściu i już była na zewnątrz. Ruszyła w lewo, w kierunku alei Róż, minęła pałac Sobańskich, miejsce spotkań biznesowej elity Warszawy, i pałacyk Wielopolskich, dawną siedzibę brytyjskiej ambasady. Przebiegła przez aleję Róż i wpadłszy na pasy, przeszła na drugą stronę Alei Ujazdowskich. Stanęła przed wejściem do parku, oddychając szybko i czując, jak skóra robi jej się wilgotna od potu. Nawet paręset metrów truchtu w tym upale było olbrzymim wysiłkiem.

Rozglądała się nerwowo, ale nie widziała nikogo, kto by na nią czekał. Wszechobecny żar sprawiał, że parkowe alejki świeciły pustkami. Wypalona przez słońce trawa, drzewa o pożółkłych liściach, uschnięte kwiaty i krzewy tworzyły obraz umierającej natury namalowany przez suszę. Podeszła przed pomnik Ignacego Paderewskiego, za którym rozciągał się olbrzymi prostokątny klomb. Kiedyś oaza zieleni – teraz przypominał klepisko. Agnieszka, ubrana w luźną płócienną sukienkę, wyglądała jak zabłąkany strach na wróble, który szuka dla siebie najlepszego miejsca. Przeskakiwała wzrokiem po pustych ławkach, bezskutecznie szukając osoby, która wysłała jej esemesa.

Trzymany w dłoni telefon ponownie zawibrował, informując o nadejściu wiadomości tekstowej. Natychmiast spojrzała na wyświetlacz. „Nie trać

czasu. UCIEKAJ!!! ONI będą Cię szukać!!! Jesteś w NIEBEZPIECZEŃSTWIE!!! 3… 2… 1… BUM!!!". Agnieszka skończyła czytać i podniosła głowę.

W tym momencie okolicą wstrząsnęła przerażająco głośna i bliska eksplozja. Ptaki, które chowały się przed słońcem między gałęziami drzew, zerwały się do lotu, a samochodowe alarmy rozpoczęły swój jazgotliwy koncert. Nad uschniętymi konarami buków, jesionów i dębów pojawiły się kłęby szarego dymu dobywające się z miejsca, gdzie powinno się znajdować Ministerstwo Sprawiedliwości. Ossowska wybiegła z parku i przerażona spojrzała w lewo. Nie mogło być żadnych wątpliwości – do wybuchu doszło w ministerialnym gmachu. Szybko wybrała numer Tadeusza Rybickiego. Telefon był wyłączony albo poza zasięgiem. Próbowała jeszcze kilkakrotnie. Nie udało jej się dodzwonić ani do Rybickiego, ani do żadnego innego prokuratora ze specjalnej grupy śledczej. Szła oszołomiona w kierunku ministerstwa, patrząc na osiadający na wszystkim wokół jasny pył. Z oddali zaczęło dobiegać rozpaczliwe wołanie syren – nadjeżdżały pogotowie, straż pożarna i policja.

Gdy wreszcie stanęła na wysokości gmachu ministerstwa, z wrażenia aż zasłoniła dłonią usta. Część budynku, której okna wychodziły na plac Na Rozdrożu, zamieniła się w wielkie gruzowisko. Biuro specjalnego zespołu śledczego przestało istnieć, podobnie jak znajdujące się pod nim gabinety.

Miała déjà vu. Zaledwie kilkadziesiąt metrów stąd doszło do pierwszego zamachu. Zaczęło się od bomby w samochodzie, później był samolot i gdy wydawało się już, że trudno wyobrazić sobie coś bardziej dramatycznego, terroryści uderzyli po raz trzeci. Plac Na Rozdrożu znowu zapełnił się służbami ratowniczymi, rozstawiano w pośpiechu namioty i odgradzano barierkami teren otaczający miejsce wybuchu.

Telefon raz jeszcze zawibrował. Agnieszka przez łzy odczytała kolejną wiadomość. „UCIEKAJ!!! UKRYJ SIĘ!!! Podążaj tropem pieniędzy. Fundacja OFFICIUM!!!". Ossowska nie wiedziała, co robić. Otarła ręką oczy. *Myśl, myśl*. Doszła do wniosku, że ludzie, którzy potrafią wysadzić budynek ministerstwa, nie będą mieli problemu, aby ją dopaść, jeśli

zostanie w Warszawie. Nie wiedziała, komu może zaufać. Postawiła na anonimowego informatora, który uratował jej życie.

Przeczytaj również

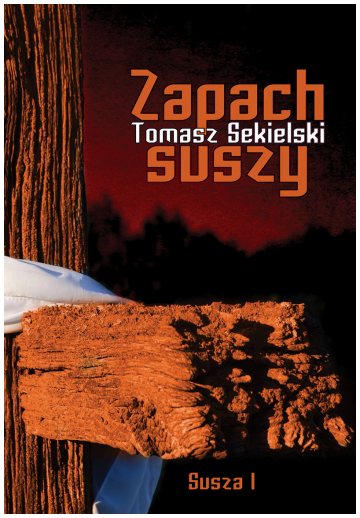

Trzecia część trylogii „Susza”ukaże się w 2018 roku

TOMASZ SEKIELSKI

Twitter @sekielski, Instagram @tomaszsekielski

#reporter #dziennikarz_śledczy
#TVN #TVP1 #Fokus_TV #Nowa_TV

#pracował
#Radio_ Wawa #RdC #TOK_FM

#dokumentalista
#Władcy_marionetek #8.38

#pisarz
#trylogia_Sejf

#wydawca

#Wydawnictwo_Od_deski_do_deski

#twórca

#Fakty #Prześwietlenie #Teraz_My! #Czarno_na_białym #Po_prostu #Teraz_ja #Teoria_spisku

#nagrody

#Dziennikarz_Roku #Grand_Press #Wiktory #Telekamery
#Niptel #Mediatory #Nagroda_Woyciechowskiego